

Lord Dunsany  
**C**órka króla Elfów

*C&T*

## **PRZEDMOWA**

Mam nadzieję, że wizja dziwnej krainy, którą może zasugerować ten tytuł, nie odstraszy czytelników od mojej opowieści, bo chociaż pewne rozdziały rzeczywiście opowiadają o Krainie Elfów, w większej ich części nie ukazane zostało nic więcej ponad znane nam krajobrazy, zwyczajne angielskie lasy, zwykłą wioskę i dolinę położoną o jakieś trzydzieści czy czterdzieści kilometrów od granicy ojczyzny Elfów.

**Lord Dunsany**

***Dla lady Dunsany***

# I

## PLAN ERLAŃSKIEJ RADY

Mieszkańcy Doliny Erlu, odziani w czerwonawe, sięgające kolan skórzane kubraki, stanęli przed swoim władcą, dostojnym, białowłosym mężczyzną w podłużnej, czerwonej komnacie jego zamku. On zaś pochylił się do przodu w rzeźbionym krześle i wysłuchał ich rzecznika.

A ich rzecznik powiedział tak:

— Przez siedemset lat wodzowie z twego rodu dobrze nami rządzą, dlatego też pomniejsi minstrele nadal opiewają ich czyny w dźwięcznych pieśniach. A przecież przemijają pokolenia i nie dzieje się nic nowego.

— Czego zatem chcecie? — zapytał ich władca.

— Chcemy, aby rządził nami ktoś, kto włada magią.

— Niech więc tak będzie — odrzekł władca. — Minęło pięćset lat, odkąd mój lud w taki sposób przemówił na posiedzeniu rady, i zawsze będzie tak, jak zażyczy sobie wasza rada. Rzekliście. Niech więc tak się stanie.

Podniósł rękę, pobłogosławił ich i odeszli.

Wrócili do swoich pradawnych zajęć, do podkuwania koni żelaznymi podkowami, do garbowania skór, do doglądania kwiatów, do dbania o skromne potrzeby Ziemi; przestrzegali dawnych obyczajów i wypatrywali czegoś nowego. Zaś stary władca posłał po swojego najstarszego syna, każąc mu przybyć do sali tronowej.

I bardzo szybko młodzieniec stanął przed ojcem. Ten zaś siedział w tym samym rzeźbionym krześle, z którego się nie ruszył, w tej samej komnacie, gdzie wpadające przez wysokie okna światło wskazywało, iż dzień ma się ku końcowi. Starzec patrzył w przyszłość, gdy ktoś inny zajmie jego miejsce. I siedząc tam, wydał rozkaz synowi.

— Pojedź, zanim zakończę żywot — rzekł — a więc pośpiesz się. Wyrusz na wschód i mijaj znane ci pola i łąki, aż ujrzysz ziemię, które należą już do Elfów. Przejdź stworzoną ze zmierzchu granicę ich krainy i dotrzyj do pałacu, o którym mówią tylko pieśni.

— To daleko stąd — odparł młodzieniec imieniem Alweryk.

— Tak — stwierdził jego ojciec — to daleko.

— I jeszcze dalsza jest powrotna droga — ciągnął Alweryk. — Albowiem odległości na tamtych ziemiach są inne niż tutaj.

— Istotnie — przytaknął władca.

— I co mi każesz zrobić, kiedy przybędę do tego pałacu? — pytał dalej młodzieniec.

A jego ojciec odrzekł:

— Poślubisz córkę króla Elfów.

Młodzieniec pomyślał o jej urodzie, o jej lodowej koronie i o słodyczy, jaką, wedle baśni, oznaczała się owa panna. Śpiewano o niej pieśni na dzikich wzgórzach, gdzie rosły maleńkie truskawki, o zmroku, gdy wschodziły pierwsze gwiazdy, a jeśli ktoś szukał tam śpiewaka, nie znajdował nikogo. Czasami tylko powtarzano śpiewnie jej imię. Nazywała się Lirazel.

Była księżniczką z rodu czarodziejów. Bogowie przysłali swoje cienie na uroczystość nadania jej imienia. Elfy również chciałyby tam przybyć, lecz przeraziły się, ujrawszy na swoich pokrytych rosą polach długie, poruszające się cienie bogów. Dlatego ukryły się wśród blad różowych zawilców i stamtąd pobłogosławiły Lirazel.

— Moi poddani chcą, aby rządził nimi mąż obdarzony mocą czarodziejską. Dokonali niemądrego wyboru — oświadczył stary władca — i tylko Demony Ciemności, które nie ukazują swoich twarzy, wiedzą, do czego to wszystko może doprowadzić: my jednak, choć tego nie widzimy, postępujemy zgodnie z pradawnym obyczajem i robimy to, co powie nasz lud na posiedzeniu rady. Możliwe, iż jeszcze ocali ich jakiś nieznanym im duch mądrości. Ruszaj więc w drogę z twarzą zwróconą w stronę bijącego z Krainy Elfów światła, które słabo rozjaśnia mrok w czasie pomiędzy zachodem słońca a chwilą, gdy na niebie zapalają się pierwsze gwiazdy. Będzie cię ono prowadzić, aż miniesz nasze ziemie i dotrzesz do granicy magicznej krainy.

Potem odpiął skórzany pas i dał synowi swój ogromny miecz, mówiąc:

— To, co służyło naszemu rodowi przez wieki aż po dziś dzień, na pewno będzie cię przez cały czas strzegło w tej podróży, chociaż opuścisz nasze ziemie.

I młodzieniec wziął ojcowski dar, choć wiedział, iż taki miecz na nic mu się nie przyda.

A w pobliżu Zamku Erl żyła samotna czarownica, na jednym z wysokich wzgórz, gdzie latem przetaczały się burze z piorunami. Mieszkała sama w wąskiej, krytej strzechą chacie i wędrowała po położonych wysoko łąkach, zbierając strzałki piorunowe. Z tych strzałek piorunowych, nie będących dziełem ziemskich kowali, z pomocą odpowiednich zaklęć kuto broń, która miała służyć do walki z nieziemskimi niebezpieczeństwami.

W pewne wiosenne dni czarownica, przybrawszy postać pięknej młodej

dziewczyny, szła samotnie, śpiewając wśród wysokich kwiatów w ogrodach Zamku Erl. Wychodziła tam w porze, kiedy sokole ćmy po raz pierwszy wylatują z kryjówek o zmierzchu, gdy zadzwoni wieczorny dzwon. A jednym z nielicznych, którzy ją widzieli, był najstarszy syn władcy Erlu. Wiedział on, że miłość do niej to nieszczęście, które odrywa myśli mężczyzn od rzeczywistości. Lecz złudna uroda czarownicy sprawiła, iż Alweryk spojrzął w jej przepastne, piękne oczy i patrzył, aż — powodowana pochlebstwem lub litością — jakież śmiertelnik może to wiedzieć? — ocaliła go od zguby, którą mogły ściągnąć na niego jej czary. Błyskawicznie zmieniając wygląd, ukazała mu swoją prawdziwą postać śmiertelnie niebezpiecznej władczyni magii. Ale nawet wtedy nie od razu odwrócił od niej oczy. I w tej to chwili, gdy jego wzrok nadal spoczywał na zniekształconej przez starość sylwetce czarownicy wędrującej wśród wysokich malw, zyskał jej wdzięczność, której nie można było ani kupić, ani zyskać z pomocą żadnego talizmanu znanego chrześcijanom. Skinieniem kazała mu podejść i poszedł za nią. Na nękanym przez pioruny wzgórzu dowiedział się od niej, że nadejdzie kiedyś taki dzień, kiedy będzie potrzebował oręża niewykutego z wydartych ziemi metali, z runami na brzeszczocie, runami, które na pewno odbiją pchnięcie każdego ziemskiego miecza. Dowiedział się też, iż ta magiczna broń unieszkodliwi każdy oręż z Krainy Elfów z wyjątkiem trzech najpotężniejszych czarów.

Biorąc wielki miecz od ojca, młodzieniec pomyślał o czarownicy.

W dolinie dopiero zapadał zmierzch, gdy Alweryk opuścił Zamek Erl. Poszedł tak szybko na wzgórze czarownicy, że blade światło zachodu jeszcze padało na najwyższe szczyty, kiedy zbliżył się do chaty tej, której szukał, i zobaczył, że pali ona kości w ognisku na otwartej przestrzeni. Powiedział jej, że nadszedł dzień, który mu przepowiedziała. A ona poleciła mu nazbierać strzałek piorunowych w jej ogrodzie, w miękkiej ziemi pod kapustą.

I tam, zanim nastąpiła noc, choć z każdą chwilą Alweryk widział coraz słabiej, palcami, które niebawem przywykły do niezwykłych powierzchni strzałek piorunowych, znalazł ich siedemnaście. I włożył je do jedwabnej chustki, i zaniósł czarownicy.

Na trawie obok niej położył te obce Ziemi przedmioty. Strzałki piorunowe przybyły do jej czarodziejskiego ogrodu z cudownej przestrzeni, strącone przez pioruny z dróg, po których nie możemy chodzić. I mimo że same w sobie nie mają nic z magii, są dobrze przystosowane do wchłonięcia czarów, jakie magiczne zaklęcia mogą im dać. Czarownica położyła na ziemi kość udową jakiegoś niedowiarka i zwróciła się ku tym przybyszom z daleka. Ułożyła je równym rzędem obok ogniska. Potem narzuciła na nie płonące polana i węgle, dżgając je hebanową pałeczką, która jest berłem czarownic. W

końcu przykryła grubą warstwą tych siedemnastu kuzynów Ziemi, którzy przybyli do nas ze swych niebiańskich siedzib. Wtedy cofnęła się od ogniska, wyciągnęła ręce i nagle poraziła żarowisko przerażającą mocą. Płomienie podskoczyły ze zdumienia. I to, co przedtem było tylko samotnym ogniskiem w nocnym mroku, nie bardziej tajemniczym niż inne takie płomienie, nagle buchnęło, zmieniając się w pożar, którego lękają się wędrowcy.

Kiedy te zielone płomienie, ponaglone runami czarownicy, strzeliły w górę, zionąc żarem większym niż dotychczas, ona cofała się wciąż dalej i dalej i po prostu wypowiadała zaklęcia coraz głośniejsze, w miarę jak odchodziła od ogniska. Poleciała Alwerykowi dołożyć do ognia polana, ciemne dębowe polana, które leżały w pobliżu. Kiedy to uczynił, języki ognia liznęły je żarłocznie. Czarownica nie przestała rzucać zaklęć coraz głośniejsze, zaś płomienie tańczyły, dzikie i zielone. Wtedy spoczywające wśród węgli siedemnaście piorunowych strzałek — a drogi ich niegdyś skrzyżowały się z trajektorią Ziemi podczas swobodnej; wędrówki po niebie — poznało znów żar tak wielki jak podczas desperackiej podróży, która je tutaj zawiodła. Kiedy Alweryk nie mógł już zbliżyć się do ogniska, zaś czarownica stała w odległości kilku kroków od niego, wciąż wykrzykując zaklęcia, zaczarowane płomienie wypaliły doszczętnie wszelki popiół. Wówczas języki ognia, które niedawno nagle rozjarzyły się na wzgórzu, równie nieoczekiwanie przygasły, pozostawiając tylko płonący ponurym blaskiem krąg na ziemi, jak złowrogą kałużę w miejscu, gdzie uderzył meteor. A tam, nadal płynny w tym blasku, leżał czarodziejski miecz.

Czarownica podeszła i przycięła brzegi brzeszczotu mieczem, który wyjęła z uda. Później usiadła obok niego na ziemi i śpiewała mu, kiedy stygł. Zaśpiewała dla miecza pieśń odmienną od zaklęć, które pobudziły płomienie: ona, której przekleństwa poraziły ogień, aż spopielił wielkie dębowe polana, nuciła teraz melodię podobną do letniego wiatru wiejącego z dzikich leśnych ogrodów, nigdy nie pielęgnowanych przez żadnego człowieka, wiatru docierającego do dolin, które kiedyś tak lubiły dzieci, a które teraz widziały tylko w snach. Była to pieśń o wspomnieniach, które czają się i ukrywają na skraju zapomnienia, to przywołujących obrazy jakiejś pięknej chwili z lat szczęścia, to powracających do mroku niepamięci, pozostawiając w umyśle najsłabsze ślady nazywane przez nas żalem. Śpiewała o letnich dniach w porze kwitnienia dzwonków; śpiewała pieśń, która wydawała się tak pełna poranków i wieczorów ze wszystkimi kropelkami rosy zachowanymi dzięki jej czarom z dni, z których wszystko inne zaginęło, że Alweryk zastanowił się, czy każdy mały owad, wywabiony blaskiem ognia z mroku, nie jest duchem jakiegoś utraconego dla ludzi dnia z lepszych,

piękniejszych czasów. I przez cały ten czas nieziemski miecz stawał się coraz twardszy. W końcu biały płyn skrzepł i stał się czerwony. Czerwony blask przygasł. Miecz, stygnąc, zwiężał się: małe cząsteczki połączyły się, szczelinki zamknęły, a zamykając się, pochwytyły powietrze, a wraz z nim ścisnęły i zatrzymały też na zawsze zaklęcia czarownicy. I w taki oto sposób powstał ten czarodziejski oręż. Przesiąkł on magią, jaka kryje się w angielskich lasach, od czasu kwitnienia zawilców do pory opadania liści. Miał w sobie też niemal całą magię ukrytą w angielskich wzgórzach, gdzie spokojnie wędrują tylko pasterze i owce. Był w nim zapach tymianku i widok bzu, i chóry ptaków śpiewających przed świtem w kwietniu, dumny splendor różaneczników, szmer i śmiech strumieni i cała magia maja. Do czasu, gdy miecz całkiem szerniał, zdołał wchłonąć w siebie wszystkie te czary.

Nikt nie może opowiedzieć wam o tym mieczu wszystkiego, co jest do opowiedzenia. Albowiem ci, którzy znają drogi w Kosmosie, gdzie niegdyś unosiły się metale, późniejsze tworzywo zaklętego miecza, metale pochwycone kolejno przez Ziemię, kiedy mijała je, krążąc po swojej orbicie, mają zbyt mało czasu, aby tracić go na coś takiego jak magia. Ci zaś, którzy wiedzą, skąd ludzie czerpią upodobanie do poezji i pieśni lub znają któryś z pięćdziesięciu rodzajów magii, mają za mało czasu, żeby tracić go na naukę, dlatego nie mogą wam wyjaśnić, skąd pochodzą składniki tego miecza. Wystarczy, że kiedyś przebywały poza naszą Ziemią, teraz zaś były wśród naszych zwyczajnych kamieni; że niegdyś niewiele się od nich różniły, a obecnie miały w sobie coś podobnego do cichej muzyki. Niech zdefiniują to ci, którzy to potrafią.

Teraz zaś czarownica wyciągnęła z pozostałości ogniska magiczny miecz za rękojeść, która była gruba i zaokrąglona z jednej strony. Wyglądała tak, ponieważ władczyni czarów wycięła w tym celu niewielkie zagłębienie w ziemi. I teraz czarownica zaczęła ostrzyć obie strony brzeszczotu, pocierając je dziwnym zielonkawym kamieniem, nadal śpiewając jakąś niesamowitą pieśń.

Alweryk obserwował ją w milczeniu, rozmyślając, nie mierząc czasu; może trwało to kilka chwil, a może gwiazdy zdążyły daleko zawędrować na niebie. Nagle czarownica skończyła. Wstała, trzymając oburącz miecz. Wyciągnęła dłonie w stronę Alweryka; młodzieniec wziął od niej magiczny oręż. Czarownica odwróciła się, a jej oczy miały taki wyraz, jakby chciała zatrzymać albo miecz, albo młodzieńca. Alweryk zwrócił się do pani czarów, żeby jej podziękować, lecz ta już odeszła.

Postukał w drzwi jej ciemnego domu; zawołał: — Czarownico! Czarownico! — w stronę pustych wzgórz, aż usłyszały go dzieci na dalekich farmach i ogarnęło je przerażenie. Potem wrócił do domu i tak było dlań najlepiej.

## II

### ALWERYK WIDZI W ODDALI ELFOWE GÓRY

Do podłużnej, skromnie umeblowanej komnaty, położonej wysoko w wieży, w której spał Alweryk, wpadł prosto promień wschodzącego słońca. Młodzieniec obudził się i zaraz przypomniał sobie magiczny miecz, na myśl o którym ogarnęła go radość. To naturalne, że czuł się zadowolony z niedawno otrzymanego podarunku. Lecz i w samym mieczu kryła się radość, bo może mógł on porozumieć się z myślami swego właściciela tym łatwiej, że dotarli z krainy marzeń, z której pochodził czarodziejski brzeszczot. Ale bez względu na powód, wszyscy, którzy kiedykolwiek otrzymali magiczny miecz, zawsze odczuwali radość, gdy był on jeszcze nowy, jasny i nie pozostawiający żadnych wątpliwości co do jego właściwości.

Alweryk nie musiał się z nikim pożegnać, ale uznał, że najlepiej zrobi, słuchając rozkazu ojca, a nie zostając i tłumacząc, dlaczego wybrał się po miecz, który uznał za lepszy od odziedziczonego po przodkach, ukochanego brzeszczotu rodzica. Dlatego nie pozostał w zamku nawet po to, aby coś zjeść, lecz włożył prowiant do torby, przerzucił przez ramię rzemień manierki z porządnej, nowej skóry, nie napełniając jej, wiedział bowiem, że po drodze powinien trafić na strumienie, i nosząc miecz ojca tak, jak zwykle się to robi, zarzucił ten drugi na plecy i wielkimi krokami opuścił Zamek i Dolinę Erlu. Wziął niewiele pieniędzy, tylko pół garści miedziaków, aby płacić nimi w znanych nam ziemiach; nie wiedział bowiem, jakie to pieniądze lub środki płatnicze używane są po drugiej stronie granicy zmierzchu.

Trzeba wiedzieć, że Dolina Erlu leży bardzo blisko tej granicy i nikt nie wie, co się za nią znajduje. Młodzieniec wspiął się na wzgórze, wielkimi krokami przeszedł przez łąki i leszczynowe lasy. Błękitne niebo lśniło nad nim wesoło, i równie niebiesko było pod jego stopami, gdy dotarł do lasu, gdyż właśnie zakwitły dzwonki. Posilił się i napełnił manierkę, i przez cały dzień wędrował na wschód, a wieczorem ujrzał w oddali elfowe wzgórza o barwie niezapominajek.

Kiedy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi za plecami Alweryka, popatrzył on na jasnoniebieskie góry, by zobaczyć, jakimi kolorami zadziwi go wieczór. Wcale jednak nie zgasły barwy, jakie nadawało im zachodzące słońce, które złociło znane nam ziemie, wcale żadne zagłębienie nie zbladło na ich urwistych stokach, żaden cień wcale nie pociemniał i Alweryk dowiedział się, iż nic nigdy się nie zmienia w zaklętym

krainie.

Oderwał wzrok od ich spokojnego piękna i zwrócił go na znane nam ziemie, i tam ujrzał chaty ziemskich ludzi z ich dwuspadowymi dachami górującymi nad żywopłotami, które upiększyła wiosna. Minał je, a wieczór stawał się coraz piękniejszy, gdyż ptaki śpiewały, kwiaty słały upojne zapachy i wonie, a niebo ustroiło się na powitanie Gwiazdy Wieczornej. Lecz zanim zabłysła ta gwiazda, młody wędrowiec znalazł chatę, której szukał: nad jej drzwiami ujrzał łopoczącą wielką brązową skórę z cudzoziemskim, pozłacanym napisem głoszącym, iż w domu tym mieszka garbarz.

Kiedy Alweryk zapukał do drzwi, otworzył mu niski, zgarbiony ze starości mężczyzna, który pochylał się jeszcze niżej, gdy młodzieniec się przedstawił. Alweryk poprosił starca o pochwę dla miecza, lecz nie powiedział, co to za brzeszczot. Obaj weszli do chaty, gdzie przy wielkim ognisku siedziała stara żona garbarza i para ta uhonorowała zaszczytnego gościa. Później starzec usiadł przy grubym stole, którego gładki blat lśnił wszędzie tam, gdzie nie zniekształciły go narzędzia do wiercenia otworów w skórze za życia tego mężczyzny i w czasach jego przodków. Następnie garbarz położył sobie czarodziejski miecz na kolanach, dziwiąc się szorstkości jego rękojeści i gardy, gdyż były z surowego, nieprzekutego metalu, i ogromowi brzeszczotu. Potem podniósł oczy i zaczął myśleć o czekającym go zadaniu. Kiedy ustalił, co musi zrobić, żona przyniosła mu piękny płat skóry. Zaznaczył na nim kontury szerokie jak miecz i nieco szersze od niego.

Alweryk zdołał udzielić wymijających odpowiedzi na wszystkie pytania garbarza dotyczące szerokiego, błyszczącego miecza, gdyż nie chciał wprawić starca w zakłopotanie: i tak zburzył spokój staruszków nieco później, gdy poprosił ich o nocleg. Oni zaś zaprosili go tak bardzo, jakby to oni błagali go o przysługę, zaofiarowali też wspaniałą kolację z kociołką, w którym gotowało się mięso zwierząt schwytych przez starca w pułapki. Żadne również słowa Alweryka nie powstrzymały ich przed odstąpieniem mu ich łoża; dla siebie przygotowali pęk skór, które rozesłali przy ognisku.

Po kolacji starzec wyciął dwa szerokie pasy skóry z czubkiem na końcu i zaczął je zszywać z obu stron. Potem Alweryk zaczął wypytywać go o drogę i stary garbarz mówił o północy, południu i zachodzie i nawet o północnym wschodzie, ale ani słowem nie wspomniał o wschodzie. Mieszkał niemal na samym skraju znanych nam ziem, a mimo to ani on, ani jego żona nawet nie zająknęli się o tym, co leżało dalej. Wydawało się, iż uważają, że świat kończy się tam, gdzie Alweryk miał ruszyć dalej o poranku.

A potem, leżąc już w łożu, które mu odstąpili, młodzieniec zastanawiał się nad wszystkim, co powiedział mu starzec. Czasami zdumiewała go ignorancja garbarza, a

czasami przychodziło mu na myśl, że może przez cały wieczór jego gospodarze z wielką zręcznością uniknęli odpowiedzi na pytania o to, co leży na wschód lub południowy wschód od ich domu. Zapytał się w duchu, czy może starzec nie powędrował tam w młodości, ale nie był w stanie nawet myśleć o tym, co zobaczył w Krainie Elfów. Potem Alweryk zasnął i w snach widział starca wędrującego po zaczarowanej krainie, lecz nie otrzymał żadnych wskazówek co do dalszej wędrówki oprócz tych, które już miał, czyli jasnyniebieskich szczytów Elfowych Gór.

Starzec obudził go po długim śnie. Kiedy młodzieniec się ocknął, w izbie było już jasno, ognisko się paliło, śniadanie nań czekało, a gotowa pochwa doskonale pasowała do magicznego miecza. Gospodarze usługiwali mu w milczeniu i wzięli zapłatę za pochwę, lecz nie przyjęli nic za gościnę. Bez słowa patrzyli, jak wstał od stołu, poszli za nim do drzwi i odprowadzili wzrokiem z nadzieją, że skręci na północ lub na zachód. Kiedy wszakże wielkimi krokami podążył na wschód, w stronę Elfowych Gór, już go nie obserwowali, gdyż nie zwrócili tam oczu. I choć już na niego nie patrzyli, pomachał im ręką na pożegnanie, bo lubił chaty i pola tych prostych ludzi, tak jak oni nie cierpieli magicznej krainy. Kroczył roziskrzonym rosą porankiem, wśród znanych od dzieciństwa zapachów; widział rozkwitające pierwsze czerwone storczyki, przypominające dzwonki, które już zaczynały przekwitać; młode dębowe listki, które jeszcze miały brązowożółtą barwę; lśniące jak mosiądz świeże liście buków, gdzie kukała już kukułka; a pewna brzoza wyglądała jak dzikie leśne stworzenie otulone zieloną gazą; na krzakach zauważył już majowe pąki. Alweryk raz po raz żegnał się z tym wszystkim; kukułka wciąż też kukała, ale nie dla niego. A potem, gdy przecisnął się przez kolejny żywopłot na jakieś niezaorane pole, nagle znalazł się w pobliżu granicy zmierzchu, tak jak powiedział mu ojciec. Ciągnęła się przed nim przez pola i łąki, niebieska i gęsta jak woda, a wszystko, co przez nią widział, wydawało się niekształtne i błyszcząco. Jeszcze raz obejrzał się na ziemię, które znamy; kukułka nie przestawała beztrząsco kukać; jakiś ptaszek śpiewał o swoich sprawach. Ponieważ nikt i nic zdawało się nie odpowiadać ani nie zwracać uwagi na jego pożegnania, Alweryk śmiało zagłębił się w niebieskawy zmierzch.

Kiedy młodzieniec wchodził w ścianę półmroku, jakiś mężczyzna na pobliskim polu wołał coś do koni, na sąsiedniej drodze rozmawiali nieznani mu ludzie. I od razu wszystkie te dźwięki przycichły, jak gdyby docierały z dużej odległości: kilkoma wielkimi krokami przebył granicę magicznej krainy i żaden odgłos nie dobiegł go ze znanych nam ziem. Pola, przez które szedł, nagle się skończyły, nie pozostał żaden ślad po jaskrawozielonych żywopłotach. Alweryk obejrzał się i wydało mu się, że granica

obniżyła się, zamglona, przydymiona. Powiódł wzrokiem wokoło i nie ujrzał nic znajomego; zamiast wiosennego angielskiego krajobrazu widział tylko cuda i wspaniałości Krainy Elfów.

Bładoniebieskie góry majestatycznie pięły się ku niebu, migocząc i falując w złotym blasku, który zdawał się rytmicznie spływać ze szczytów i zalewać zbocza złocistymi powiewami. A poniżej, jeszcze bardzo daleko, dostrzegł strzelające w górę srebrne wieżyczki pałacu, o którym opowiadały tylko pieśni. Znajdował się on na równinie, gdzie rosły dziwaczne kwiaty, a drzewa miały monstrualne kształty. Młodzieniec natychmiast ruszył w stronę srebrnych wieżyczek.

Trudno jest mi opowiedzieć o ojczyźnie Elfów tym, którzy rozsądnie ściągali wodze wyobraźni, odtwarzając w myśli tylko znane wszystkim widoki. Niech więc wyobrażą sobie równinę porośniętą z rzadka drzewami i w oddali ciemny las, z którego wznosił ku niebu swoje połyskliwe wieżyczki elfowy pałac, zaś ponad nimi nieruchome pasmo gór, których ostre szczyty nie czerpały swych barw od żadnego widocznego światła. A przecież właśnie dlatego poniesie nas wyobraźnia i jeśli czytelnicy z mojej winy nie zdołają wyobrazić sobie szczytów Elfowych Gór, powinienem ograniczyć się do znanych krajobrazów. Wiedźcie więc, że w Krainie Elfów barwy są znacznie żywsze niż w naszym kraju, i samo powietrze świeci tak jasną poświatą, że wszystko wygląda tak, jak nasze drzewa i kwiaty w czerwcu, odbite w wodzie. A co do koloru Krainy Elfów, o którym rozpaczliwie próbowałem opowiedzieć, może jednak zdołam go opisać, gdyż wszystkie jego odcienie spotykamy u nas: głęboki granat wiosennej nocy tuż po zmierzchu, jasny błękit Wenus zalewającej wieczór swoim blaskiem, barwę głębi jezior w półmroku. I chociaż nasze słoneczniki ostrożnie zwracają się ku słońcu, jakiś daleki przodek różaneczników musiał choć trochę skierować się w stronę Krainy Elfów, dlatego nieco z jej wspaniałości pozostało w nich po dziś dzień. Zresztą, przede wszystkim, nasi malarze wielokrotnie przelotnie widzieli tę krainę, dzięki czemu czasami na obrazach widzimy piękno zbyt wspaniałe jak na nasze krajobrazy. Są to ich wspomnienia o jasnoniebieskich górach, kiedy siedzieli przy sztalugach, malując jakiś wycinek naszego świata.

I tak Alweryk wielkimi krokami szedł przez świecące powietrze tej krainy, której przelotne widoki są u nas natchnieniem. Od razu też poczuł się mniej samotny. Albowiem w naszej rzeczywistości istnieje wyraźna granica między ludźmi i wszystkim innym, co żyje, tak że jeśli choć na jeden dzień oddalimy się od naszych pobratymców, zaraz dokucza nam samotność. Lecz kiedy Alweryk przekroczył granicę zmierzchu, ta zaporą znikła. Kroczące po wrzosowisku wrony przyglądały mu się badawczo,

różnorakie małe stworzenia zerkwały ciekawie na kogoś, kto wyruszył w podróż, z której tak niewielu powróciło, gdyż król Elfów dobrze pilnował swojej córki, choć młodzieniec nie miał pojęcia, w jaki sposób. We wszystkich tych oczach Alweryk dostrzegł wesołą iskierkę zainteresowania i wyraz, który mógł być dlań ostrzeżeniem.

Możliwe, że z tej strony granicy zmierzchu było mniej tajemnic niż po naszej, bo nic nie czaiło się ani nie zdawało się czaić za wielkimi dębami, jak w pewnym oświetleniu i o pewnych porach coś może się czaić na znanych nam ziemiach; nic dziwnego nie kryło się na dalekich górskich graniach; nic nie nawiedzało leśnej gęstwiny; cokolwiek mogłoby się czaić, najwyraźniej miało być widoczne, wszystko, co dziwaczne, rozpościerało się w pełni przed oczami wędrowca, a cokolwiek nawiedzało leśne gęstwiny, mieszkało tam w biały dzień.

A ponad całą tą krainą rozciągał się tak mocny czar, że zwierzęta i ludzie nie tylko dobrze się rozumieli, lecz wzajemne zrozumienie sięgało od ludzi do drzew i od drzew do ludzi. Samotne sosny, które od czasu do czasu Alweryk mijał na wrzosowisku — ich pnie zawsze świeciły czerwonym blaskiem, a otrzymały go z pomocą magii od jakiegoś dawno minionego zachodu słońca — zdawały się stać, podparwszy się pod boki, i pochylać nieco, aby na niego spojrzeć. Wydawało się niemal, że nie zawsze były drzewami, zanim zawładnął nimi czar. Odnosił wrażenie, iż chcą coś mu powiedzieć.

Lecz Alweryk nie zważał na przestrogi ani zwierząt, ani drzew i szybkimi krokami podążał w stronę zaczarowanego lasu.

### **III**

## **ALWERYK STACZA BÓJ Z ELFAMI**

Kiedy Alweryk dotarł do zaklętego lasu, blask, którym świeciła Kraina Elfów, ani nie rozjarzył się, ani nie przygasł. Młodzieniec zauważył, że ten blask nie miał nic wspólnego z poświatą znaną z naszego świata, chyba że chodzi o błędne ogniki, które czasami pojawiają się na naszych polach i łąkach i gasną w tej samej chwili, gdyż zawędrowały poza granicę Krainy Elfów z powodu jakiegoś chwilowego magicznego zakłócenia. Światło tego zaczarowanego dnia nie miało nic wspólnego ani ze słońcem, ani z księżycem.

Rząd sosen oplecionych bluszczem, który sięgał aż do ich ciemnych igieł, stał niczym strażnicy na skraju lasu. Srebrne wieżyczki pałacu błyszcząły, jakby to one

roztaczały cały ten lazurowy blask, w którym skąpana była Kraina Elfów. Teraz Alweryk, który tymczasem zapuścił się w głąb magicznej krainy, dotarł do pałacu jej władcy i zrozumiał, że ten świat dobrze strzeże swoich tajemnic. Wyciągnął więc miecz swego ojca, zanim wszedł do zaklętego lasu. Drugi, czarodziejski brzeszczot, ukryty w nowej pochwie, nadal niósł na plecach, przewieszony przez lewe ramię.

W chwili gdy mijał jedną z sosen-strażników, otulający ją bluszcz odwinął pędy, szybko zsunął się w dół i chwycił intruza za szyję.

Na szczęście Alweryk trzymał w ręku obnażony ojcowski miecz. Gdyby nie wyjął był go z pochwy, nie zdołałby tego uczynić w owej chwili, bo tak szybki był atak bluszczu. Walczył, odrabując pęd za pędem, które owijały się wokół jego członków tak, jak wokół starych wież, a mimo to atakowało go coraz więcej pędów dopóty, dopóki nie odciął głównej łodygi znajdującej się między nim a drzewem. Kiedy to zrobił, usłyszał za sobą sykliwy ruch. To inny bluszcz opuścił swoje drzewo i atakował go z rozpostartymi wszystkimi liśćmi. Zielony napastnik wyglądał na bardzo rozgniewanego, gdy chwycił młodzieńca za ramię tak mocno, jakby chciał trzymać go tak zawsze. Lecz Alweryk jednym ciosem miecza odciął te pędy, a potem walczył z pozostałymi. Pierwszy bluszcz nadal żył, ale nie mógł dosięgnąć przybysza, ponieważ był za krótki, więc gniewnie smagał tylko gałązkami ziemię. I wkrótce, gdy nieoczekiwany atak się skończył i dało się uwolnić od napastliwych pnączy, młodzieniec cofnął się tak daleko, że napastnicy nie mogli go dosięgnąć, on zaś był w stanie walczyć z nimi długim ojcowskim brzeszczotem. Wówczas bluszcz odpełził w stronę drzew, żeby zwabić intruza, po czym skoczył nań, gdy ten poszedł za nim. Ale choć uścisk bluszczu był mocny, człowiek miał dobry, ostry miecz. Niebawem Alweryk, choć posiniaczony, tak posiekał atakującą go roślinę, że ta uciekła z powrotem na swoje drzewo. Potem młodzieniec cofnął się i spojrzał na zaklęty las. Teraz, mając w pamięci to, co go spotkało, ostrożnie wybierał drogę. Natychmiast też zauważył, że w utworzonej przez sosny zaporze, na dwóch drzewach, przed którymi stał, bluszcz tak ucierpiał w walce, że jeśli przejdzie między nimi, żadna z zaczarowanych roślin nie będzie w stanie go dosięgnąć. Kiedy jednak postąpił do przodu, w tej samej chwili spostrzegł, że sosny zbliżyły się do siebie. Zrozumiał, że czas już użyć magicznego miecza.

Dlatego schował ojcowski oręż do wiszącej u pasa pochwy i wyciągnął drugi, zarzucony na plecy. Podszedł prosto do drzewa, które się poruszyło, ciął mieczem bluszcz, gdy ten nań skoczył. Napastnik zaraz upadł na ziemię, żywy, lecz była to już tylko zwyczajna roślina. Później Alweryk zadał cios drzewu, tak że odrąbał kawałek pnia, nie większy niż zrobiłby to zwyczajny brzeszczot, lecz cała sosna zadrżała i straciła

groźny wygląd. Stała się zwykłym, nie zaczarowanym drzewem. Wtedy młodzieniec wszedł do lasu z obnażonym mieczem w dłoni.

Nie uszedł daleko, kiedy usłyszał za sobą odgłos podobny do cichego szumu wiatru w koronach drzew jakkolwiek powietrze w lesie było nieruchome. Rozejrzał się więc wokoło i zobaczył, że sosny suną za nim. Poruszały się powoli, trzymając z dala od zaklętego miecza, ale doganiały człowieka z lewa i prawa, starając się go okrążyć. Półkole drzew stawało się coraz grubsze, gdyż przeciskały się między tymi, które młodzieniec napotykał po drodze, i wydawało się, iż wkrótce zmiażdżą go na śmierć. Alweryk natychmiast zrozumiał, że powrót źle się dla niego skończy. Postanowił zatem brnąć dalej, licząc głównie na szybkość. Zauważył bowiem, że kierująca lasem elfowa magia działa powoli. Wyglądało to tak, jakby to, co kontrolowała, było stare, zmęczone lub coś mu przeszkadzało. Dlatego młodzieniec ruszył prosto przed siebie, uderzając magicznym mieczem każde napotkane drzewo, zwykłe lub zaczarowane, a zawarte w metalu runy z drugiej strony Słońca okazały się silniejsze od miejscowych czarów. Wielkie dęby o groźnie wyglądających pniach opuściły konary i straciły magiczną moc, gdy Alweryk machnął przed nimi czarodziejskim brzeszczotem. Szedł szybciej niż niezdarne sosny. I wkrótce pozostawił w tym dziwnym, niesamowitym lesie pasmo niezaczarowanych drzew, które nie miały w sobie nic romantycznego ani nawet tajemniczego.

Potem nagle wyszedł z ciemnego boru na wspaniałe, szmaragdowe trawniki króla Elfów. I znowu w naszym świecie mamy coś, co trochę je przypomina. Wyobraźcie sobie nasze trawniki właśnie wyłaniające się z nocy, pokryte połyskującymi kroplami rosy, gdy zaszły już wszystkie gwiazdy. Trawniki okopane kwiatami, które dopiero co się pojawiają w półmroku, odzyskując po nocy wszystkie swoje barwy, trawniki, na których nie stanęła ludzka stopa. Drzewa, w których liściach nadal kryje się mrok: wyobraźcie sobie, jak czekają, aż ptaki zaczną śpiewać. Czasami w tym wszystkim można dojrzeć niemal odbłask trawników Krainy Elfów, lecz mija on tak szybko, że nigdy nie możemy być tego pewni. Piękniejsze od najśmielszych przypuszczeń, od nadziei, która mogła świtać w naszych sercach, były krople rosy i półmrok, w jakim świeciły i błyszcząły te trawniki. Jest jeszcze coś, z czym możemy je porównać, z wodorostami lub morskimi mchami porastającymi skały Morza Śródziemnego, które połyskują w niebieskozielonej wodzie ku zachwytowi ludzi patrzących z wysokich klifów. Te trawniki bardziej przypominały z wyglądu morskie dno niż jakkolwiek zakątek naszego świata, gdyż powietrze Krainy Elfów jest tak gęste i niebieskie.

Na widok tych trawników Alweryk zatrzymał się i patrzył, jak lśnią w półmroku,

skroplone rosą, otoczone masą wspaniałych fioletoworóżowych i czerwonych kwiatów Krainy Elfów, przy których bledną nasze zachody słońca, a storczyki więdną. Poza nimi, jak pasmo nocy, rozciągał się zaczarowany bór. W tym lesie, z połyskliwymi, szeroko otwartymi drzwiami, oknami bardziej błękitnymi niż nasze niebo w letnie noce, jak zbudowany z blasku gwiazd, jaśniał pałac, o którym można opowiedzieć tylko w pieśni.

Młodzieniec stał tam z mieczem w dłoni na skraju lasu, ledwie śmiejąc odetchnąć, chłonąc wzrokiem, ponad trawnikami, największy cud Krainy Elfów. Wtedy przez jedne z drzwi wyszła córka króla Elfów. Oślepiająco piękna, szła w stronę trawników, nie widząc Alweryka. Jej stopy musnęły rosę, gęste powietrze i na chwilę przygięły szmaragdową trawę, która ugięła się i podniosła, jak nasze dzwonki kiedy siadają na nich i odlatują niebieskie motyle, wędrujące beztrosko wśród wapiennych wzgórz.

I kiedy tak kroczyła, młodzieniec nie odetchnął ani się nie poruszył, i nie mógłby tego zrobić, nawet gdyby nadal ścigały go zaczarowane sosny, które jednak pozostały w lesie, nie śmiejąc dotknąć tych cudownych trawników.

Elfowa królowna nosiła koronę, która wyglądała jak wyrzeźbiona z wielkich szafirów; jaśniała na pałacowych trawnikach i w ogrodach niczym nieoczekiwanie wstający po długiej nocy świt na jakiejś planecie krążącej wokół Słońca bliżej niż nasza. Kiedy zbliżyła się do Alweryka, nagle odwróciła głowę i otworzyła oczy ze zdumieniem. Nigdy bowiem nie widziała mężczyzny z naszego świata.

A młodzieniec spojrzał w jej oczy, wciąż oniemiały z zachwytu Albowiem była to królowa Lirazel w całej swej krasie. Potem zauważył, że jej korona jest nie z szafirów, lecz z lodu.

— Kim jesteś? — zapytała głosem brzmiącym — jeśli można go porównać do ziemskich dźwięków — jak tysiące odłamków lodu kołysanych przez wiosenny wiatr na jeziorach w jakimś kraju na północy.

On zaś odrzekł: — Przybyłem z ziem, które znane są ludziom i naniesione są na mapy.

Wtedy ona westchnęła na myśl o tamtych ziemiach, gdyż słyszała, że życie mija tam pięknie, że zawsze są tam młode pokolenia. Pomyślała też o zmieniających się porach roku, o dzieciach i o starości, o których śpiewali elfowi minstrele w swych pieśniach o Ziemi.

Kiedy Alweryk usłyszał to westchnienie, powiedział jej trochę o kraju, z którego przybył. Ona zaczęła go wypytywać i wkrótce opowiedział jej o swoim domu i o Dolinie Erlu. Wysłuchawszy tego, Lirazel zamyśliła się i zadała Alwerykowi jeszcze więcej pytań. Wówczas młodzieniec wyjawiał jej wszystko, co wiedział o Ziemi. Nie

ośmielił się jednak opowiedzieć dziejów swojego świata na podstawie tego, co widział w swoim krótkim, dwudziestoletnim życiu. Powtórzył elfowej królowie pradawne historie i baśnie o zwyczajach ludzi i zwierząt, które starcy z Erlu opowiadają wieczorami przy ognisku, gdy dzieci zapytają ich o to, co działo się dawno temu. I tak na skraju cudownych trawników, które okalały nieznane ludziom kwiaty, z zaklętym lasem w tyle i przed świecącym pałacem władcy Elfów, rozmawiali o zwykłej mądrości starych mężczyzn i kobiet, o zbiorach, o kwitnieniu róż, o tym, kiedy należy zasiać kwiaty i warzywa w ogrodach, o znanych ludziom dzikich zwierzętach; o leczeniu chorób, o siewach, o kryciu chat strzechą, i o wiatrach wiejących w różnych porach roku w świecie ludzi.

Potem zjawili się rycerze strzegący pałacu króla Elfów przed tymi, którzy przebyli zaczarowany las. Było ich czterech, wszyscy w błyszczących zbrojach, z zasłoniętymi twarzami. Przez całe swoje długie, liczące wiele stuleci życie rycerze ci nie ośmielili się śnić o swojej królowie; nie odsłanili twarzy, gdy ukłękli przed nią. Złożyli jednak niegdyś uroczystą przysięgę, iż nigdy żaden człowieczy osobnik nie będzie z nią rozmawiać, gdyby udało mu się przejść przez zaklęty bór. Powtarzając teraz słowa tej przysięgi, pomaszrowali w stronę Alweryka.

Lirazel spojrzała na nich ze smutkiem, ale nie mogła ich powstrzymać, ponieważ wykonywali rozkaz jej ojca, ona zaś nie mogła go odwołać. Dobrze wiedziała, że jej ojciec nie cofnie tego rozkazu, gdyż wypowiedział go przed wiekami na polecenie Losu. Alweryk spojrzał na zbroje rycerzy, wykonane, jak się zdawało, z jasno błyszczącego metalu, którego nie sposób znaleźć na Ziemi. Metal ten lśnił tak, jak pobliski czarodziejski pałac. Potem młodzieniec ruszył w stronę Elfów, wyciągnąwszy z pochwy oręż swego ojca. Sądził bowiem, że zdoła wbić jego ostry czubek w jakieś złącze zbroi elfowych rycerzy. Drugi miecz ujął w lewą dłoń.

Kiedy zaatakował go pierwszy rycerz, Alweryk odbił cios, lecz impet tego uderzenia był tak wielki, jakby piorun poraził ramię młodzieńca, i miecz wypadł mu z ręki. Wtedy Alweryk zrozumiał, że żaden ziemski oręż nie pokona broni z Krainy Elfów. Przełożył więc magiczny miecz do prawej ręki. Tym brzeszczotem odbijał ciosy gwardzystów królowy Lirazel, a byli nimi ci rycerze, którzy czekali na taką okazję przez wszystkie wieki istnienia Krainy Elfów. I już nie poraził go cios żadnego z ich mieczy, czuł tylko wibrację swojego brzeszczotu, jakby niesłyszalnej pieśni. Zaklęty miecz rozjarzył się blaskiem, który dotarł do serca Alweryka i dodał mu otuchy.

Ale kiedy młodzieniec wciąż parował ciosy elfowych gwardzystów, jego spokrewniony z błyskawicą miecz znużył się, gdyż jego esencją była szybkość i

desperackie wyprawy. Dlatego magiczny oręż podniósł dzierżącą go rękę i zasypał uderzeniami elfowych rycerzy, których zbroje nie zdołały go powstrzymać. Przez szczeliny w zbrojach Elfów popłynęła niezwykła, gęsta krew i niebawem dwóch przeciwników runęło na ziemię. Alweryk, którego moc magicznego brzeszczotu podniosła na duchu, walczył radośnie i wkrótce powalił następnego rycerza. Pozostał tylko jeden gwardzista, na którego, jak się zdaje, rzucono mocniejszy czar niż na jego pokonanych towarzyszy. I rzeczywiście tak się stało, gdyż król Elfów zaczarował tego żołnierza jako pierwszego, kiedy moc jego zaklęć była największa. Dlatego też ów rycerz, jego zbroja i miecz nadal miały w sobie coś z pierwotnej magii tego elfowego władcy, potężniejszej niż późniejsze czary, powstałe z inspiracji jego umysłu. A nadto na tego rycerza, jak Alweryk niebawem miał przekonać się na własnej skórze, nie rzucono żadnego z trzech najpotężniejszych zaklęć, o których mówiła stara czarownica. Albowiem nie wypowiedział ich król Elfów, który sam się w ten sposób zabezpieczył. By dowiedzieć się o ich istnieniu, czarownica musiałaby polecieć na miotle do Krainy Elfów i pomówić w tajemnicy z samym ojcem Lirazel.

Ale w końcu miecz, który przybył na Ziemię z tak daleka, uderzył niczym piorun. Ze zbroi elfowego wojownika strzeliły zielone iskry, a szkarłatne, gdy zderzyły się miecze walczących. Także gęsta krew popłynęła powoli z szerokich szczelin zbroi ostatniego gwardzisty. Lirazel patrzyła ze zdumieniem, lękiem i miłością. Obaj przeciwnicy zagłębiali się w las, odrabując podczas walki gałęzie. Runy na mieczu Alweryka śpiewały z radości w boju z elfowym rycerzem. Wreszcie młodzieniec zabił go w leśnym mroku, wśród gałęzi odciętych z odczarowanych drzew, ciosem tak silnym jak piorun uderzający w mocarny dąb.

Usłyszawszy ten huk, po którym zapanowała głęboka cisza, Lirazel podbiegła do Alweryka.

— Chodź! Szybko! — powiedziała. — Gdyż mój ojciec ma trzy zaklęcia... — Ale nic więcej nie mogła o nich mówić.

— Dokąd?

— Do twojego świata — odparła.

## IV

### ALWERYK POWRACA DO ŚWIATA LUDZI

Alweryk i Lirazel ruszyli przez zaczarowany las. Królowna tylko jeszcze raz spojrzała na kwiaty i na trawniki, które widzieli jedynie poeci w najbardziej fantastycznych snach, po czym ponagliła młodzieńca. Alweryk zamierzał iść między drzewami, które odczarował.

A ona nie pozwoliła mu nawet się zatrzymać, by lepiej wybrać drogę, lecz ponagliła, żeby jak najszybciej oddalili się od pałacu jej ojca. Wtedy podążyły ku nim inne drzewa, spoza rzędu tych, które Alweryk ciął mieczem. Dziwnie wyglądały, gdy dotarły do swoich towarzyszy, których opadające gałęzie utraciły wszelki czar i tajemniczość. Kiedy te drzewa zbliżyły się do uciekinierów, Lirazel podniosła rękę. Drzewa znieruchomiały, ale królowna nadal nakłaniała młodzieńca do pośpiechu.

Wiedziała, że jej ojciec wejdzie spiżowymi schodami na jedną ze srebrnych wieżyczek, że wkrótce wyjdzie na jeden z wysokich balkonów. Wiedziała, jakie zakłęcie zaśpiewa. Usłyszała już odgłos jego kroków, rozbrzmiewający teraz w czarodziejskim lesie. Uciekali więc przez równinę poza zaklętym borem przez wieczny elfowy dzień. Lirazel raz po raz spoglądała przez ramię i ponagliła towarzysza. Stopy króla Elfów powoli dudniły na tysiącu spiżowych stopni. Lirazel miała nadzieję, że dotrą do granicy zmierzchu, która z tej strony była przyćmiona i matowa. Wtem, kiedy po raz setny obejrzała się na dalekie balkony połyskliwych pałacowych wieżyczek, zobaczyła, że jedne z drzwi zaczynają się otwierać.

Zawołała: — Niestety! — do Alweryka, lecz w tej samej chwili owionął ich zapach dzikich róż ze świata ludzi.

Alweryk nie wiedział, co to zmęczenie, z powodu młodego wieku, Lirazel również, gdyż była nieśmiertelna. Rzucili się do przodu, młodzieniec chwycił Elfinę za rękę. Król Elfów uniósł głowę i właśnie wtedy, gdy zaczął śpiewać zakłęcie, które można wypowiedzieć tylko raz, któremu nie może oprzeć się nic, co ziemskie, uciekinierzy przekroczyli granicę zmierzchu. Zakłęcie to wstrząsnęło i poruszyło krainą, w której już nie było Lirazel.

Kiedy Elfina spojrzała na świat ludzi, tak obcy dla niej, jak niegdyś był dla nas, zachwyciło ją jego piękno. Roześmiała się na widok stogów siana i spodobał się jej ich osobliwy kształt. W górze śpiewał skowronek. Lirazel przemówiła do niego, ale ptak zdawał się jej nie rozumieć. Lecz elfowa królowna skupiła uwagę na innych

wspaniałościach ziemskich pól, bo wszystko było dla niej nowe, i zapomniała o skowronku. O dziwo, nie była to już pora kwitnienia dzwonków, gdyż kwitła naparstnica, maj przeminął i rozkwitły dzikie róże. Alweryk nic z tego nie rozumiał.

Był wczesny ranek, świeciło słońce, nadając ciepłe barwy polom i łąkom. Lirazel radował widok rzeczy bardziej codziennych i pospolitych na Ziemi, niż można by przypuszczać. Tak była zadowolona, tak wesoła, śmiejąc się, wydając okrzyki zaskoczenia, że jaskry wydały się Alwerykowi znacznie piękniejsze, niż mógł dotąd sądzić, a w furmankach znalazł więcej zabawnych cech, których nigdy przedtem nie dostrzegął. Co chwila z radosnym okrzykiem Elfina odkrywała jakiś skarb Ziemi, którego piękna młodzieniec nie zauważał. I kiedy tak patrzył, jak przynosiła naszym polom i łąkom wdzięk jeszcze delikatniejszy niż dzikie róże, spostrzegł też, iż jej lodowa korona stopniała.

Tak oto córka króla Elfów przybyła z legendarnego pałacu do kraju, którego nie muszę opisywać, gdyż jest on częścią Ziemi. Ziemi, którą mijające stulecia zmieniają tak niewiele i na tak krótko.

Wszystko zmieniło się w Zamku Erl. W bramie ujrzeli wartownika, którego Alweryk znał, a tamten zdumiał się na ich widok. W sieni i na schodach spotkali służących, którzy spojrzeli na nich z zaskoczeniem. Alweryk znał także i ich, ale wszyscy postarzelisi i młodzieniec zrozumiał, że podczas jednego dnia, który spędził w Krainie Elfów, na Ziemi upłynęło przynajmniej dziesięć lat.

Wszyscy wiedzą, że tak się rzeczy mają w Krainie Elfów. A przecież kogo by to nie zaskoczyło, gdyby zobaczył to na własne oczy, tak jak teraz Alweryk? Odwrócił się do Lirazel i wyjaśnił jej, że od jego odejścia upłynęło dziesięć albo i dwanaście lat. Spotkał się z taką samą reakcją, jak biedak, który poślubił ziemską księżniczkę i oznajmił jej, że zgubił kilka miedziaków. Czas nie miał ani wartości, ani znaczenia dla Lirazel, która ze spokojem przyjęła słowa ukochanego o utraconych dziesięciu latach. Nie miała zielonego pojęcia, co znaczy dla nas czas.

Alweryk dowiedział się, że jego ojciec już dawno zmarł. Opowiedziano mu, że odszedł szczęśliwy, bez niepokoju, ufny, że syn wykona powierzona mu misję. Wiedział bowiem coś tam o tajemnicach Krainy Elfów i rozumiał, że ci, którzy tam trafiają, zaznają trochę spokoju, w jakim wiecznie drzemie ten osobliwy świat.

Mimo późnej pory usłyszeli szcęk kowalskiego młota. Był to ten sam kowal, który niegdyś przemawiał jako rzecznik mieszkańców Erlu do pana tej doliny w długiej, czerwonej sali. Wszyscy oni jeszcze żyli, bo w tej dalekiej dolinie czas, tak jak wszędzie

na naszej prowincji, w przeciwieństwie do ludzkich miast, płynie powoli.

Potem Alweryk i Lirazel udali się do siedziby księdza-pustelnika, chcąc go prosić, aby udzielił im chrześcijańskiego ślubu. Kiedy ten ujrzał olśniewającą urodą Lirazel w swoim skromnym kościółku — a ozdobił jego ściany bibelotami, które od czasu do czasu kupował na jarmarkach — przestraszył się, że taka piękność nie pochodzi z rodu śmiertelników. A gdy zapytał ją, skąd pochodzi, ona zaś odrzekła beztrósco, że „z Krainy Elfów”, ten pocziwiec załamał ręce i odpowiedział jej z powagą, iż żaden z mieszkańców tego kraju nie dostąpi zbawienia. Lecz Lirazel uśmiechnęła się, gdyż w swojej ojczyźnie zawsze żyła w szczęściu i beztrósce, a teraz obchodził ją tylko Alweryk. Pustelnik poszedł więc do swoich ksiąg, by się dowiedzieć, co powinien zrobić w takiej sytuacji.

Długo czytał w ciszy, którą mącił tylko jego oddech, podczas gdy Alweryk i Lirazel stali przed nim. Wreszcie znalazł w księdze formułę małżeństwa pewnej syreny, która wyrzekła się morza. I chociaż księga ta nie wspominała o Krainie Elfów, oświadczył, że to wystarczy, gdyż syreny, podobnie jak Elfy, nie zostaną zbawione. Dlatego polecił poszukać dzwonka i świec potrzebnych do dokonania tego obrzędu. Wtedy to polecił Lirazel porzucić i wyrzec się wszystkiego, co ma związek z Krainą Elfów. Czytał powoli z księgi formuły niezbędne do tej zbawiennej ceremonii.

— Dobry bracie — odparła na to Lirazel — nic, co zostanie powiedziane w waszych ziemiach, nie może przedostać się przez granicę Krainy Elfów. I dobrze, że tak jest, gdyż mój ojciec zna trzy zaklęcia, z których jedno zniszczyłoby tę księgę, gdyby choć słowo mogło przeniknąć granicę zmierzchu. Nie chcę rywalizować z moim ojcem w rzucaniu czarów.

— Ale ja nie mogę udzielić ślubu chrześcijaninowi z jedną z tych upartych istot, które nie zostaną zbawione...

Wtedy Alweryk zaczął błagać Elfinę. Ta uległa i powtórzyła słowa ze świętej księgi, choć dodała, że „ta formuła magiczna może zostać unicestwiona, jeśli kiedykolwiek natrafi na jeden z czarów mego ojca”.

Potem, ponieważ przyniesiono już dzwonek i świece, zacny braciszek udzielił im ślubu w swoim kościółku wedle rytuału przewidzianego dla syreny, która wyrzekła się morza.

# V

## MĄDROŚĆ ERLAŃSKIEJ RADY

W tych weselnych dniach Erlanie często przychodzili do zamku, przynosząc dary i składając życzenia nowożeńcom, a wieczorami w swoich domach rozmawiali o nadziejach na mające nastąpić szczęśliwe wydarzenia. Oczekiwali ich dzięki okazanej niegdyś przez siebie mądrości w rozmowie ze starym władcą w podłużnej czerwonej sali Zamku Erl.

Był tam kowal Narl, który wtedy im przewodził; był Guhic, rolnik żyjący na wyżynie w pobliżu Doliny Erlu, który pierwszy wpadł na ten pomysł po rozmowie z żoną; był też Nehic, poganiacz koni; czterech kupców handlujących bykami; Oth, myśliwy polujący na jelenie; Wel, starszy oracz. Słowem, *ci* wszyscy oraz jeszcze trzech Erlan udali się przed laty do władcy Doliny i przedstawili mu żądanie, z powodu którego następca tronu wyruszył do Krainy Elfów. Teraz zaś mówili o korzyściach, jakie im to przyniesie. Wszyscy pragnęli, żeby Dolina Erlu zasłynęła wśród ludzi tak, jak wedle nich na to zasługiwała. Przeczytali księgi historyczne, prace mówiące o pastwiskach, ale rzadko znajdowali wzmianki o ukochanej Dolinie. Dlatego Guhic oświadczył pewnego dnia: „Niech nami wszystkimi rządzi w przyszłości władca znający magię, który rozśławi imię naszej Doliny i nie będzie nikogo, kto nie słyszał nazwy naszego Erlu”.

I wszyscy ucieszyli się, zwołali wiec i poszli, w dwunastu, do swego władcy. Wtedy stało się to, co już opowiedziałem.

Teraz zaś, przy miodzie pitnym, rozmawiali o przyszłości Erlu, o jego miejscu wśród innych dolin i o reputacji, jaką Dolina powinna mieć w świecie. Spotykali się i snuli plany w wielkiej kuźni Narla, który przynosił im miód pitny z sąsiedniego pomieszczenia, a Threl przychodził późno po pracy w lesie. Miód był warzony z miodu z koniczyny, mocny i słodki. I kiedy tak siedzieli w ciepłym pomieszczeniu, przez chwilę rozprawiali o codziennych sprawach Doliny i gór, po czym zwracali myśli ku przyszłości i oczami wyobraźni widzieli przyszlą chwałę Erlu jak przez złocistą mgiełkę. Jeden z nich wynajmował byki, drugi konie, trzeci żyzną ziemię i wszyscy wypatrywali dnia, kiedy inne kraje uznają, spośród wszystkich dolin, przewagę Doliny Erlu.

I czas, który przyniósł te wieczory, zabrał je, przepływając nad Doliną Erlu tak jak nad wszystkimi naszymi ziemiami. Aż znów nadeszła wiosna i pora kwitnienia dzwonków. A pewnego dnia, w pełni rozkwitu zawilców, rozeszła się wieść, że Alweryk i Lirazel mają syna.

Wtedy następnej nocy wszyscy Erlanie rozpalili ognisko na szczycie wzgórza, tańczyli wokół niego, pili miód i radowali się. Przez cały dzień ściągali na to ognisko kłody i gałęzie z pobliskiego dzikiego lasu i blask tego ognia widziano potem w innych ziemiach. Tylko na bladoniebieskich szczytach gór Krainy Elfów nie odbił się jego refleks, gdyż żadne zdarzenie z naszego świata nie może nic tam zmienić.

Potem, gdy się zmęczyli tańcami, usiedli przy ogniskach i zaczęli rozprawiać o szczęśliwym losie Erlu, kiedy rządzić nim będzie syn Alweryka, który odziedziczy po matce całą jej czarodziejską moc. Jedni oświadczyli, że poprowadzi ich na wojnę, drudzy, że do lepszej pracy, a wszyscy oczekiwali wyższych cen za swoje zwierzęta. Nikt nie spał tamtej nocy, bo wszyscy tańczyli i przewidywali wspaniałą przyszłość, i cieszyli się tymi wszystkimi przepowiedniami. A nade wszystko radowała ich myśl, że odtąd nazwa Erlu będzie znana i szanowana przez wszystkich.

Później Alweryk zaczął szukać niańki dla swego dziecka, w całej Dolinie i w górach, gdyż niełatwo było znaleźć kobietę godną wychowywać dziedzica królestwa Elfów. Te, które znalazł, obawiały się dziwnego blasku, ani ziemskiego, ani niebiańskiego, który zdawał się płonąć w oczach dziecka. W końcu pewnego wietrznego poranka Alweryk udał się na wzgórze samotnej czarownicy i zastał ją siedzącą spokojnie na progu chaty, bo nie miała nic do przeklinania czy błogosławienia.

— No cóż, czy magiczny miecz przyniósł ci szczęście? — zapytała na powitanie czarownica.

— Któż może wiedzieć, co przynosi szczęście, skoro nie potrafimy tego poznać — odparł Alweryk.

Mówił przytłumionym głosem, gdyż zmęczyło go życie i nigdy nie dowiedział się, ile lat upłynęło podczas jego wędrówki po Krainie Elfów. Wydawało mu się, że znacznie więcej niż w tym samym czasie w Erlu.

— Tak — zgodziła się z nim czarownica — któż bowiem zna też koniec jak nie my?

— Matko czarownico — mówił dalej Alweryk — poślubiłem córkę króla Elfów.

— To wielki awans — odparła stara czarownica.

— Matko czarownico, mamy dziecko. Kto będzie mógł je wychowywać?

— To nie człowiecza rzecz — stwierdziła spokojnie.

— Matko czarownico, czy zechcesz więc zejść w Dolinę Erlu, aby opiekować się moim dzieckiem i zarządzać zamkiem? — poprosił Alweryk. — Gdyż w naszej ziemi tylko ty wiesz cokolwiek o Krainie Elfów oprócz elfowej królowej, ale ona nie ma zielonego pojęcia o Ziemi.

Wtedy czarownica odrzekła:

— Przybędę ze względu na króla Elfów.

Niebawem czarownica zeszła ze swego wzgórza z tobołkiem pełnym dziwaczych przedmiotów. I tak oto ta, która znała pieśni i opowieści o Krainie Elfów, wychowywała dziecko urodzone w świecie ludzi. Wiele razy, pochylając się nad kołyską, lub później, podczas długich wieczorów, czarownica i księżniczka Lirazel rozmawiały też o sprawach, o których Alweryk nic nie wiedział. I pomimo wieku czarownicy i zgromadzonej przez nią podczas minionych lat wiedzy to ona uczyła się od Lirazel podczas tych rozmów. A sam Lirazel nie dowiedziała się niczego ani o Ziemi, ani o ziemskich obyczajach.

Stara czarownica tak troskliwie opiekowała się dzieckiem, że nigdy nie zapłakało podczas pierwszych lat życia. Znała bowiem czar przywołujący słoneczny poranek, czar rozweselający dzień oraz czar leczący kaszel. Inny czar ogrzewał pokój dziecinny, sprawiał, że stawał się on przyjemny i tajemniczy, gdy buchające z zaczarowanych polan płomienie rzucały na sufit duże cienie znajomych przedmiotów. A cienie te podrygiwały wesoło.

Lirazel i czarownica opiekowały się chłopcem jak wszystkimi dziećmi, których matki są tylko ludźmi; ale poznał on też pieśni i zaklęcia, których nie znają człowiecze dzieci.

I tak czarownica krążyła po komnacie dziecinnej ze swoją czarną różdżką, pilnując malca swymi czarami. Jeżeli w wietrzne noce podmuchy wiatru wdzierały się przez jakąś szczelinę w murach, uciszała je jednym słowem. Znała też czar, który sprawiał, że bulgotanie kociołka z gotującą się wodą zamieniało się w dziwną, melodyjną opowieść o tajemniczych wydarzeniach z zasłoniętych mgłą miejsc. W taki oto sposób chłopiec poznał sekrety dolin, których nigdy nie widział na oczy. U schyłku dnia jego opiekunka podnosiła hebanową różdżkę i, stojąc przed ogniskiem pośród cieni, rzucała na nie czar, aby tańczyły dla jej wychowanka. Przybierały one wszystkie możliwe postacie dobra i zła, płasząc ku ucieście dziecka. Miało to miejsce wieczorami i w ten sposób chłopiec poznał nie tylko to, co zapełnia Ziemię — świnie, drzewa, wielbłądy, krokodyle, wilki, kaczki, dobre psy i spokojne krowy — lecz także wszystkie ciemne moce, których boją się ludzie, oraz ludzkie nadzieje i przewidywania. Wieczorem prawdziwe przedmioty i istoty przesuwwały się po ścianach dziecinnej komnaty i w ten sposób chłopiec poznawał świat ludzi. W ciepłe popołudnia czarownica zanosila go do wioski. Wszystkie psy szczekały na widok jej dziwnej postaci, ale nie śmiały się zbliżyć, gdyż idący z tyłu paż niósł jej różdżkę czarodziejską. A psy, które tyle wiedzą — jak daleko człowiek może rzucić kamieniem, czy odważy się je zbić, czy nie —

rozumiały też, iż nie jest to zwykły patyk. Dlatego trzymały się z daleka od tego dziwnego czarnego kijka w rękach pazia i warczały, a wieśniacy wychodzili z domów, żeby popatrzeć. I wszyscy cieszyli się, widząc, jak wielką władczynią mocy jest niańka ich przyszłego pana; „gdyż jest to czarownica Ziroonderel”, mówili i myśleli, że nauczy go ona wszystkich zasad magii i że kiedy obejmie on rządy, ich Dolina zasłynie z czarów. Dlatego bili psy, aż te uciekały do ich chat, lecz nadal nie dowierzały czarownicy. Wiezorami, kiedy mężczyźni udawali się do kuźni Narla, opuszczając ciche, zalane księżycowym blaskiem domy, i tylko spoza okiennic kowala sączyło się światło, gdy miód pitny krążył wśród zgromadzonych, którzy rozmawiali o wspaniałej przyszłości Erlu, coraz więcej głosów przyłączało się do tej opowieści, a psy wychodziły bezszelestnie na piaszczystą drogę i wyły.

Wysoko w zamku, do słonecznej komnaty dziecinnej przychodziła też Lirazel, przynosząc blask, którego czarownica, choć tak uczona, nie mogła zaczerpnąć z żadnego zaklęcia. Śpiewała synowi pieśni, których nikt z ludzi nie może zaśpiewać, gdyż nauczyła się ich po drugiej stronie granicy zmierzchu. Ułożyli je minstrele nie znający władzy Czasu, a niezwykle wydarzenia, o których opowiadały, działy się tak daleko od naszego świata i tak dawno, że nie znali ich nasi kronikarze. W gorące letnie dni, kiedy przez otwarte okna zamku melodie te docierały do najdalszych zakątków Erlu, ludzi dziwiła ich odmienność. Lecz jeszcze bardziej zdumiewały Elfina ludzkie cechy dziecka i jego coraz bardziej ludzkie zachowanie, w miarę jak dorastał. Albowiem wszystko, co ludzkie, było dla niej całkowicie obce.

Mimo to kochała syna bardziej niż królestwo swego ojca lub niezliczone stulecia wiecznej młodości czy legendarny pałac.

W tych dniach Alweryk zdobył pewność, że Lirazel nigdy nie zaznajomi się z ziemskim światem, nigdy nie zrozumie ludzi zamieszkujących Dolinę Erlu, nigdy nie przeczyta bez śmiechu mądrych ksiąg. Nigdy też nie będzie się przejmować ziemskimi zwyczajami i nigdy nie poczuje się w Zamku Erl jak u siebie, podobnie jak leśne stworzenie, które Threl by schwytał i trzymał w domu w klatce. Przedtem książę miał nadzieję, że wkrótce jego małżonka nauczy się tego, co było dla niej obce, aż niewielkie różnice między życiem w Krainie Elfów a naszym światem przestaną ją niepokoić. W końcu jednak zdał sobie sprawę, że obce dla niej rzeczy na zawsze pozostaną takimi i że doświadczenia tak krótkiego życia wśród nas nie mogą zmienić myśli i wyobraźni ukształtowanych przez wieki w krainie, gdzie pojęcie czasu nie istnieje. Kiedy to zrozumiał, poznał prawdę.

Cała odległość między Ziemią i Krainą Elfów oddzielała Alweryka i Lirazel. A

miłość, która łączy jeszcze większe dystanse, była jedynym mostem między nimi. Mimo to, kiedy od czasu do czasu Alweryk przystawał na tym złotym moście i spoglądał w otchłań w dół, dostawał zawrotów głowy i drżał na całym ciele. Nie wiedział, jak to się skończy, i obawiał się, że koniec będzie jeszcze dziwniejszy niż początek.

Jeśli chodzi o Lirazel, nie dostrzegła ona, że ma pewne braki w zdobytej wiedzy o świecie ludzi. Czyż jej uroda nie wystarczała? Czy ukochany nie przybył w końcu do trawników błyszczących przed pałacem jej ojca, aby uratować ją przed samotnością i odwiecznym spokojem Krainy Elfów? Czy nie wystarczało, że po nią przybył? Czy ona sama koniecznie musi zrozumieć dziwaczne zachowania ludzi? Czy powinna przestać tańczyć na drodze, nigdy nie mówić do kóz, nigdy nie śmiać się na pogrzebach, nigdy nie śpiewać w nocy? Dlaczego? Co warta jest radość, jeśli trzeba ją ukrywać? Czy wesołość musi zamieniać się w nudę w tym dziwnym kraju, do którego zawędrowała? A potem któregoś dnia zobaczyła, że pewna Erlanka wydaje się mniej ładna niż przed rokiem. Zmiana była niewielka, ale bystre oczy Elfiny dobrze to zauważyły. Potem poszła z płaczem do męża, szukając u niego pociechy, gdyż złękła się, że czas w świecie ludzi może zaszkodzić jej urodzie, której nie ośmieliły się przyćmić niezliczone wieki w Krainie Elfów. Zaś Alweryk odpowiedział jej, że nie można powstrzymać upływu Czasu i że wszyscy ludzie dobrze o tym wiedzą — dlatego skargi na nic się jej nie zdadzą.

## VI

### NAJPOTĘŻNIEJSZE ZAKLĘCIE KRÓLA ELFÓW

Na wysokim balkonie świecącej wieży swego pałacu stał władca Elfów. Pod nim odbijało się echem jeszcze tysiąc stopni. Podniósł głowę, żeby zaśpiewać zaklęcie, które powinno zatrzymać jego córkę w Krainie Elfów, i w tej samej chwili zobaczył, że przeszła przez mroczną zaporę. Zaporę, która z tej strony, zwróconej ku Krainie Czarów, cała lśni blaskiem zmierzchu, a z drugiej, jak wiedział, zwrócona do świata ludzi, jest ciemna, groźna i matowa. Wtedy pochylił głowę tak, że włosy z jego brody przemieszały się z futrem gronostajowego płaszcza narzuconego na błękitną opończę. Stał tam, cierpiąc w milczeniu, a czas jak zawsze bardzo szybko płynął w naszym świecie.

I stojąc tak, cały w bieli i błękicie na tle srebrnej wieży, postarzały przez minione

stulecia, o którym nic nie wiemy, zanim narzucił wieczny spokój Krainie Elfów, pomyślał o swojej córce wydanej na łup bezlitosnego Czasu. Albowiem dobrze znał bezwzględność materii i zamęt Czasu, gdyż jego wiedza sięgała poza granice Krainy Elfów do naszego brutalnego świata. Nawet kiedy tak stał na balkonie, wiedział, że upływające lata atakują urodę i niezliczone kłopoty dręczące ludzkie dusze już dopadły jego córkę. I dni, które jeszcze jej pozostały, wydały mu się bardzo krótkie, gdyż przebywał poza niepokojem i niszczycielskim wpływem Czasu. Czasu tak krótkiego, jak dla nas godziny życia kwiatu dzikiej róży, zerwanego i nierozważnie sprzedanego na ulicach jakiegoś miasta. Zdawał sobie sprawę, że jego ukochane dziecko czeka los wszystkich śmiertelnych stworzeń. Pomyślał, że Lirazel wkrótce zginie, jak wszyscy ludzie, i zostanie pogrzebana wśród skał kraju, który gardził Krainą Elfów i który za nic miał jej najbardziej cenione mity. I gdyby nie był władcą całej tej czarodziejskiej krainy, która czerpała swój wieczny spokój z jego własnej pogody charakteru, zapłakałby na myśl o grobie w skalistej ziemi. O grobie, który ukryje jego córkę, a przecież jej uroda miała trwać wiecznie. A może, pomyślał, przejdzie ona do jakiegoś raju, o którym nic nie wiedział, jakiegoś nieba, o którym mówiły księgi z ludzkiego świata, gdyż pan Elfów słyszał nawet o tym. Wyobraził sobie Lirazel w krainie wiecznej wiosny, na wzgórzu pod ukwieconymi jabłoniemi, przez które prześwitywały bladozłote aureole tych, którzy przekleli Krainę Elfów. Pomimo całej swojej magicznej wiedzy zobaczył, chociaż tylko mgliście, całą chwałę, którą wyraźnie widzą tylko błogosławieni. Ujrzał na tych niebiańskich wzgórzach swoją córkę, jak wyciąga ramiona w stronę bladoniebieskich szczytów utraconej ojczyzny. I nikt z błogosławionych nie zwracał uwagi na jej tęsknotę. I wtedy, chociaż był władcą krainy, która czerpała swój wieczny spokój od niego samego, zapłakał. Cała Kraina Elfów zadrżała, jak drży spokojna woda, kiedy dotknie ją coś z naszego świata.

A potem król Elfów opuścił balkon i z wielkim pośpiechem zszedł po spiżowych stopniach wieży.

Głośno zatrzasnął drzwi z kości słoniowej, które prowadziły do wieży, i wszedł do sali tronowej, o której tylko pieśń może opowiedzieć. Tam wyjął jakiś pergamin z kufra i pióro ze skrzydła nieznanego nam bajecznego ptaka. Zanurzył je w ziemskim atramencie i napisał jakieś zaklęcie na pergaminie. Potem, podnosząc dwa palce, wypowiedział formułkę, którą przyzywał gwardzistów. Nikt się nie pojawił.

Już powiedziałem, że Czas nie istniał w Krainie Czarów. Ale pojawienie się jakichś zdarzeń samo w sobie jest przejawem czasu i nic nie może się wydarzyć bez jego upływu. A oto jak jest z czasem w Krainie Elfów: w sercu tego odwiecznego,

wspaniałego królestwa, które śni w słodkim jak miód powietrzu, nic się nie porusza, nie znika i nie umiera, żadna istota nie szuka szczęścia w ruchu lub w zmianie czy w poszukiwaniu czegoś nowego, ale każdy odnajduje ekstazę w ciągłej kontemplacji odwiecznego piękna, które zawsze świeci nad zaczarowanymi trawnikami blaskiem tak intensywnym, jak w dniu, kiedy stworzyło je jakieś zaklęcie lub pieśń. Jeśli jednak magiczne moce umysłu władcy-czarodzieja zetkną się z jakimś nowym wydarzeniem, wtedy moc, która utrzymuje Krainę Czarów w absolutnym bezruchu i zatrzymuje czas, zmaćci ten spokój. A przecież czas wstrząsnął zaczarowaną krainą. Przypuśćmy, że rzuci się kamień do głębokiego jeziora, gdzie śpi kilka wielkich ryb i zielone algi, i migoczące barwy wody, i samo światło. Wtedy wielkie ryby poruszają się, kolory zmieniają, zielone algi drżą, światło budzi się, podczas gdy mnóstwo stworzeń i roślin przemieszcza się powoli i ulega przemianie. Lecz wkrótce potem całe jezioro odzyskuje dawny spokój. Tak właśnie się stało, kiedy Alweryk przekroczył granicę zmierzchu i przebył zaczarowany las: król zaniepokoił się i poruszył, i cała Kraina Elfów zadrżała.

Kiedy władca zobaczył, że żaden gwardzista nie odpowiedział na jego wezwanie, zbadał wzrokiem las, gdyż zrozumiał, że coś zmaćciło jego spokój, wpatrzył się w ciemną masę drzew, które jeszcze drżały po ataku Alweryka. Albowiem król zaklętej krainy mógł magicznym spojrzeniem przeniknąć srebrne ściany swego pałacu i gęstwinę drzew. I tam dostrzegł, że czterech rycerzy jego gwardii leży na ziemi zabitych i że ich gęsta krew wyciekła przez szczeliny w pancerzach. Pomyślał wtedy o starożytnej magii, kiedy zanim zwyciężył Czas, z pomocą całkiem nowego czaru stworzył najstarszego z czterech gwardzistów. Przeszedł przez jedno ze lśniących drzwi, przez świecący trawnik, zbliżył się do powalonego rycerza i zauważył drżenie oko-licznych drzew.

— Tutaj zadziałała magia — powiedział król Elfów.

Pozostały mu tylko trzy zaklęcia — których mógł użyć tylko jeden raz — a pierwsze, mające sprowadzić z powrotem jego córkę, już zapisał na pergaminie. Mimo to wypowiedział drugie potężne zaklęcie nad ciałem najstarszego ze swoich rycerzy, którego stworzył tak dawno. Wtedy, w ciszy, jaka zapadła po ostatnim słowie, pęknięcia w jasnej niczym księżyc zbroi zamknęły się ze szczękiem, gęsta, ciemna krew zniknęła i żywy rycerz podniósł się z ziemi. Lecz król Elfów dysponował teraz tylko jednym zaklęciem, najpotężniejszym ze wszystkich, zdolnym pokonać wszystkie znane czary.

Trzej inni gwardziści pozostali na ziemi, a ponieważ nie mieli dusz, ich nadprzyrodzona moc powróciła do umysłu ich pana.

Ten zaś wrócił do pałacu, skąd wysłał ostatniego ze swych rycerzy po pewnego

trolla.

Wysokie na jakieś dziewięćdziesiąt centymetrów, spokrewnione z gnomami trolle o ciemnobrązowej skórze zamieszkiwały Krainę Czarów. Wkrótce też cichy odgłos kroków zadźwięczał w wielkiej sali tronowej i jakiś bosonogi troll stanął przed swym władcą. Król podał mu pergamin z zapisanym zaklęciem i rzekł:

— Weź nogi za pas i biegnij do granic naszego królestwa, aż dotrzesz do ziem, których nikt tu nie zna. Znajdź tam księżniczkę Lirazel, która odeszła do siedzib ludzi, i daj jej to zaklęcie. Przeczyta je i wszystko dobrze się skończy.

Troll zaraz wybiegł. Kilkoma skokami dotarł do granicy zmierzchu. A potem nic już się nie poruszyło w Krainie Elfów.

I siedząc na wspinałym tronie, który tylko pieśniarze mogą opisać, stary król pozostał nieruchomy, przeżywając w milczeniu smutek i żal.

## VII

### PRZYBYCIE TROLLA DO DOLINY ERLU

Kiedy troll dotarł do granicy zmierzchu, przeskoczył ją zręcznie, ale ostrożnie wyszedł na naszą Ziemię, gdyż bał się psów. Wymknąwszy się spokojnie z gęstej masy mroku, postawił stopę na ziemi tak lekko, że nie zobaczyło go niczyje oko, chyba że zwrócono je dokładnie na miejsce, gdzie się pojawił. Zatrzymał się na chwilę, patrząc na lewo i na prawo. Nie widząc psów, oddalił się od granicy zmierzchu. Ten troll po raz pierwszy zapuścił się do krainy ludzi, ale dobrze wiedział, jak unikać psów. Albowiem strach przed tymi zwierzętami jest tak potężny i tak rozpowszechniony wśród wszystkich stworzeń niższych od człowieka, że wydaje się, iż przekroczył nasze granice i dotarł do serca Krainy Elfów.

W naszym świecie był teraz maj i przed trollem rozpościerało się morze jaskrów, symfonia żółci przemieszanej z brązem dojrzewających traw. Widząc tak wielką ilość i blask jaskrów, troll zdumiał się, że Ziemia jest tak bogata. Później wszedł między te kwiaty, które zabarwiły na żółto jego brunatne golenie.

Nie oddalił się zbyt od granicy zmierzchu, kiedy spotkał zająca, który leżał wygodnie na posłaniu z traw, gdzie zamierzał spędzić czas, czekając, aż coś się stanie.

Na widok trolla zając usiadł i zamarł w bezruchu, patrząc pustym wzrokiem, zajęty tylko myśleniem.

Ujrawszy zająca, troll zbliżył się, podskakując. Następnie wyciągnął się przed nim wśród jaskrów i zapytał o drogę do siedzib ludzi. A zając dalej tylko rozmyślał.

— Istoto z tego kraju — powtórzył troll — gdzie są siedziby ludzi?

Zając podszedł do trolla, przez co wydał się bardzo śmieszny, bo idąc, nie poruszał się z taką gracją jak wtedy, gdy biegł lub hasał. W dodatku przód włochatego zajęczego ciała znajdował się znacznie niżej niż jego tylna część. Zając zbliżył nos do twarzy trolla i zabawnie poruszył wąsami.

— Wskaż mi drogę — nie ustępował troll.

Kiedy zając upewnił się, że przybysz wcale nie pachnie jak pies, pozwolił, by troll go dalej tak pytał. Nie znał jednak języka Elfów, więc ponownie ułożył się w trawie i rozmyślał, gdy tymczasem troll wciąż zarzucał go pytaniami.

W końcu troll zmęczył się mówieniem, gdyż nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Zerwał się na równe nogi, wołając: — Uważaj na psy!

Potem zostawił zająca. Skacząc wesoło wśród jaskrów, na chybił trafił wybrał jakiś kierunek, żeby tylko oddalić się od Krainy Elfów. Zając nie zrozumiał słów trolla. Lecz w tonie głosu przybysza, gdy zawołał „psy!”, było coś tak gwałtownego, że niepokój wkradł się do umysłu zwierzaka. Zając szybko porzucił legowisko z traw i pokicał ciężko w poprzek łąki, rzuciwszy w stronę trolla pogardliwe spojrzenie. Nie posuwał się zbyt szybko, gdyż skakał na trzech łapach, trzymając jedną z tylnych w pogotowiu, na wypadek gdyby psy rzeczywiście się pokazały. Zatrzymał się trochę dalej, usiadł i nastawił uszu, przez chwilę przyglądał się jaskrom, po czym zamyślił się głęboko. I zanim przestał zastanawiać się nad znaczeniem słów trolla, tamten zniknął i zapomniał o tym, co powiedział.

Wkrótce potem troll zauważył spiczasty dach chaty za żywopłotem. Można by pomyśleć, że dom patrzył na niego małymi oknami pod rzędami czerwonych dachówek.

— Siedziba ludzi — powiedział do siebie troll.

Ale wydawało się, że jakiś instynkt szepnął mu, że to nie tu ukryła się księżniczka Lirazel. Mimo to troll zbliżył się do farmy i zaczął przyglądać się kurnikowi, kiedy zauważył go jakiś pies. Ten pies nigdy dotąd nie widział trolla, szczeknął więc tylko raz — ze zdumieniem i oburzeniem — i, oszczędzając oddech dla pościgu, pobiegł za przybyszem z Krainy Elfów.

Troll zaraz pomknął skokami przez jaskry tak prędko, jakby pożyczył zręczność od jaskółki i szybował na wietrze. Taka szybkość była czymś nowym dla psa, dlatego czym prędzej pognął za trollem, z otwartym pyskiem, w ciszy, a wiatr świszczwał wzdłuż jego grzbietu, od nosa do czubka ogona. Pies łudził się, że złapie trolla, który biegł

na ukos. Wkrótce jednak ścigający został daleko w tyle, a uciekinier zdawał się bawić szybkością, wdychając wonne powietrze ponad wierzchołkami jaskrów. Troll zapomniał o psie, ale nie zatrzymał się, gdyż szybki bieg sprawiał mu wielką radość. I ten dziwny pościg trwał wśród wyłożonych łąk, trollem powodowała radość, a psem — poczucie obowiązku. Potem, dla samej nowości, troll złączył nogi, przeskoczył ponad kwiatami i opadł na ręce. Następnie odwrócił się, szybko przycisnął łokcie do tułowia i skoczył w górę, obracając się w powietrzu. Powtórzył to wiele razy, ku rosnącemu oburzeniu psa, który doskonale wiedział, że nie jest to normalny sposób poruszania się w naszym świecie. Ale pies mimo oburzenia zrozumiał także, że nigdy nie złapie trolla. Zawrócił więc do gospodarstwa, gdzie zastał swego pana, i podbiegł doń, machając ogonem. Wymachiwał ogonem tak żwawo, że rolnik, przekonany, iż pies zrobił coś pożytecznego, poklepał go i na tym wszystko się skończyło.

Zresztą w sumie dobrze się stało, że pies wieśniaka przegnał trolla z jego gospodarstwa. Gdyby bowiem troll przekazał bydłu jakąś część Krainy Czarów, zwierzęta te wyśmiałyby tego Człowieka i przestałyby go słuchać. W takim przypadku mógłby on liczyć tylko na posłuszeństwo swego wiernego psa.

Zaś troll wędrował wesoło pośród jaskrów.

Nagle zauważył ponad kwiatami białą szyję i pysk lisa, który mu się przyglądał. Troll podszedł do lisa i obejrzał go z bliska. Ze swej strony lis nadal go obserwował, gdyż tak jak jego pobratymców ciekawiło go wszystko.

Ten zaś lis dopiero co wrócił z ukradkowej nocnej przechadzki wzdłuż granicy zmięzchu, która oddziela nasz świat od Krainy Czarów. Co więcej, zapuszczał się nawet do wnętrza tej zapory, błędząc w ciemnej mgle. I z tego tajemniczego gęstego cienia przynosił nieco magii do naszych ziem.

— No jak tam, Niczyj Psie — zagadnął go troll.

W Krainie Czarów znano tego lisa, bo często widziano go niewyraźnie, kiedy przemykał wzdłuż jej granic. I tak go nazwano.

— No jak tam, Stworze spoza Granicy — odparł lis, gdy zdecydował się na odpowiedź. Znał bowiem mowę trolla.

— Czy siedziby ludzi są daleko stąd? — zapytał troll.

Lis poruszył wąsami, lekko krzywiąc pysk. Jak wszyscy kłamcy zazwyczaj zastanawiał się, zanim coś powiedział, a czasami wołał przezornie milczeć niż mówić.

— Ludzie żyją tu i tam — odrzekł ostrożnie.

— Chcę odszukać ich siedziby — wyjaśnił troll.

— A po co? — zapytał lis.

— Mam przesłanie od króla Elfów.

Lis nie okazał ani strachu, ani szacunku na wzmiankę o tym groźnym imieniu, ale lekko odwrócił głowę i wzrok, aby ukryć lęk, który go ogarnął.

— Jeśli to przesłanie — rzekł w końcu — to ich siedziby są tam... — I długim nosem wskazał w stronę Erlu.

— Jak je rozpoznam? — zapytał troll.

— Po zapachu — odparł lis. — To wielka siedziba ludzi i strasznie śmierdzi.

— Dziękuję ci, Niczyj Psie — odrzekł troll, który rzadko komukolwiek dziękował.

— Ja nigdy bym tam się nie zbliżył — ciągnął lis — gdyby nie...

Urwał i zamyślił się głęboko.

— Gdyby nie co? — podchwycił troll.

— Gdyby nie ich kurniki — dokończył lis, zanim znowu pogрузzył się w pełnym powagi milczeniu.

— Żegnaj, Niczyj Psie — odparł troll i skacząc, ruszył w stronę Erlu.

Troll wędrował wśród jaskrów przez wilgotny od rosy poranek, tak że miał za sobą długą drogę, gdy minęło południe, a przed wieczorem dostrzegł dym i wieże Zamku Erl. Całe miasto leżało w dolinie i tylko dachy domów, kominy i wieże wystawały ponad jej brzegiem. W sennym powietrzu wisiał dym.

— To siedziby ludzi — powiedział do siebie troll. Usiadł w trawie i patrzył na nie.

Następnie podszedł bliżej, żeby lepiej je widzieć. Nie spodobał mu się dym ani stłoczone ciasno dachy: na pewno smród był straszny. W Krainie Czarów pewne legendy mówiły o mądrości Człowieka. Ale jeśli pod wpływem tych legend w umyśle trolla zrodził się szacunek do nas, na widok tego ciasnego skupiska domów zniknął bezpowrotnie. A kiedy tak patrzył, minęło go czteroletnie dziecko, mała dziewczynka wracająca wieczorem do domu ścieżką wijącą się wśród pól. Spojrzeli na siebie szeroko otwartymi oczami.

— Dobry wieczór — powiedziała dziewczynka.

— Dobry wieczór, Człowiecze Dziecię — odparł troll.

Nie mówił teraz swoim narzeczem, lecz językiem Elfów, którego zawsze używał, gdy stanął przed swoim władcą. Znał bowiem tę mowę, chociaż trolle nigdy nie posługiwały się nią w swoich domach, gdyż wołały własne narzecze. W tamtych czasach, kiedy było mniej różnych języków, zarówno Elfy jak Erlanie używali tej samej mowy.

— Ktoś ty? — zapytała dziewczynka.

— Troll z Krainy Elfów.

- Tak też pomyślałam — odparła.  
— A dokąd idziesz, Człowiecze Dziecię?  
— Do tych domów — wyjaśniła.  
— My nie lubimy tam chodzić — stwierdził troll.  
— Wy n-nie — wyjąkała dziewczynka.  
— A przyjdź do Krainy Elfów — zaproponował.

Dziewczynka zamyśliła się. Inne dzieci tam odeszły i Elfy wtedy zawsze przysyłały odmieńców na ich miejsce, tak że nikt ich nie żałował, bo w istocie nikt nie znał prawdy. Przez chwilę rozmyślała o wspaniałości i cudach Krainy Czarów, a potem o swoim domu.

- N-nie — oświadczyła.  
— Czemu nie?

— Dziś rano mama upiekła ciastka z konfiturami — odpowiedziała dziewczynka. Potem z poważną miną wróciła do siebie. Może gdyby nie te ciastka z konfiturami odeszłyby do Krainy Elfów.

— Z konfiturami! — prychnął pogardliwie troll i pomyślał o jeziorach zaklętego królestwa.

O tych jeziorach, na powierzchni których unoszą się wielkie liście nenufarów, a otaczają je otulone magicznym blaskiem niebieskie lilie wodne, które odbijają się w gładkiej, szmaragdowej toni. Odrzucić to wszystko dla konfitur!

Potem przypomniał sobie swoją misję, zwój pergaminu z zaklęciem króla Elfów dla jego córki. Ostrożnie trzymał go w lewej ręce, gdy biegł, lub w ustach, kiedy przeskakiwał nad jaskrami. Czy księżniczka Lirazel jest tutaj? — pomyślał. A może są jeszcze inne siedziby ludzi? Zapadał wieczór, więc troll podkładał się coraz bliżej do ludzkich domów, żeby usłyszeć coś, nie będąc widzianym.

## **VIII**

### **TROLL PRZYNOŚI ZAKLĘCIE KRÓLA ELFÓW DO ERLU**

Pewnego słonecznego, majowego poranka czarownica Ziroonderel siedziała w dziecinnej komnacie w Zamku Erl, przygotowując posiłek dla dziecka. Chłopczyk miał teraz trzy lata, a Lirazel jeszcze nie nadała mu imienia. Obawiała się bowiem, że jakiś zazdrosny duch ziemi lub powietrza usłyszy to imię, i głośno wołała nawet nie mówić, co

wtedy mogłoby się stać.

Choć Alweryk oświadczył, że jego syn musi mieć imię.

Chłopiec już potrafił grać w serso, gdyż czarownica pewnej mglistej nocy wróciła na swoje wzgórze i przyniosła mu stamtąd promień księżyca, który z pomocą czarów odebrała o wschodzie nocnemu towarzyszowi Ziemi. Wykuła z tego promienia koło i pomagając sobie strzałką piorunową, zrobiła krótki pręcik, aby jej podopieczny mógł je toczyć.

A chłopczyk akurat czekał na śniadanie. Lekkim ruchem różdżki czarownica Ziroonderel rzuciła na próg komnaty czar, który nie tylko zatrzymywał ciepło, lecz także nie dopuszczał myszy, szczurów i psów. Nietoperze również nie mogły tam wlecieć, bo odpędzała je czujna zamkowa kotka. Żaden zamek wykuty przez kowala nie był mocniejszy od tych zabezpieczeń.

Nagle troll, fikając koziołki, przeskoczył ponad progiem i nad czarem i usiadł na podłodze. W tej samej chwili zawieszony nad kominkiem niezgrabny drewniany zegar przestał głośno cykać, albowiem troll miał ze sobą mały amulet chroniący przed czasem. Amuletem była dziwna trawa okręcona wokół jego palca, żeby nie rozpadł się w proch w naszym świecie. Król Elfów doskonale znał upływ czasu w kraju ludzi: minęły tu cztery lata, odkąd zszedł po spiżowych schodach z wieży, posłał po trolla i dał mu ten czar.

— A tyś co za jeden? — zapytała Ziroonderel.

Troll dobrze wiedział, kiedy może okazać zuchwalstwo, ale coś w oczach czarownicy przestraszyło go, więc zachował ostrożność. I dobrze zrobił, gdyż Ziroonderel już kiedyś osobiście spojrzała w oczy króla Elfów. Dlatego troll postanowił, jak się u nas mówi, zagrać w otwarte karty i odparł:

— Z przesłaniem od króla Elfów.

— Naprawdę? — powiedziała stara czarownica, dodając cicho pod nosem: — No, no, to musi być dla mojej pani. Cóż, tego należało się spodziewać.

Troll nadal siedział na podłodze, obracając w palcach zwój pergaminu z zapisanym zaklęciem władcy Krainy Czarów. A potem ponad poręczą łóżeczka synek Lirazel, który czekał na śniadanie, zobaczył przybysza. Zapytał go, kim jest i skąd przybył, i co umie zrobić. W odpowiedzi troll podskoczył w górę, zaczął skakać po komnacie jak ćma wokół kręgu światła na suficie rzucanego przez lampę. Można by powiedzieć, że prawie latał wielkimi skokami od podłogi do sufitu i z powrotem. Chłopczyk zaklaskał w rączki, ale kot wpadł wtedy we wściekłość. Czarownica podniosła różdżkę z hebanu i rzuciła czar przeciw skokom, lecz nie powstrzymała trolla. Ten nadal skakał,

podskakiwał, odbijał się od podłogi, zaś kot syczał, miotając wszystkie znane sobie przekleństwa w swoim języku. Natomiast Ziroonderel zawrzała gniewem nie tylko dlatego, że jej czar nie podziałał, lecz także z czysto ludzkiego powodu, ponieważ bała się o swoje kubki i talerze. A przez cały ten czas dziecko wołało: — Jeszcze! Jeszcze!

Nagle troll przypomniał sobie długą drogę, którą przebył, i straszny pergamin, który trzymał.

— Gdzie jest księżniczka Lirazel? — zapytał.

Czarownica gestem wskazała mu wieżę księżniczki, bo wiedziała już, że nie ma ani środków, ani dość mocy, żeby unieszkodliwić zaklęcie wysłane przez króla Elfów. I w chwili gdy troll odwrócił się do drzwi, do komnaty dziecinnej weszła Lirazel. Troll złożył głęboki ukłon wielkiej damie z Krainy Elfów. Na chwilę zapomniał o bezczelności, przykląkł przed jaśniejącą urodą Lirazel i podał jej zaklęcie króla Elfów. Chłopczyk wołał do matki, że chce obejrzeć więcej skoków trolla, kiedy wzięła ona do ręki zaczarowany zwój. Siedząca na jakimś kufrze kotka obserwowała czujnie tę scenę. A Ziroonderel milczała.

Później troll przypomniał sobie zielone stawy w sercu lasów Krainy Elfów, które znają wszyscy jego współplemieńcy. Wrócił myślą do cudownych, nigdy niewiędnących różnobarwnych kwiatów, których czas nigdy nie muska, i bardzo silnego, jakże silnego światła i odwiecznego spokoju. Spełnił już swoją misję i Ziemia go zmęczyła.

Przez chwilę nikt nie poruszył się w komnacie oprócz dziecka, które głośno krzycząc i wymachując rączkami, domagało się nowych sztuczek trolla. Lirazel stała ze zwojem w ręce, troll klęczał przed nią, kotka patrzyła dzikim, czujnym wzrokiem, i nawet zegar znieruchomiał. Potem księżniczka drgnęła, troll wstał z klęczek, czarownica westchnęła, a kotka odwróciła oczy, gdy intruz oddalił się skokami. Nie zwracając uwagi na wołanie dziecka, które błagało trolla, aby wrócił, ten ostatni zsunął się po spiralnych schodach, przemknął przez drzwi i skierował do zaklętego królestwa. A skoro tylko troll przesadził próg, drewniany zegar znowu zaczął tykać.

Lirazel spojrzała na zwój, potem na synka i nie rozwinęła pergaminu, ale wyszła do swojej komnaty. Tam, nie przeczytawszy zwoju, zamknęła go w szkatułce na klucz. Albowiem przeraziło ją najpotężniejsze zaklęcie jej ojca. Bała się go tak bardzo, że uciekła ze swej srebrnej wieży, słysząc odgłos kroków władcy Elfów na mosiężnych schodach, przeszła przez granicę zmierzchu zamkniętą w tym pergaminie. Wiedziała, że jeśli rozwinie pergamin z zaklęciem, napotka surowe spojrzenie ojca, który narzuci jej swoją wolę.

Kiedy zaklęcie znalazło się w szkatułce, Lirazel poszła do Alweryka, aby

opowiedzieć mu o niebezpieczeństwie, które jej zagraża. Ale Alweryk był bardziej zaniepokojony tym, że Lirazel nie chciała nadać imienia ich synkowi, i zaraz ją o to zapytał. Dlatego w końcu zaproponowała pewne imię, choć nikt z ludzi nie mógłby go wymówić, bo było to elfowe imię, pełne tajemnic, złożone z sylab przypominających okrzyki nocnych ptaków. Alweryk nie chciał nawet o tym słyszeć. Wtedy zapragnęła zrobić jakiś kaprys, który jak wszystkie jej zachcianki, nie pochodził z naszego świata, lecz w prostej linii z Krainy Czarów. Ulec wybrykom wyobraźni, które rzadko nas nawiedzają. A Alweryka irytowały jej kaprysy, gdyż nikt nigdy nie słyszał o czymś takim w Zamku Erl: nikt nie umiał mu wyjaśnić ich sensu ani doradzić w tej dziedzinie. Pragnął, żeby Lirazel postępowała zgodnie z dawnymi zwyczajami, ona zaś oczekiwała tylko fantastycznych pieśni z ust bardów, którzy przybywali z dalekich krain południowego wschodu. Alweryk usiłował tłumaczyć jej po ludzku, że tutejsi mieszkańcy przywiązują wielką wagę do rozsądku. Lecz Elfiny nie obchodził rozsądek.

Dlatego zanim się rozstali, Lirazel nie wspomniała mężowi nawet słówkiem o grożącym jej niebezpieczeństwie z Krainy Elfów, chociaż po to właśnie przyszła.

Zamiast tego wróciła do swojej wieży i utkwiała wzrok w szkatułce, która błyszczała w gasnącym świetle wieczoru. Wielokrotnie odwracała się, potem znowu zerkała przez ramię. Tymczasem ostatnie promienie słońca zgasły na horyzoncie, ustępując miejsca zmierzchowi, a w końcu nocnym ciemnościom. Wtedy Elfina usiadła przed otwartym oknem, które wychodziło na wschód, i ponad ciemniejącymi grzbietami wzgórz wpatrzyła się w gwiazdy. Patrzyła w nie tak długo, aż zobaczyła, jak przesuwały się po nieboskłonie. Albowiem spośród wszystkich nowych rzeczy, które odkryła po przybyciu do naszego świata, najbardziej zdumiewały ją gwiazdy. Pokochała delikatne piękno tych gwiazd, a mimo to spoglądała na nie ze smutkiem i melancholią, gdyż Alweryk powiedział jej, że nie może ich czcić.

W jaki więc sposób, nie uwielbiając ich, mogła oddać należną im cześć, jak podziękować im za ich urodę, jak chwalić ich spokojną radość? Wtedy pomyślała nagle o swoim dziecku i w tej samej chwili zauważyła Oriona. Rzucając wyzwanie wszystkim zazdrosnym duchom powietrza, nie odrywając wzroku od wspaniałego gwiazdozbioru, którego zakazano jej czcić, poświęciła życie swego dziecka temu niebiańskiemu myśliwemu i nadała mu jego imię.

I kiedy Alweryk przyszedł do niej, powiedziała mu o swoim życzeniu, a on tym chętniej zaakceptował imię Orion, ponieważ Erlanie uwielbiali polowania. Wówczas Alwerykowi błysnęła nadzieja — której nigdy nie stracił — że skoro Lirazel okazała tyle rozsądku w tej dziedzinie, będzie się nim kierować również w innych sprawach, że

ulegnie miejscowym zwyczajom, będzie się zachowywała jak wszyscy ludzie i wyrzeknie się fantazji i kaprysów rodem z Krainy Elfów. Poprosił ją zatem, żeby oddawała cześć świętym relikwiom miejscowego księdza. Nigdy przedtem tego nie zrobiła, gdyż nie miała pojęcia, który z tych przedmiotów jest bardziej święty, świecznik czy dzwonek, i nigdy nie zapamiętała nic z tego, czego uczył ją małżonek.

Teraz przytaknęła, pełna dobrych chęci, i Alweryk pomyślał, że wszystko jest w porządku. Lecz Lirazel myślami była daleko, z Orionem. Nigdy bowiem nie myślała długo o poważnych sprawach, tak jak motyl, który ucieka z mroku do światła.

Przez całą więc noc szkatułka z zaklęciem króla Elfów była zamknięta.

Także następnego ranka Lirazel nie miała czasu na rozmyślania o szkatułce, gdyż razem z Alwerykiem zaprowadziła syna do księdza. Ziroonderel towarzyszyła im w drodze, ale nie weszła do kościoła. Przybyli też tłumnie Erlanie, tylu, ilu mogło pozostawić pracę na roli. Byli wśród nich wszyscy członkowie wiecu, którzy niegdyś poszli do ojca Alweryka i przedstawili mu swoją prośbę w podłużnej czerwonej komnacie. I wszyscy ucieszyli się na widok chłopca, zauważyli, jaki jest duży i silny. Rozmawiając półgłosem, gdyż byli w świętym miejscu, przepowiadali, że wszystko będzie tak, jak zaplanowali. A ksiądz podszedł do rodziców chłopca i stojąc wśród świętych relikwii, nadał mu imię Orion, chociaż wolałby, żeby syn Alweryka nosił imię któregoś ze znanych świętych. Mimo to ucieszył się, że zobaczył syna swego władcy i że ochrzcił go w tym miejscu, gdyż to za pośrednictwem członków rodu panującego Erlanie liczyli odchodzące pokolenia i upływ czasu, tak jak my sami czasami obserwujemy przemijanie pór roku na jakimś znanym nam starym drzewie. Ksiądz zgiął się w ukłonie przed Alwerykiem i okazał wielką kurtuazję Lirazel, choć z jego strony był to tylko pozbawiony znaczenia gest, bo w głębi serca nie szanował bardziej elfowej księżniczki niż syreny, która wyrzekła się morza.

I tak oto mały książę otrzymał imię Orion. I cały lud Erlu ucieszył się, kiedy Orion wyszedł z kościoła z rodzicami i dołączył do Ziroonderel, która czekała przy wejściu do świętego ogrodu. Potem cała czwórka wróciła pieszo do zamku.

Przez cały ten dzień Lirazel nie zrobiła nic, co mogłoby kogoś zdziwić, lecz postępowała zgodnie z ludzkimi zwyczajami. Kiedy jednak gwiazdy rozbłysły na niebie i zobaczyła wśród nich wspaniałą konstelację Oriona, zrozumiała, że nie otrzymały one należnego im hołdu, i zapragnęła okazać im swoją wdzięczność. Była im wdzięczna za ich jasny blask, który rozwesela Ziemię, i za obronę jej syna — o czym nie wątpiła — przed zazdrosnymi duchami powietrza. Te niewypowiedziane uczucia tak napełniły jej serce, że nagle wstała, opuściła swoją wieżę i wyszła na zamkowy dziedziniec. Unosząc

twarz ku rozgwieżdżonemu niebu, utkwiała wzrok w Orionie i stała tak w milczeniu, choć słowa podziękowań cisnęły się jej na usta. Milczała, gdyż Alweryk zabronił jej modlić się do gwiazd. Długo wpatrywała się w wędrujące po nieboskłonie gwiazdne zastępy, bez słowa, posłuszna mężowi. Później opuściła oczy i nagle spostrzegła połyskujący w mroku maleńki staw, w którym odbijała się gwiazdna poświata.

— Na pewno niedobrze jest modlić się do gwiazd — powiedziała do siebie — ale te obrazy na wodzie nie są gwiazdami. Będę modlić się do nich, a gwiazdy mnie zrozumieją.

Uklękła więc na brzegu stawu wśród liści irysów i podziękowała odbiciom gwiazd za całą radość, jaką jej sprawiały w nocy, kiedy wszystkie konstelacje świecą w całym swym majestacie i wędrują po niebie niczym odziana w srebrne zbroje armia, która po zwycięskich bitwach kroczy ku podbojom w nieznanym wojnach. Pobłogosławiła, podziękowała i pochwaliła iskrzące się obrazy gwiazd na powierzchni wody i poprosiła, żeby przekazały jej wdzięczność i pochwałę Orionowi, do którego nie mogła się modlić. Właśnie wtedy Alweryk zastał żonę klęczącą w ciemności i zasypał ją gorzkimi wyrzutami. Oskarżył ją o oddawanie czci gwiazdom, które nie zostały do tego stworzone. A ona odpowiedziała mu, że modliła się tylko do ich odbicia.

Łatwo możemy zrozumieć uczucia Alweryka: drażniła go obcość żony, jej nieprzewidywalne zachowanie, jej sprzeciw wobec zastanego porządku, jej pogarda dla ludzkich zwyczajów oraz jej dobrowolna ignorancja, gdyż wszystko to dzień w dzień zderzało się z jakąś odwieczną tradycją. Im bardziej romantyczna Lirazel wydawała mu się z oddali, za granicą Krainy Elfów, jako bohaterka legend i pieśni, tym trudniej jej było zająć miejsce poprzednich pań na zamku Erl, które dobrze znały swoje obowiązki i postępowały zgodnie ze zwyczajami ludzi. Te zaś były dla Lirazel równie nowe jak gwiazdy migocące na firmamencie.

Ale Lirazel czuła tylko, że gwiazdy nie otrzymywały tego, co im się należało. Dlatego uważała, iż tradycja, rozsądek i wszystko, co się liczy dla ludzi, powinno skłonić tych ostatnich do dziękowania gwiazdom za ich piękno. A ona nawet im nie podziękowała, tylko zwróciła się do ich obrazów na tafli stawu.

Tej nocy pomyślała o Krainie Elfów, gdzie wszystko dorównywało jej urodzie, gdzie nic się nie zmieniało, gdzie nie było dziwnych zwyczajów ani niczego równie obcego i majestatycznie pięknego jak nasze gwiazdy, których nikt nie cenił tak, jak na to zasługiwały.

Pomyślała o zaczarowanych trawnikach, o kępach wysokich kwiatów i o legendarnym pałacu swego ojca.

Zakłęcie króla Elfów, nadal zamknięte w szkatułce, czekało na stosowny moment.

## ***IX***

### **ZNIKNIĘCIE LIRAZEL**

Mijały dni. Lato przeminęło w Krainie Erlu i słońce, które wcześniej przesunęło się ku północy, teraz znów kierowało się na południe. Zbliżał się czas odlotu jaskółek z zamkowych blanków, a Lirazel niczego się nie nauczyła. Wprawdzie już nie modliła się do gwiazd ani nie zanosila próśb do ich odbicia, ale nie poznała żadnego z ludzkich zwyczajów i nadal nie rozumiała, dlaczego musi kryć w sercu miłość i wdzięczność do tych cór nocy. Alweryk zaś nie wiedział, że zbliża się oto chwila, kiedy pewien błahy incydent na zawsze rozdzieli go z żoną.

I tak pewnego dnia, gdyż wciąż nie tracił nadziei, zaprowadził Lirazel do domu księdza, aby ten nauczył ją czcić święte relikwie.

Uszczęśliwiony kapłan przyniósł świecę, dzwonek i miedzianą podstawkę w kształcie orła, która podtrzymywała jego Biblię, gdy ją czytał, do tego maleńką miseczkę z pachnącą wodą oraz srebrne gasidła. I opowiedział Elfynie jasno i prosto, tak jak zrobił to przedtem, o pochodzeniu, znaczeniu i tajemnicy tych wszystkich przedmiotów. Wyjaśnił, dlaczego gasidło było ze srebra, a miseczka z mosiądzu i co oznaczały wyryte na niej symbole. Zwracał się do Lirazel z należą kurtuazją, a nawet z życzliwością, ale w jego głosie brzmiała jakaś dziwna nuta, jak gdyby znajdowali się daleko od siebie. Elfina zrozumiała, że ksiądz mówił do niej jak ktoś, kto idąc bezpiecznie brzegiem morza, woła do syreny płynącej wśród wzburzonych fal.

Kiedy małżonkowie wrócili do zamku, jaskółki zbierały się akurat w gromadę i siedziały rzędami na blankach, szykując się do odlotu. A Lirazel obiecała, że będzie czcić święte przedmioty chrześcijańskiego kapłana, tak jak prości ludzie z Doliny Erlu, którzy bali się dźwięku dzwonka. Zaś Alweryk wciąż łudził się nadzieją, że jeszcze wszystko się ułoży. I Elfina przez ileś też dni pamiętała wszystko, co powiedział jej ksiądz.

Lecz pewnego dnia, gdy późno opuściła komnatę dziecinną i idąc do swojej wieży, mijając wysokie okna, wyjrzała przez nie na wieczorne niebo. Pamiętając, iż nie powinna czcić gwiazd, przypomniała sobie święte relikwie chrześcijańskiego kapłana i usiłowała odszukać w pamięci wszystko, co jej o nich powiedział. Zdała sobie sprawę, że bardzo trudno jest jej oddawać im cześć tak, jak powinna. Wiedziała, że wszystkie

jaskółki odlecą znów za kilka godzin, i przypomniała sobie, że często po ich odlocie jej nastrój się zmieniał. Dlatego złąkla się, iż może zapomnieć i już nigdy sobie nie przypomnieć, jak powinna czcić święte przedmioty religii chrześcijańskiej.

Wyszła więc na dwór w nocny mrok, przeszła przez łąkę nad wąski strumyk. Wyjęła zeń kilka dużych, płaskich kamyków — a wiedziała, gdzie ich szukać — odwracając oczy od odbicia gwiazd na wodzie. W dzień te kamyki pięknie błyszczały w wodnej toni, czerwone i fioletoworóżowe; teraz jednak wszystkie były ciemne. Położyła je na trawie: uwielbiała te gładkie, płaskie kamyki, gdyż w jakiś sposób przypominały jej skały Krainy Czarów. Ułożyła je rzędem, ten dla świecy, ten dla dzwonka, a tamten dla świętej misy.

— Jeśli jestem w stanie czcić te śliczne kamyki, tak jak powinnam to robić — powiedziała do siebie — mogę oddawać cześć świętym przedmiotom kapłana.

Potem uklękła przed tymi płaskimi kamykami i modliła się do nich, jakby były chrześcijańskimi relikwiami.

Wtedy to Alweryk, który szukał Lirazel w mroku, zastanawiając się, jaki też dziwny kaprys kazał jej opuścić zamek, usłyszał, jak żona śpiewnym głosem wypowiada na łące chrześcijańskie modlitwy, a potem zobaczył, że Elfina modli się do kilku płaskich kamyków. Wówczas ukląkł przed nimi na trawie i powiedział Lirazel, że postąpiła jak najbardziej zatwardziali poganie.

Ona zaś odrzekła: — Przecież uczę się czcić święte relikwie chrześcijan.

— To są pogańskie sztuczki! — odparował Alweryk.

A trzeba wam wiedzieć, że mieszkańcy Doliny Erlu najbardziej lękali się tajemnych pogańskich sztuczek, o których wiedzieli tylko, iż były złe. Alweryk wyrzekł te słowa z wściekłym gniewem, z jakim chrześcijanie zawsze mówili w tym kraju o poganach. Gniew męża poraził i oszołomił Elfine, która przecież tylko uczyła się modlić po chrześcijańsku, żeby sprawić mu przyjemność. On zaś przemówił do niej w taki sposób!

A Alweryk nie postąpił wtedy tak, jak powinien, nie wypowiedział zaraz słów, które by ułagodziły gniew Elfiny i uspokoiły ją; pomyślał bowiem niemądrze, że żaden mąż nie powinien iść na kompromis w sprawach pogaństwa. Dlatego zasmucona Lirazel zupełnie sama odeszła do swojej wieży. Natomiast jej małżonek pozostał, aby rzucić daleko kamienie, do których się wcześniej modliła.

Jaskółki odleciały i nadeszły smutne dni. A któregoś z nich Alweryk polecił żonie, by oddała cześć świętym przedmiotom kapłana. Wtedy okazało się, że Lirazel całkiem zapomniała, jak to się robi. Alweryk zaś ponownie wspomniął z gniewem o pogańskich sztuczkiach. A był to piękny, jasny dzień, gdy wszystkie topole złączyły się w słońcu, zaś

osiki czerwieniły.

Wtedy też Lirazel poszła do swojej wieży, otworzyła szkatułkę lśniąca w blasku jesiennego słońca, ujęła w dłonie zwój króla Elfów, przeniosła go przez wysoki, sklepiony korytarz do innej wieży i weszła po schodach do komnaty dziecinnej.

Pozostała tam cały dzień, bawiąc się z dzieckiem, nadal mocno ściskając w dłoni magiczny zwój; i choć chwilami była wesoła, w jej oczach zagościł dziwny spokój, który Ziroonderel obserwowała z pewnym zaniepokojeniem. A gdy słońce jęło chylić się ku zachodowi, Elfina położyła syna do łóżeczka, usiadła obok i z powagą opowiadała mu bajki. Ziroonderel, mądra czarownica, patrzyła na nią i mimo całej swej wiedzy mogła się tylko domyślać, co się wkrótce stanie, i nie wiedziała, jak temu zapobiec.

Przed zachodem słońca Lirazel pocałowała synka i rozwinęła przysłany przez ojca zwój. Wzięła go ze szkatułki tylko dlatego, że była rozdrażniona. Zdenerwowanie mogłoby jej przejść i wtedy nie rozwinęłaby magicznego zwoju, ale już trzymała go w rękę. Częściowo irytacja, częściowo ciekawość, częściowo zaś kaprys, którego z lenistwa nie chciałaby nazwać, przyciągnęły jej wzrok do słów króla Elfów napisanych czarnymi jak węgiel, niezwykle literami.

Nie umiem powiedzieć, jaka magia kryła się w tym zaklęciu (a na pewno była przerażająca), lecz bez wątpienia słowa te napisano z miłością silniejszą od czaru. Wreszcie magiczne znaki zapłonęły uczuciem, jakie władca Elfów żywił do córki — i wtedy w jego zaklęciu połączyły się dwie moce — czary i miłość — najpotężniejsza siła, jaka istnieje poza granicą zmierzchu, z największą mocą znaną w krainie ludzi. Gdyby miłość Alweryka mogła zatrzymać Lirazel, powinien on być zaufać jedynie temu uczuciu, gdyż zaklęcie króla Elfów było potężniejsze od mocy chrześcijańskich relikwii.

Skoro tylko elfowa księżniczka przeczytała magiczne znaki na tajemnym zwoju, wspomnienia z Krainy Elfów potężną falą napłynęły przez granicę zmierzchu. Jedne sprawiłyby, że miejski urzędnik natychmiast porzuciłby swoje biurko, aby tańczyć na brzegu morza; drugie skłoniłyby wszystkich pracowników banku do pozostawienia otwartych drzwi i skrytek i do długiej wędrówki na zieloną równinę i porośnięte wrzosem wzgórze; inne zaś w jednej chwili zamieniłyby zajętego rachunkami człowieka interesu w poetę. Były to potężne, fantastyczne wymysły, które król Elfów przywołał mocą zaklęcia. Lirazel siedziała tam z magicznym zwojem w dłoni, bezradna wśród masy burzliwych wizji z Krainy Elfów. Kiedy widzenia te szalały, śpiewały i wzywały marnotrawną Elfinę, w coraz większej liczbie przelewając się przez granicę zmierzchu, skupiając się na jednym, biednym umyśle Lirazel, jej ciało stawało się coraz lżejsze. Stopy Lirazel na poły dotykały podłogi, na poły unosiły nad nią; Ziemia ledwie ją

trzymała, gdyż Elfina tak szybko zmieniała się w istotę ze snów. Ani miłość Lirazel do Ziemi, ani dzieci Ziemi do niej już nie mogły jej tam zatrzymać.

Później napływały wspomnienia z wiecznego dzieciństwa, które spędziła nad górskimi stawami, na skraju gęstego lasu, na upajających pałacowych trawnikach lub w pałacu, który można opisać tylko w pieśni. Zobaczyła to wszystko tak wyraźnie, jak ludzie przez przezroczystą lodową tafelę dostrzegają muszelki na dnie jakiegoś sennego jeziora, nieco przyćmione przez tę mglistą zaporę. Właśnie tak zamglone wspomnienia odżywały w pamięci Lirazel budzone przez moce wysłane poza granice Krainy Czarów. Słyszała dziwaczne, ciche odgłosy wydawane przez tamtejsze stworzenia, czuła wonie cudownych kwiatów, które jaśniały na pałacowych trawnikach. Ciche dźwięki czarodziejskich pieśni przemknęły ponad granicą zmierzchu i dotarły do zasłuchanej księżniczki, napływały do niej w półmroku dźwięki, melodie i wspomnienia. Cała Kraina Elfów ją wzywała. A potem usłyszała głos swego ojca, wyważony, dźwięczny, dziwnie blisko.

Natychmiast wstała i Ziemia straciła nad nią władzę, jaką ma tylko nad materialnymi przedmiotami i stworzeniami. Lirazel, istota rodem z wizji, baśni i fantazji, wypłynęła z pokoju na wieży. Nie mógł jej zatrzymać żaden czar Ziroonderel; ona sama nie była w stanie się odwrócić, nawet po to tylko, by spojrzeć na swego synka, gdy tak dryfowała w powietrzu.

I w tej właśnie chwili powiał wiatr z północnego zachodu, wpadł do lasu, obnażył gałęzie drzew, zatańczył na łagodnie opadających wzgórzach i poprowadził gromadę szkarłatnych i złotych liści, które lękały się tego dnia, ale zatańczyły, kiedy nastał. Wiatr i liście, tańcząc i mieniąc się wysoko w blasku słońca, oddaliły się w złocistej kurzawie. I wraz z nimi odeszła Lirazel.

## X

### KRAINA ELFÓW ODDAŁA SIĘ I ZANIKA

Następnego ranka Alweryk wszedł po schodach do wieży czarownicy Ziroonderel, zmęczony i zrozpaczony po całonocnych poszukiwaniach Lirazel we wszystkich możliwych dziwnych miejscach. Całą noc starał się odgadnąć, jaki kaprys wywabił ją z zamku i dokąd mógł ją zaprowadzić. Szukał jej nad strumieniem, przy którym modliła się do kamieni, i nad stawem, gdzie oddawała cześć gwiazdom; wołał ją po imieniu ze

szczytów wszystkich zamkowych wież, wykrzykiwał głośno w mroku, ale odpowiadało mu tylko echo. Dlatego w końcu przyszedł do czarownicy Ziroonderel.

— Dokąd? — rzucił, nie mówiąc nic więcej, żeby Orion nie zorientował się, jak przerażony jest Alweryk. Choć mimo to chłopiec dowiedział się, co się stało.

Natomiast Ziroonderel pokręciła głową ze smutkiem.

— Tam, gdzie jesienne liście — odparła. — Tam, gdzie wszystko, co piękne...

Ale Alweryk nie został, by usłyszeć coś więcej niż cztery pierwsze słowa. Oddalił się tak samo nerwowo, jak przybył, wybiegł z komnaty dziecinnej, potem pośpiesznie zbiegł w dół po schodach i ponownie znalazł się na dziedzińcu — a był wietrzny poranek — żeby zobaczyć, w której stronie zniknęły te wspaniałe liście.

I kilka listków, które dłużej czepiały się zimnych gałęzi, gdy ich weseli towarzysze odlecieli z wiatrem, teraz unosiło się w powietrzu, oddalając się jako ostatnie: Alweryk zobaczył, że zmierzały na południowy wschód, w stronę Krainy Elfów.

Wtedy Alweryk szybko przypasał czarodziejski miecz w szerokiej skórzanej pochwie i z niewielkim bagażem pospieszył przez pola za ostatnimi barwnymi, jesiennymi liśćmi, które wskazywały mu drogę do celu, jak wiele innych przyczyn w późniejszych czasach, wspaniałych i upadłych, miało poprowadzić ludzi wszystkich rodzajów i charakterów.

I tak oto dotarł na położone wśród wzgórz pola, porośnięte szarą od rosy trawą; a powietrze iskrzyło się w promieniach słońca, ubarwioną ostatnimi jesiennymi liśćmi, lecz wydawało się przeniknięte melancholią, która dźwięczała w ryku bydła.

W ten spokojny, jasny ranek, gdy powiał północno-zachodni wiatr, Alweryk nie odzyskał spokoju i wciąż śpieszył się jak ktoś, kto nagle coś stracił: poruszał się równie szybko, a na jego twarzy malowała się rozpacz. Cały dzień wpatrywał się w południowo-wschodnią część horyzontu, dokąd prowadziły tańczące na wietrze liście. I tak do wieczora podnosił oczy, licząc, że ujrzy Elfowe Góry, poważne i niezmiennie, nieoświetlone przez żadne znane ludziom światło, a miałyby one barwę jasnoniebieskich niezapominajek. Wędrował wciąż niespokojnie, by zobaczyć ich szczyty, ale nijak mu się nie ukazały.

Później zaś zobaczył dom starego garbarza, który wykonał pochwę do magicznego miecza. Widok ten przypomniał mu lata, jakie upłynęły od chwili, odkąd po raz pierwszy ujrział tę siedzibę, choć nigdy nie wiedział, ile ich minęło, i nie mógł wiedzieć, gdyż nikt nigdy nie zdołał dokładnie obliczyć działania czasu w Krainie Elfów. Następnie jeszcze raz poszukał spojrzeniem jasnoniebieskich Elfowych Gór i przypomniał sobie dokładnie, gdzie ciągnęły się szeregiem poza jedną ze ścian

szczytowych domu garbarza, ale nigdy nie ujrzał ich z bliska. Potem wszedł do chaty, a starzec nadal tam był.

Garbarz niewiele się postarzał; nawet stół, na którym pracował, wyglądał znacznie starzej. Powitał Alweryka, przypomniawszy sobie, kto to taki. Potem przybysz zapytał o żonę starca.

— Umarła dawno temu — odrzekł garbarz.

Alweryka znowu zdumiał niezwykle szybki upływ lat i poczuł strach przed Krainą Elfów, do której podążał. Lecz ani razu nie pomyślał o powrocie, ani na moment nie zapomniał o pośpiechu. Powiedział kilka zdawkowych formułek o śmierci żony garbarza, która zmarła tak dawno. I potem zapytał:

— A gdzie są Elfowe Góry? Te o jasnoniebieskich szczytach?

Przez twarz starca przemknął taki wyraz, jak gdyby nigdy nie widział on na oczy tych niezwykłych gór, jakby Alweryk, będąc uczonym człowiekiem, powiedział coś, o czym stary garbarz nie mógł wiedzieć.

— Nic o nich nie wiem — odparł gospodarz.

Zaś Alweryk przekonał się, że obecnie, tak jak przez te wszystkie lata, starzec nadal nie chciał mówić o Krainie Elfów. No cóż, granica tej ostatniej ciągnęła się zaledwie kilka metrów dalej. Alweryk mógł ją przekroczyć i zapytać o drogę mieszkańców zakłetej krainy, jeśli nie był w stanie dostrzec czarodziejskich szczytów i dojść do nich. Starzec poczęstował go jadłem — a Alweryk nie miał nic w ustach przez cały dzień. Nie chcąc tracić czasu, powtórnie zapytał gospodarza o Krainę Elfów, ten zaś odrzekł uniżenie, że nic nie wie o takich sprawach. Potem książę Erlu odszedł wielkimi krokami i dotarł do tych naszych ziem, które jak zapamiętał, dzieliła na dwie części mglista granica zmierzchu. I rzeczywiście, kiedy tylko dotarł na ten teren, zobaczył, że wszystkie muchomory pochyliły się w jedną stronę i że właśnie tam podaży. Albowiem tak jak nadmorskie drzewa wszystkie odchylają się w przeciwną stronę od morza, tak muchomory i wszystkie inne rośliny mające w sobie odrobinę tajemnicy, jak naparstnica, dziewanna i pewne gatunki storczyków, gdy rosną w pobliżu Kraju Elfów, pochylają się ku niej. W ten sposób wędrowiec mógł się o tym dowiedzieć, zanim usłyszał szum fal lub odgadł wpływ magii, który dociera, jak w tym przypadku, od morza lub granicy Krainy Elfów. A w powietrzu nad sobą Alweryk ujrzał złociste ptaki i wtedy odgadł, że w Krainie Elfów szalała jakaś burza, która przegnała je przez południowo-wschodni odcinek magicznej granicy, chociaż północno-zachodni wiatr wiał w świecie ludzi. Skierował się więc w tę stronę, ale granicy zmierzchu tam nie było, i przeszedł przez takie samo pole, jak wiele innych pól, które znamy, i nadal nie dotarł na

łąki Krainy Elfów.

Potem Alweryk, zniecierpliwiony, ruszył dalej, czując na plecach podmuchy północno-zachodniego wiatru. I Ziemia jąła stawać się naga, kamienista i szara, bez kwiatów, bez cienia, bez kolorów, bez żadnej z cech, jakie istnieją na zapamiętanych przez nas ziemiach, z pomocą których tworzymy w myśli ich obrazy, gdy nas tam już nie ma. Teraz cały ten obszar został odczarowany. Alweryk zobaczył wzlatującego w górę złocistego ptaka, który pomknął na południowy wschód. Poszedł więc za nim z nadzieją, iż niebawem ujrzy góry Krainy Elfów, które jak przypuszczał, po prostu zasłaniała jakaś magiczna mgła.

Lecz jesienne niebo nadal było jasne i bezchmurne, zaś cały horyzont dobrze widoczny, a mimo to znikąd nie dotarła poświata Elfowych Gór. Później jednak ujrzał na tej opustoszałej, kamienistej równinie dobrze sobie znany, niesmagany przez północno-zachodni wiatr, ale pięknie kwitnący, jesienią, glóg — obsypany białymi kwiatami, które niegdyś cieszyły jego wzrok w Święto Wiosny, dawno temu, gdy był dzieckiem. Zrozumiał wtedy, że Kraina Elfów musiała przedtem znajdować się w tym miejscu, ale się zeń wycofała, choć nie miał pojęcia jak daleko. Jednak taka była prawda i Alweryk zdał sobie z tego sprawę. Znał ten mechanizm: tak jak czar rozweselający nasze życie, zwłaszcza za młodu, dociera do nas wraz z pogłoskami rodem z Krainy Elfów — a roznoszą je różni posłańcy (oby byli błogosławieni i zażywali pokoju) — potem zaś powraca z naszych ziem do ojczyzny magii, aby stać się częścią jej tajemnicy, wszelkiego rodzaju niewinnymi wspomnieniami, które utraciliśmy, i dziecinnymi zabawkami, które niegdyś ceniliśmy. To wszystko reguluje prawo przyływu i odpływu, który nauka może odkryć wszędzie; w taki sposób światło przyczyniło się do wzrostu lasu, z którego wypalono węgiel drzewny. Teraz zaś węgiel drzewny oddaje to światło; w ten sposób rzeki napełniają morze wodą, którą morze odsyła z powrotem do rzek; można więc rzec, że wszystko zwraca to, co otrzymuje; nawet Śmierć.

Następnie Alweryk ujrzał leżącą na płaskim, suchym gruncie zabawkę, którą jeszcze pamiętał, a zabawka ta przed laty (czy mógłby stwierdzić, ilu?), w dzieciństwie, sprawiła mu wiele radości, choć była niezdarnie wyrzeźbiona z drewna. Pewnego fatalnego dnia połamała się, a innego nieszczęsnego dnia — została wyrzucona. Teraz zaś ujrzał ją tutaj, nie tylko całą, lecz także odmienioną: ta promienna, przekształcona zabawka budziła zdumienie, wyglądała wspaniale, otoczona romantyczną mgielką, w jaką ubrała ją dziecinka wyobraźnia małego księcia. Spoczywała tam, opuszczona przez Krainę Czarów, jak wyrzucone przez fale niezwykle morskie stworzenia leżą czasami na piaszczystym brzegu, gdy morze jest ginącą na horyzoncie błękitną gładzią

okoloną granicą z białej piany.

Monotonna i ponura była też równina, z której zniknęła Kraina Elfów, chociaż to tu, to tam Alweryk raz po raz dostrzegał drobne, zapomniane przedmioty. Zagięły one z jego dzieciństwa, spadając poprzez czas do beczasowego, wieczyste niezmiennego obszaru Krainy Elfów, by stać się częścią jego wspaniałości i niezwykłości, a teraz zostały porzucone podczas ogromnego odpływu ojczyzny magii. Stare melodie, dawne pieśni i głosy z przeszłości również tam dźwięczały, choć coraz słabiej, jak gdyby nie mogły długo przetrwać w naszym świecie.

Lecz fioletoworóżowa łuna zachodzącego słońca, która Alwerykowi wydała się zbyt piękna jak na Ziemię, nadal wabiła go do przodu. Uznał ją bowiem za odbicie na niebie blasku wspaniałej, bajecznie pięknej Krainy Elfów. Dlatego ruszył dalej, z nadzieją, że ją znajdzie, za kolejnym horyzontem; aż wreszcie nadeszła noc rozjarzona przyjaznymi gwiazdami. Dopiero wtedy Alweryka opuściło szaleńcze zniecierpliwienie, które gnało go od rana; i, okręciwszy się w faldzistą opończę, zjadł prowiant, który niósł w torbie przerzuconej przez ramię, po czym zapadł w niespokojny sen wraz z innymi zapomnianymi pozostałościami Krainy Elfów.

Niecierpliwosć zbudziła go bladym świtem, chociaż październikowa mgła przesłoniła wszystkie błyski światła. Zjadł resztę prowiantu, a potem ruszył dalej w szary półmrok.

Nie docierał teraz doń żaden odgłos z naszego świata, gdyż ludzie nigdy nie zapuszczali się na te tereny wówczas, gdy stanowiły one część magicznej krainy, a obecnie też tylko Alweryk kroczył po tej opustoszałej równinie. Oddalił się poza zasięg piania koguta z wygodnych ludzkich zagród i maszerował w niezwykłej ciszy, od czasu do czasu przerywanej przez ciche, niewyraźne dźwięki zagubionych pieśni, opuszczonych przez Krainę Elfów — teraz brzmiały one znacznie ciszej niż poprzedniego dnia. A kiedy świt rozjaśnił widnokrąg, Alweryk ponownie ujrzał na niebie tak wspaniały widok, jarzący się zielenią na południowym wschodzie, że znowu doszedł do wniosku, iż widzi odbicie Krainy Elfów. Przyspieszył więc kroku, mając nadzieję, że znajdzie ów zaklęty kraj za następnym horyzontem. Lecz minął ów horyzont, a mimo to wciąż miał przed sobą kamienistą równinę, a nie szczyty jasnyniebieskich Elfowych Gór.

Alweryk nie wiedział, czy Kraina Czarów zawsze leżała za horyzontem, rozjaśniając chmury swym blaskiem, i oddalała się właśnie wtedy, gdy się do niej zbliżał, czy też zniknęła przed wieloma dniami — a może i latami. Mimo to nie zatrzymał się i szedł wciąż dalej i dalej. Wreszcie dotarł do pasma górskiego o

wyschłych, nagich zboczach, w które od dawna się wpatrywał i w którym pokładał resztki nadziei. Stamtąd spojrzął w dal na opustoszałą równinę ciągnącą się aż po skraj nieba i nie zobaczył ani śladu Krainy Elfów, ani sylwetek Elfowych Gór: nawet drobne skarby wspomnień, pozostawione przez odpływającą ojczyznę magii, wysychały, zamieniając się w codzienne drobiazgi. Wtedy to Alweryk wyciągnął z pochwy czarodziejski miecz. Lecz choć ten oręż mógł walczyć z magią, nigdy nie otrzymał mocy sprowadzania na powrót czarów, które już odeszły. I nawet jeśli księżę Erlu wymachiwał zaklętym mieczem, jałowa równina pozostała taka sama, kamienista, bezludna, nieromantyczna i rozległa. Przez krótki czas małżonek Lirazel szedł dalej, a na tym płaskim terenie horyzont niepostrzeżenie przesuwiał się wraz z nim. Nigdzie też nie zobaczył żadnego szczytu Elfowych Gór, niebawem odkrywając tylko, jak wielu ludzi przed nim lub po nim, że utracił Krainę Elfów.

## XI

### W GŁĘBI LASU

W owym czasie Ziroodnerel zabawiała syna Alweryka czarami i magicznymi sztuczkami i przez jakiś czas go to zadowalało. Potem jednak zaczął się zastanawiać, w całkowitym milczeniu, gdzie też przebywa jego matka. Przysłuchiwał się wszystkim rozmowom i długo nad nimi rozmyślał. W ten sposób mijały dni i chłopczyk dowiedział się tylko, że jego matka odeszła, a mimo to nigdy nawet nie pisał słowa o tym, nad czym skupił myśli. Potem zrozumiał na podstawie tego, co powiedziano, lub nie wypowiedziano w jego obecności, ze spojrzeń lub ze sposobu, w jaki nań patrzono czy kiwano głową, że zniknięcie jego matki było czymś niezwykłym. Nie zdołał się jednak dowiedzieć, na czym polegała owa niezwykłość, choć kiedy się nad tym zastanawiał, najróżniejsze cuda przychodziły mu do głowy. Wreszcie pewnego dnia zapytał o to Ziroonderel.

I chociaż czarownica posiadała nagromadzoną przez wiele stuleci wiedzę, lękała się pytań wychowanka, i nie wiedziała, nad czym przemyślał od wielu dni. Dlatego mimo całej swojej mądrości nie znalazła lepszej odpowiedzi niż ta, że jego matka poszła do lasu. Gdy chłopiec to usłyszał, postanowił, że pójdzie do lasu, by ją odnaleźć.

Teraz podczas spacerów z Ziroonderel przez małą wioskę Erl, Orion przyglądał się ukradkiem kowalowi w otwartej kuźni, wieśniakom, którzy ich mijali lub stali w drzwiach chat oraz kupcom przybyłym z daleka na jarmark, i w końcu rozpoznawał ich

wszystkich. A najlepiej poznał stąpającego cicho Threla i Otha o gibkich członkach, bo obaj opowiadali mu o swoich podróżach, gdy spotykali się przypadkiem na wyżynie lub w gęstym lesie nad wzgórzem zamkowym. Trzeba bowiem wiedzieć, że Orion podczas krótkich spacerów z niańką-czarownicą uwielbiał słuchać opowieści o dalekich krajach.

Nad pewnym źródłem rósł stary krzew mirtowy, pod którym Ziroonderel siadała w letnie wieczory, gdy tymczasem jej wychowanek bawił się na trawie. Spotykali wtedy Otha, który wychodził na polowanie ze swoim niezwykłym łukiem; czasami przychodził też Threl. I za każdym razem Orion zatrzymywał ich i prosił o jakąś opowieść o lesie. A wówczas, jeśli to był Oth, kłaniał się Ziroonderel z lękiem w oczach i opowiadał chłopcu o tym, co zrobił jakiś jelen. A wtedy Orion pytał go dlaczego. Wówczas na twarzy Otha pojawiał się dziwny wyraz, jakby łowca dogłębnie przypominał sobie zdarzenia sprzed wielu lat. Po chwilowym milczeniu Oth podawał starodawną przyczynę zachowania zwierzęcia, co wyjaśniało, w jaki sposób w Erlu powstał dany zwyczaj.

Jeżeli spotykali Threla, ten zdawał się nie widzieć czarownicy i pośpiesznie, cichym głosem snuł opowieść o lesie, po czym ruszał dalej, nawet nie uchylając rąbka tajemnicy, którą, jak wydawało się Orionowi, był przepojony ciepły wieczór. Threl opowiadał o stworzeniach wszelkiego rodzaju, a jego opowieści były tak niesamowite, że przekazywał je wyłącznie młodemu księciu, ponieważ, jak wyjaśnił, wielu ludzi nie uwierzyłoby w ich prawdziwość. On zaś, ciągnął, nie chce, by uznano je za wymysł. Jednego razu Orion przyszedł też do domu Threla, ciemnej chaty pełnej skór: na ścianach wisiały futra najróżniejszych zwierząt — lisów, borsuków i kun, zaś stopy skórek mniejszych mieszkańców lasu leżały w kątach. Dla chłopca ta ciemna chata miała w sobie więcej niezwykłości niż jakikolwiek inny dom, który dotąd zobaczył.

Ale teraz była jesień i Orion i jego piastunka znacznie rzadziej widywali Otha i Threla, bo w mgliste wieczory, gdy zimne powietrze wróżyło przymrozki, już nie siadywali pod krzewem mirtowym.

A przecież Orion rozglądał się wokoło podczas krótkich przechadzek i raz zobaczył Threla oddalającego się od wioski z twarzą zwróconą w stronę wyżyny. Zawołał do myśliwego, który przystanął, nieco zmieszany, gdyż uważał, że za mało znaczy, aby piastunka małego księcia zwróciła na niego uwagę, bez względu na to, czy jest czarownicą, czy zwykłą niewiastą.

Wtedy Orion podbiegł do Threla i poprosił: — Pokaż mi las.

W owej chwili Ziroonderel zorientowała się, że nadeszła pora, gdy syn Alweryka zaczął wędrować w myślach poza zbocza doliny i że żaden znany jej czar nie zatrzyma go długo przed podążeniem ich śladem.

Threl zaś odrzekł: — Nie, paniczu.

I zerknął z niepokojem na Ziroonderel, która zabrała chłopca z powrotem na zamek. A Threl ruszył dalej sam do pracy w głębi lasu.

I stało się tak, jak przewidziała czarownica. Po raz pierwszy Orion wybuchnął płaczem, a potem śnił o leśnej gęstwinie. Następnego dnia chłopiec wymknął się samotnie do chaty Otha i poprosił łowcę, aby zabrał go na polowanie na jelenie. Oth zaś, stojąc na dużej jeleniej skórze rozścielonej przed ogniskiem z wielkich polan, długo opowiadał chłopcu o pobliskiej puszczy, ale go tam nie zabrał. Zamiast tego odprowadził Oriona na zamek. Wówczas Ziroonderel zbyt późno pożałowała, że odpowiedziała niedbale Orionowi, iż jego matka odeszła do lasu. Czarownica zdała sobie sprawę, że jej słowa zbyt wcześnie obudziły w nim żylkę podróżniczą i że jej czary już mu nie wystarczą. Więc w końcu pozwoliła mu pójść do puszczy. Wcześniej jednak podniosła różdżkę i zaklęciem przywołała leśne czary do ogniska w komnacie dziecinnej. Później przeobraziła ją w siedzibę tajemniczych cieni. Cienie te oderwały się od płomieni i skradały wkoło po pokoju, aż stał się równie zagadkowy i nieodgadniony jak pobliski bór. Kiedy jednak okazało się, iż ten czar nie zdołał uspokoić malca i ukoić w jego sercu tęsknoty za nieznanym, niańka pozwoliła mu na wyprawę do puszczy.

I tak kolejnego ranka Orion jeszcze raz wykradł się do chaty Otha po sztywnej od mrozu trawie. Stara czarownica zorientowała się, że wyszedł, ale nie odwołała go, gdyż nie знаła czaru, którym mogłaby poskromić żylkę podróżniczą w mężczyźnie, bez względu na to, czy obudziła się w nim wcześnie, czy późno. Nie chciała powstrzymać członków swego wychowanka, gdy jego serce wyrwało się do lasu. Albowiem czarownice mają taki zwyczaj, że wybierając pomiędzy dwiema sprawami, mocniej przywiązują się do tej bardziej tajemniczej. Tak więc chłopczyk przyszedł sam do chaty Otha, przez ogród, gdzie martwe kwiaty zwisały z brązowych łądyg, a ich płatki zamieniały w szlam, gdy malec ich dotknął. Był już bowiem listopad i kwiaty zwarzył nocny mróz. Tym razem Orion zjawił się w chwili, gdy Oth był w odpowiednim nastroju — choć nastawienie łowcy mogłoby przeminąć w ciągu godziny lub nawet wcześniej — i tak sprzyjało ono pragnieniom chłopca. Oth właśnie zdejmował łuk ze ściany, kiedy Orion wszedł do chaty — zaś myśliwy sercem i myślami był już w leśnej gęstwinie. Gdy okazało się, że malec również rwie się do boru, Oth nie mógł mu odmówić.

Tak więc Oth posadził sobie małego księcia „na barana” i opuścił dolinę. Mieszkańcy wioski widzieli ich, jak odchodzili razem, Oth z łukiem, w brązowym, skórzanym odzieniu, krocząc bezgłośnie w miękkich sandałach. A na plecach niósł

Oriona, którego owinął w skórę jelenka. Kiedy pozostawili za sobą wioskę, chłopiec z radością patrzył, jak chaty Erlu oddalają się coraz bardziej, gdyż nigdy nie widział ich z takiej odległości. A gdy ujrzeli przed sobą wyżynę, Orion poczuł, że nie jest teraz na zwykłym spacerze, ale na prawdziwej wyprawie. Potem zobaczył w oddali ciemny bór, w którym panował pełen powagi zimowy mrok, i widok ten od razu napełnił go radością i zachwytem. Jakby Oth przyniósł go pod osłonę tego tajemniczego, mrocznego lasu.

Łowca tak cicho wszedł do puszczy, że kosy, które czujnie jej strzegły, siedząc na gałęziach, nie uciekły na jego widok, lecz tylko zaświergotały powoli, ostrzegawczo i nasłuchiwały podejrzliwie, póki ich nie minął, i wcale nie miały pewności, czy ten człowiek złamał leśny czar, czy nie. W tej tajemniczej, zaczarowanej atmosferze i mroku Oth poruszał się bardzo cicho. Powaga odmalowała się na jego twarzy, kiedy wszedł między drzewa. Albowiem taki sposób wędrówki po lesie był sednem jego życia i Oth posiadał tę umiejętność w taki sposób, jak inni mężczyźni spełniają największe pragnienie swego życia. Wkrótce postawił chłopca na brązowych paprociach i odszedł sam na jakiś czas. Orion patrzył, jak myśliwy oddala się z łukiem w rękę, aż zniknął w gęstwinie niby cień udający się na zgromadzenie cieni i zlewający się z nimi. I chociaż chłopiec nie mógł teraz z nim pójść, ogarnęła go wielka radość, gdyż zdał sobie sprawę — ze sposobu poruszania się Otha i wyrazu jego twarzy — że było to prawdziwe polowanie, a nie zabawa dla sprawienia przyjemności dziecku. I spodobało mu się to bardziej niż wszystkie zabawki, jakie kiedyś miał. A wielki, głuchy, pierwotny bór otaczał zewsząd chłopca, górował nad nim, gdy ten czekał na powrót łowcy.

Po długim czasie wśród wszystkich cudownych leśnych odgłosów Orion usłyszał dźwięk cichszy niż odgłos, z jakim kos roztrąca zwiędłe liście w poszukiwaniu owadów, i Oth znów się pojawił.

Nie znalazł żadnego zwierzęcia łownego i przez jakiś czas siedział obok chłopca i strzelał z łuku do pobliskiego drzewa. Wkrótce jednak zebrał strzały, ponownie posadził chłopca na barkach i zawrócił w stronę doliny. Łzy napłynęły do oczu Oriona, kiedy opuścili puszcę, gdyż pokochał tajemnice wielkich, szarych dębów, które możemy mijać, nawet ich nie zauważając, lub gdy w naszej pamięci budzi się niejasne wspomnienie czegoś, o czym zapomnieliśmy, jakiegoś przesłania, którego nie do końca wysłuchaliśmy. Lecz dla syna elfowej księżniczki duchy tych drzew były towarzyszami zabaw. Dlatego wrócił do Erlu jak po zabawie z nowymi kolegami, o władnięty wspomnieniami najrozmaitszych wskazówek, które dostrzegł na grubych pniach tych mądrych drzew, bo dla niego każdy otwór miał jakieś znaczenie. A Ziroonderel czekała w bramie, kiedy Oth przyprowadził Oriona z powrotem. Niewiele pytała o czas, jaki syn

Alweryka spędził w puszczy, i odpowiadała zdawkowo, gdy sam jej o tym opowiedział, ponieważ była zazdrosna o tych, których urok oderwał wychowanka od jej czarów. A przez całą tę noc chłopiec śnił o polowaniu na jelenie w głębi lasu.

Następnego dnia Orion ponownie wymknął się do chaty Otha. Lecz Otha nie było w domu; polował, gdyż potrzebował mięsa. Dlatego chłopiec poszedł do domostwa Threla. Zastał Threla w jego ciemnym domu obwieszonym różnorakimi skórami.

— Zaprowadź mnie do lasu — polecił Orion.

Ale Threl usiadł na szerokim, drewnianym krześle przy ognisku, aby zastanowić się i opowiedzieć małemu gościowi o pobliskiej puszczy. Nie mówił, jak Oth, o kilku zwykłych sprawach, które znał, o zwierzynie łownej, o jej zwyczajach i o następstwie pór roku, lecz o rzeczach, które dostrzegł lub których się domyślił w głębi lasu i w nocnym mroku, powtarzał baśnie o ludziach i zwierzętach. Szczególnie upodobał sobie opowieści o lisach i borsukach, których poznał, obserwując o zmierzchu ich zwyczaje. Siedział tak, wpatrując się w płomienie, i z rozrzewnieniem opowiadał o pradawnych obyczajach tych mieszkańców gąszczu paproci i jeżyn. Zasluchany Orion zapomniał o tęsknocie za lasem i rozsiadł się wygodnie na stołeczku, otulony futrami, ukontentowany opowieściami łowcy. Później chłopiec powiedział Threlowi to, czego nigdy nie zdradził Othowi: że uważa, iż pewnego dnia jego matka może wyjść spoza pnia któregoś dębu, gdyż poszła na jakiś czas do lasu. Threl zaś pomyślał, że to całkiem możliwe, ponieważ uważał za prawdopodobne wszystkie niezwykle opowieści o ukochanym borze.

Potem Ziroonderel zabrała Oriona z powrotem do zamku. A następnego dnia ponownie pozwoliła mu pójść do Otha; i tym razem Oth jeszcze raz zaprowadził go w głąb puszczy. A po kilku dniach mały książę znów odwiedził Threla w jego ciemnej chacie, w której kątach i zasłonach z pajęczyn zdawały się kryć leśne tajemnice, i wysłuchał ciekawych opowieści łowcy.

Tymczasem gałęzie drzew szerniały i znieruchomiały na tle rubinowych zachodów słońca i zima jęła rzucać czary na wyżynie, a wioskowi mędrcy — przepowiadać opady śniegu. Aż pewnego dnia, gdy Orion był z Othem w puszczy, zobaczył, jak myśliwy ustrzelił z łuku jelenia. Patrzył, jak Oth oporządził upolowane zwierzę, obdarł je ze skóry, przekroił na dwie części, owinał w skórę i zawiązał, podczas gdy głowa i rogi zdobyczy czekały odwieszony. Później Oth przywiązał rogi do tobołka i zarzucił go na ramię, a ponieważ był bardzo silny, bez trudu zaniósł ciężki łup do domu. I chłopiec cieszył się bardziej niż łowca.

Tego wieczoru Orion udał się do Threla, by mu o tym opowiedzieć, a ten miał w

zanadru więcej cudownych opowieści.

I tak mijały dni, a Orion czerpał z puszczy i z opowiadań Threla miłość do wszystkiego, co wiąże się z powołaniem myśliwego; nabierał animuszu pasującego do imienia, które nosił; a magiczna część jego dziedzictwa jeszcze nie dała o sobie znać.

## XII

### ODCZAROWANA RÓWNINA

Kiedy Alweryk zrozumiał, że utracił Krainę Elfów, nastał już wieczór i nie było go w Erlu przez dwa dni i jedną noc. Po raz drugi ułożył się do snu na kamienistej równinie, skąd wycofała się ojczyzna magii: i o zachodzie słońca zobaczył wyraźnie horyzont na tle turkusowego nieba, cały czarny i najeżony skałami, bez jakiegokolwiek śladu Krainy Elfów. I ów półmrok migotał, ale było to ziemskie migotanie, a nie gęsta zaporą zmierzchu, której wypatrywał Alweryk, granica między Krainą Czarów a Ziemią. Gwiazdy też weszły i były to znane nam wszystkim nocne światła. Tak więc Alweryk zasnął pod znajomymi konstelacjami.

Obudził się bardzo zmarznięty w mroźny poranek, nie słysząc ptasich treli, choć z daleka dobiegały ich bardzo ciche śpiewy, gdyż oddalały się powoli, jak stare sny wracające do ojczyzny snów. Zastanowił się, czy te ptaki powrócą do Krainy Elfów, czy też odsunęła się ona, jak odpływ, zbyt daleko. Omiótł wzrokiem cały horyzont na wschodzie i nadal widział tylko skały tej opustoszałej równiny. Dlatego zawrócił w stronę naszego świata.

Szedł w mroźnym powietrzu spokojnie, bo opuściła go niecierpliwość, i stopniowo rozgrzał się w ruchu, a potem jeszcze trochę od promieni jesiennego słońca. Wędrował tak cały dzień, a słońce poczerwieniało i chyliło się ku zachodowi, gdy przybył znów do chaty starego garbarza. Poprosił o jadło i starzec ugościł go jak należało: w garnku nad ogniskiem już gotowała się jego własna wieczerza. I niebawem Alweryk zasiadł przy starym stole nad talerzem pełnym wiewiórczych łapek, mięsa jeży i królików. Starzec nie tknął jedzenia, póki Alweryk się nie posilił, lecz obsługiwał go tak troskliwie, że księżę uznał, iż nadeszła odpowiednia chwila. Odwrócił się więc do gospodarza w chwili, gdy ten podał mu kawałek króliczego mięsa, i poruszył sprawę Krainy Elfów.

— Zmierzch się oddalił — zaczął Alweryk.

— Tak, tak — odparł starzec, choć sądząc z tonu, jego słowa nic nie znaczyły, bez

względu na to, o czym myślał.

— I dokąd się udał? — pytał dalej książę.

— Zmierzch, panie? — powtórzył gospodarz.

— Tak — odrzekł cierpliwie Alweryk.

— Ach, ten zmierzch — stwierdził obojętnie garbarz.

— Zapora zmierzchu — sprecyzował Alweryk, zniżając głos, choć nie wiedział dlaczego — między tym miejscem a Krainą Elfów.

Na dźwięk tych słów „Kraina Elfów” błysk zrozumienia zgasł w oczach starca.

— Ach, no tak — odrzekł.

— Starcze, ty wiesz, dokąd wycofała się Kraina Czarów! — powiedział z naciskiem Alweryk.

— Wycofała się? — zapytał gospodarz.

To zaskoczenie musi być prawdziwe, pomyślał książę, ale przynajmniej wiedział już, gdzie się znajduje: przedtem Kraina Elfów leżała w odległości dwóch pól od jego domu.

— Kiedyś Kraina Elfów znajdowała się na następnym polu — powiedział Alweryk.

Wtedy starzec cofnął się w myślach do przeszłości i przez jakiś czas patrzył tak, jakby na moment powróciły dawne dni, ale potem pokręcił głową. A Alweryk wbił weń spojrzenie.

— Ty znałeś Krainę Elfów! — wykrzyknął.

Lecz gospodarz nadal milczał.

— Wiedziałeś, gdzie leżała granica zmierzchu — stwierdził Alweryk.

— Jestem stary — odparł garbarz — i nie mam kogo zapytać.

Kiedy starzec tak rzekł, Alweryk zrozumiał, że myśli on o zmarłej żonie. Zdał też sobie sprawę, że nawet gdyby ona żyła i stała obok męża, on sam nadal niczego nie dowiedziałby się o ojczyźnie magii. W tej sytuacji niewiele więcej miał do powiedzenia. Ale rozdrażnienie kazało mu dalej drażnić temat, choć wiedział, że to beznadziejna sprawa.

— Kto mieszka na wschód od tego miejsca? — zapytał.

— Na wschód? — powtórzył starzec. — Panie, czy nie ma północy, południa i zachodu, że musisz patrzeć na wschód?

W jego głosie zabrzmiała błagalna nuta, ale Alweryk nie zwrócił na to uwagi.

— Kto mieszka na wschodzie? — nie ustępował książę.

— Panie, nikt nie mieszka na wschodzie — odrzekł garbarz. I rzeczywiście była to prawda.

— Co tam kiedyś było? — pytał dalej Alweryk.

A starzec odwrócił się, żeby dopilnować garnka z gotującym się mięsem, i mruknął mimochodem tak cicho, że ledwie można było go usłyszeć: — Przeszłość.

Gospodarz nie chciał nic więcej powiedzieć ani wyjaśnić, co miał na myśli. Dlatego Alweryk zapytał go, czy znajdzie się dla niego miejsce do spania. A starzec wskazał mu stare łoże, które księżę pamiętał niejasno sprzed lat. Zaakceptował łoże bez zbędnych ceregieli, żeby garbarz mógł wreszcie sam zjeść wieczerzę. I już niebawem Alweryk zasnął głęboko, w ciepłe, odpoczywając wreszcie po męczącej wędrówce, podczas gdy jego gospodarz rozmyślał o wielu sprawach, o których, zdaniem gościa, nic nie wiedział.

Kiedy nasze ziemskie ptaki obudziły księcia Erlu, śpiewając bardzo późno, bo pod sam koniec października, rankiem, jakby to było na wiosnę, Alweryk wyszedł z domu garbarza na najwyższej położone miejsce poletka, które znajdowało się za osłoniętą od wiatru pozbawioną okien ścianą chaty starca, od strony Krainy Elfów. Stamtąd popatrzył na wschód i aż do zakrzywionej linii horyzontu zobaczył wszędzie tę samą, opustoszałą, nagą, skalistą równinę, która była tam wczoraj i przedwczoraj. Potem stary garbarz poczęstował go śniadaniem, po czym księżę znowu wyszedł z chaty, by jeszcze raz przyjrzeć się kamienistej równinie. A przy obiedzie, który jego gospodarz dzielił z nim nieśmiało, Alweryk ponownie wrócił do sprawy Krainy Elfów. I coś w odpowiedziach lub w przemilczeniach starca obudziło w Alweryku promień nadziei, że może jeszcze dowie się czegoś o tym, gdzie znajdują się Elfowe Góry. Dlatego wyprowadził gospodarza na dwór i zwrócił go ku wschodowi, gdzie jego towarzysz spojrzał niechętnie, po czym wskazał na pewną szczególną skałę, najbliższą i najbardziej rzucającą się w oczy i zapytał z nadzieją na otrzymanie konkretnych wiadomości o tej konkretnej sprawie:

— Jak długo ta skała znajduje się tutaj?

A odpowiedź była dla jego rozbudzonej nadziei tym, czym grad dla kwiatów jabłoni:

— Ona tam jest i musimy wykorzystać ten fakt jak najlepiej.

To nieoczekiwane stwierdzenie oszołomiło Alweryka, a kiedy zorientował się, że rozsądne pytania o konkretne sprawy nie dały mu logicznej odpowiedzi, zwątpił, iż otrzyma praktyczną informację, która umożliwi mu kontynuację fantastycznej wędrówki. Dlatego przez całe popołudnie szedł na wschód od strony chaty garbarza, obserwując ponurą równinę, która ani nie zmieniła się, ani nie drgnęła: nie pojawiły się jasnoniebieskie góry, nie powróciła też Kraina Elfów, zaś nagie skały połyskiwały matowo w promieniach zachodzącego słońca i pociemniały, gdy zaszło,

zmieniając się, jak wszystko na Ziemi, lecz bez czarodziejskiego uroku Krainy Elfów. Potem Alweryk postanowił wyruszyć w wielką podróż.

Wrócił do chaty i oświadczył garbarzowi, że musi kupić dużo prowiantu, tyle, ile zdoła unieść. I przy wieczerzy zaplanowali, co powinien wziąć. Starzec obiecał mu, że następnego dnia pójdzie do sąsiadów, opowiadając, co uzyska od każdego z nich, i może będzie też coś więcej, jeżeli Bóg będzie mu sprzyjał przy zakładaniu pułapek. A wszystko to dlatego, że Alweryk postanowił wyruszyć na wschód, aby znaleźć zaginioną krainę.

położył się spać wcześniej i spał długo, aż pozbył się resztek zmęczenia z czasu pościgu za Krainą Elfów: starzec obudził go po powrocie z obchodu pułapek. Wszystkie schwytane zwierzęta gospodarz włożył do garnka, który zawiesił nad ogniskiem, podczas gdy Alweryk jadł śniadanie. I przez cały ranek garbarz chodził od chaty do chaty swoich sąsiadów, zatrzymywał się w niewielkich gospodarstwach na skraju pól. Od kilku nabył solone mięso, od jednego chleb, od drugiego ser i wrócił obciążony do domu, by przygotować wieczorny posiłek.

Cały ten prowiant Alweryk włożył do worka, a trochę do kieszeni. Napełnił wodą swój bukłak i jeszcze dwa inne, które jego gospodarz sporządził z dużych skór, gdyż na tym pustkowiu nie napotkał żadnych strumieni. Wyekwipowany w ten sposób, odszedł na pewną odległość od chaty garbarza i znów spojrzął na ziemię, z której Kraina Elfów odpłynęła jak morze. Wrócił zadowolony, że zdoła nieść swoje zapasy na dwa tygodnie.

A wieczorem, kiedy starzec przygotowywał wiewiórcze mięso, Alweryk znów stanął przy pozbawionej okien ścianie chaty, patrząc na opustoszałą równinę z nadzieją, że ujrzy, jak z barwiących zachód słońca chmur wynurzą się znajome jasnoniebieskie Elfowe Góry, ale nie zobaczył ani jednego szczytu. Później słońce zaszło i był to koniec ostatniego dnia października.

Następnego ranka Alweryk zjadł porządne śniadanie w chacie garbarza, potem wziął ciężki worek z prowiantem, zapłacił gospodarzowi i ruszył w drogę. Drzwi chaty wychodziły na zachód. Starzec kordialnie pożegnał go przy wejściu, życząc mu szczęśliwej podróży, ale nie zechciał obejść domu, aby patrzeć, jak jego młody gość odchodzi na wschód. Nie chciał też rozmawiać o tej wyprawie; wyglądało to tak, jakby dla niego istniały tylko trzy strony świata, trzy punkty na tarczy kompasu.

Jasno świecące jesienne słońce jeszcze nie stało wysoko na niebie, kiedy Alweryk opuścił nasz świat, kierując się ku równinie, którą pozostawiła Kraina Elfów, i nic innego do niego się nie zbliżyło, gdy tak kroczył z wielkim workiem zarzuconym na plecy, z mieczem u boku. Kwitnące głogi z jego wspomnień w całości zwiędły,

a dawne pieśni i głosy z przeszłości, niegdyś nawiedzające te okolice, brzmiały teraz tak cicho jak westchnienia. Wydawało się też, że jest ich mniej, jakby niektóre z nich już umarły lub z jakimś trudem zdołały wrócić do Krainy Elfów.

Alweryk wędrował przez cały ten dzień, z zapalem, który zawsze towarzyszy początkom podróży, co pomogło mu nieść tak ciężkie zapasy oraz wielki koc, zarzucony jak gruby płaszcz na plecy. Oprócz tego zabrał wiązkę drewna na opał, a w prawej ręce trzymał kij. Wyglądał absurdalnie z tym kijem, workiem i mieczem, ale szedł tropem pewnej myśli, pewnej inspiracji, pewnej nadziei. Dlatego emanowała odeń dziwna aura, jaka zwykle otacza wszystkich ludzi, którzy tak postępują.

Zatrzymawszy się w południe, by zjeść i odpocząć, ruszył potem w dalszą drogę i szedł aż do wieczora: lecz nawet wtedy nie wypoczął tak, jak zamierzał, bo gdy zapadł zmierzch i ciemną zasłoną zakrył niebo na wschodzie, Alweryk co jakiś czas wstawał po krótkim wypoczynku i szedł nieco dalej, aby sprawdzić, czy nie jest to gęsty zmierzch na granicy naszego świata, który odgradza go od Krainy Elfów. Lecz zawsze był to ziemski półmrok, aż wreszcie zrobiło się całkiem ciemno i weszły gwiazdy, i wszystkie one były znajomymi nocnymi światłami, które spoglądają z nieba na Ziemię.

Świt nadszedł bez śpiewu ptaków lub szelestu liści czy traw, świt nadszedł w martwej ciszy, przy trzaskającym mrozie, a na pustej równinie nie było nic, co powitałoby światło.

Byłoby lepiej, gdyby ciemność zaległa na zawsze między tymi kanciastymi skałami, pomyślał Alweryk, patrząc, jak połyskują ponuro te bezkształtne towarzyszki podróży. Ciemność byłaby znacznie lepsza teraz, po zniknięciu Krainy Elfów. Chociaż cierpienie tego odczarowanego miejsca przeniknęło do serca wędrowca wraz z porannym chłodem, ale zwodnicza nadzieja wciąż płonęła w nim jak gwiazda, pozostawiając mu mało czasu na jedzenie przy kręgu zimnych czarnych kamieni wokół niewielkiego ogniska, zanim pognała go dalej na wschód po nagich skałach. I przez cały ten ranek Alweryk wędrował bez towarzystwa choćby jednego źdźbła trawy. Złociste ptaki, które przedtem widział, już dawno odleciały do Krainy Elfów, a nasze ptaki i wszystkie małe stworzenia unikały tego pustkowia. Alweryk wędrował tak samotny jak człowiek, który wrócił w poszukiwaniu wspomnień, żeby ponownie ujrzeć zapamiętane sceny, a zamiast nich znalazł się w jakimś miejscu pozbawionym wszelkiego uroku. Wprawdzie dźwigał nieco lżejsze brzemie niż poprzedniego dnia, ale czuł większe zmęczenie, gdyż wczorajsza uciążliwa wędrówka dała mu się nieźle we znaki.

Odpoczywał długo w południe, a potem ruszył dalej. Niezliczone skały ciągnęły się bez końca, lekko szczybiąc horyzont, przez cały dzień ojciec Oriona nie dostrzegł nawet

przelotnie jasnyniebieskich gór Krainy Czarów.

Tego wieczoru Alweryk rozpałił kolejne ognisko ze zmniejszającego się zapasu szczap. Ten mały płomyk pałacy się samotnie na ogromnym pustkowiu w jakiś sposób zdawał się odzwierciedlać potworną samotność wędrowca. Alweryk usiadł przy ognisku, pomyślał o Lirazel i nie chciał wyrzec się nadziei, że ją odnajdzie. A przecież jedno spojrzenie na okoliczne nagie skały mogłoby go przekonać, by porzucił złudzenia, gdyż coś w ich chaotycznym wyglądzie na równinie, która je zrodziła, wskazywało, że ciągną się bez końca.

## *XIII*

### **POWŚCIAĞLIWOŚĆ STAREGO GARBARZA**

Minęło wiele dni, zanim Alweryk, patrząc na monotonię skał, zdał sobie sprawę, że tutaj jeden dzień podróży jest taki sam jak inny i że ich liczba nic nie zmieni w wyglądzie aktualnego horyzontu. Każdy z horyzontów, który minął, wyglądał identycznie, i jak dotąd małżonek Lirazel nie ujrzał jasnyniebieskich gór. Szedł, a worek z prowiantem stawał się coraz lżejszy i lżejszy po dziesięciu dniach pieszej wędrówki po skałach; właśnie zapadł wieczór i księżę Erlu w końcu zrozumiał, że gdyby powędrował dalej i wkrótce nie ujrzał szczytów Elfowych Gór, umrze z głodu. Dlatego zjadł skromną kolację w mroku, gdyż już dawno wykorzystał zapas szczap i porzucił nadzieję, która go przedtem prowadziła. Kiedy tylko rozjaśniło się na tyle, że zobaczył, gdzie znajduje się wschód, zjadł nieco z zaoszczędzonych resztek wieczerzy i rozpoczął długą wędrówkę z powrotem do świata ludzi, po skałach, które teraz wydawały się jeszcze ostrzejsze, ponieważ odwrócony był plecami do Krainy Elfów. Przez cały ten dzień jadł i pił niewiele i o zmierzchu pozostał mu jeszcze cały prowiant na cztery dni.

Przedtem miał nadzieję, że będzie szybciej szedł w ostatnie dni, w razie gdyby musiał zawrócić, ponieważ nie będzie tak obciążony, jak na początku. Nie pomyślał, że te monotennie wyglądające skały mogą zmęczyć i przyprawić o depresję podróżnika, gdy nadzieja, która w jakiś sposób rozjaśniała ich przygnębiającą szarość, uleciała: właściwie nie myślał o powrocie, aż do dziesiątego wieczora, gdy nie ujrzał bładoniebieskich gór i nagle spojrzął na swoje zapasy. Monotonię powrotnej podróży przerywały od czasu do czasu tylko lęki, że może nie zdoła wrócić do świata ludzi.

Niezliczone skały leżały na ziemi, większe i grubsze niż kamienie nagrobne i nie były tak starannie obrobione, ale to pustkowie miało w sobie coś z rozciągającego się na cały świat cmentarza z nieoznakowanymi grobami dla bezimiennych ciał. Marznąc w mroźne noce, kierując się krwawymi zachodami słońca, Alweryk szedł w mgliste poranki i w męczące wieczory, gdy nie dostrzegał ani jednego ptaka. Minał ponad tydzień, odkąd zawrócił, i zużył resztę wody, a mimo to nadal nie widział żadnego śladu ludzkich siedzib lub czegokolwiek bardziej znajomego niż skały, które zdawał się pamiętać. Skały te mogłyby poprowadzić go w złym kierunku — na północ, na południe lub na wschód — gdyby nie czerwone listopadowe słońce, za którym szedł, i czasami jakaś przyjazna gwiazda. Aż wreszcie, zaraz po tym, jak ciemność zgęstniała nad bezkresem skał, na zachodzie ponad skałami Alweryk zobaczył w oddali blask okna pod dachem domu jakiegoś człowieka. A okno to jarzyło się coraz jaskrawszym pomarańczowym blaskiem. Alweryk wstał i szedł ku niemu, aż pokonały go zmęczenie i mrok. Wtedy położył się i zasnął, zaś małe żółte okienko świeciło w jego snach i budziło tak wspaniałą nadzieję, jak marzenia o Krainie Elfów.

Kiedy rankiem po przebudzeniu ujrzał dom, do którego szedł, dziwił się, że był to ten, którego światelko dodawało mu otuchy i nadziei w bezbrzeżnej samotności; bowiem wydał mu się zbyt brzydki i pospolity. Rozpoznał w nim chatę stojącą niedaleko od siedziby starego garbarza. Niebawem dotarł też do jakiegoś stawu i ugasił pragnienie. Potem doszedł do ogrodu, w którym wcześniej rano pracowała jakaś kobieta, a ona zapytała go, skąd przybywa.

— Ze wschodu — odrzekł i pokazał palcem, lecz wieśniaczka nie zrozumiała.

A on sam tak oto wrócił do chaty garbarza, z której rozpoczął podróż, aby jeszcze raz prosić o gościnę starca, choć przebywał u niego już dwukrotnie.

Garbarz stał w drzwiach, gdy nadszedł zmęczony Alweryk, powłócząc nogami, i znowu przyjął go serdecznie. Dał mu mleka, a potem ciepły posiłek. Alweryk zjadł, co mu dano, i odpoczywał przez cały dzień: odezwał się dopiero wieczorem. Ale wtedy już zdążył posilić się, odpocząć i ponownie siedział przy stole zastawionym jadłem, przy świetle i w ciepłe. Nagle poczuł potrzebę rozmowy z jakimś człowiekiem. Zasypał gospodarza słowami: opowiedział historię swojej wielkiej podróży przez krainę, gdzie nie było żadnego dzieła ludzkich rąk, a gdzie jeszcze nie pojawiły się ani ptaki, ani jakieś małe zwierzęta, nawet kwiaty. Była to prawdziwa kronika przerażającego skalistego pustkowia. Starzec słuchał barwnych opisów i nic nie powiedział, wtrącał własne komentarze tylko wówczas, gdy Alweryk opowiadał o naszym świecie. Wysłuchał uprzejmie, ale nie pisał nawet słówka o pustkowie, z którego

zniknęła ojczyzna magii. Zachowywał się tak, jak gdyby cały obszar na wschodzie był jakimś złudzeniem i jakby Alweryka stamtąd uratowano lub obudził się ze snu, a teraz znajdował się w racjonalnym, codziennym otoczeniu, bo przecież nie komentuje się marzeń sennych. Na pewno stary garbarz nie chciał powiedzieć niczego, co potwierdzałoby istnienie Krainy Elfów lub czegokolwiek znajdującego się dalej niż osiemdziesiąt metrów na wschód od drzwi jego chaty. Potem Alweryk poszedł do łoża, zaś starzec siedział samotnie, aż ognisko przygasło, rozmyślając o tym, co usłyszał, i kiwając głową. I przez cały następny dzień Alweryk odpoczywał w chacie lub spacerował po zwarzonym przez przymrozki ogrodzie gospodarza. Od czasu do czasu próbował też porozmawiać z garbarzem o swojej wielkiej podróży przez pustkowia, ale nie uzyskał potwierdzenia, iż takie kraje w ogóle istnieją. Tamten zawsze unikał tego tematu, jak gdyby mowa o ojczyźnie magii mogłaby sprowadzić ją bliżej.

Alweryk wielokrotnie zastanawiał się nad przyczyną takiego zachowania gościnnego gospodarza. Czyżby starzec był w młodości w Krainie Czarów i zobaczył coś, czego bardzo się obawiał, może o włos uniknął śmierci lub wiecznej miłości? Czyżby ojczyzna magii była zbyt wielką tajemnicą, żeby niepokoiły ją ludzkie głosy? Czy ci mieszkający na końcu naszego świata ludzie dobrze znali nieziemskie piękno wszystkiego, co jest częścią Krainy Elfów? Może obawiali się, że nawet rozmowa o tym może skłonić ich do zmiany postanowienia, aby trzymać się z dala od tych wszystkich cudów? A może wypowiedziane na głos słowo o tej czarodziejskiej krainie jest w stanie przybliżyć ją, zamienić w elfowe i fantastyczne ziemie, które dotąd należały do ludzi? Na wszystkie te pytania książę nie znalazł odpowiedzi.

I odpoczywał tak jeszcze jeden dzień, po czym wyruszył w powrotną drogę do Erlu. Odszedł wczesnym rankiem, gospodarz wyszedł z nim za drzwi, pożegnał go, rozprawiając o podróży do stolicy i o sprawach Erlu, które były pożywką dla plotek w wielu zagrodach.

I istotnie, można było zauważyć wielką różnicę w aprobacie tego starca dla świata ludzi, przez który teraz miał wędrować Alweryk i nieukrywaną niechęć dla innej krainy, pozbawiającą nieszczęśnika resztek nadziei. Potem rozstali się, pożegnalne słowa starca ucichły.

I garbarz powolnym krokiem wrócił do domu, zacierając ręce z zadowolenia, bo cieszył się, że ten, który tak niedawno wypatrywał fantastycznej krainy, powędruje już przez świat ludzi.

W tym świecie mróz był teraz panem i Alweryk kroczył po sztywnej, szarej trawie i wdychał czyste, świeże powietrze, niewiele myśląc o swoim zamku czy małym synu,

lecz układając plany powrotu do Krainy Elfów. Sądził bowiem, że zdoła w jakiś sposób dotrzeć do niej, na przykład okrążając od północy jasnoniebieskie góry. Był głęboko przekonany, że Kraina Elfów cofnęła się zbyt daleko, by mógł do niej dotrzeć stąd, a fakt ten doprowadzał go do rozpacz. Nie wierzył wszakże, że ojczyzna magii oddaliła się na całej długości granicy zmierzchu, gdzie styka się ona z naszym światem, jak śpiewali poeci. Dalej na północy może znaleźć tę granicę, niewzruszoną, senną w błękitnym zmierzchu, dotrzeć do jasnoniebieskich Elfowych Gór i znów ujrzeć swoją żonę; mając głowę nabitą tymi myślami, szedł przez przesłoniętą mgłą, urodzajne pola.

I pełen marzeń i planów podróży do tej fantastycznej krainy pewnego popołudnia wszedł do boru, który rozpościera się nad Erlem. I choć pogrążony był w myślach dalekich od otoczenia, wkrótce ujrzał nieco z boku słup dymu, szary na tle ciemnych pni dębów. Poszedł w tę stronę, by zobaczyć, kto tam jest, i zobaczył swego syna i Ziroonderel grzejących ręce przy ognisku.

— Gdzie byłeś? — zawołał Orion na widok ojca.

— Podróżowałem — odparł Alweryk.

— A Oth poluje — wyjaśnił chłopiec i wskazał w stronę, w którą wiatr niósł dym.

Ziroonderel nie odezwała się wcale, gdyż wyraz oczu księcia powiedział jej więcej niż jakiegokolwiek próby pociągnięcia go za język. A Orion pokazał jeszcze ojcu jelenią skórę, na której siedział. — Oth go ustrzelił — dodał.

Alwerykowi wydało się, że jakiś rodzaj magii otacza ognisko z wielkich bierwion, tłące się w lesie wśród odrzuconej wielobarwnej szaty jesieni, która leżała teraz wokoło; ale nie były to czary Krainy Elfów ani przywołane różdżką Ziroonderel, lecz czysto ziemski magia lasu.

Alweryk stał tam jakiś czas w milczeniu, obserwując chłopca i czarownicę przy ognisku w lesie i zrozumiał, że nadeszła pora, gdy musi opowiedzieć synowi o sprawach, których sam dobrze nie rozumiał i które nawet teraz wprawiały go w konsternację. Mimo to nie powiedział wtedy o nich, lecz bąknął coś o sprawach Erlu, po czym odwrócił się i ruszył w stronę swego zamku. Zaś Ziroonderel i Orion mieli wrócić tam później z Othem.

Doszedłszy do bramy, Alweryk już kazał sobie podać wieczerzę, zjadł ją sam w wielkiej sali Zamku Erl i przez cały czas zastanawiał się, co ma powiedzieć synowi. Wieczorem poszedł do komnaty dziecinnej i oświadczył chłopcu, że jego matka na jakiś czas udała się do Krainy Elfów, do pałacu jej ojca (który można opiewać tylko w pieśniach). Potem zaś, nie zważając na odpowiedź syna, opowiedział ułożoną wcześniej historyjkę i wyjaśnił, że Kraina Elfów zniknęła.

— Ale to niemożliwe — odrzekł Orion — bo przecież ja codziennie słyszę rogi Krainy Elfów.

— Możesz je słyszeć? — zapytał Alweryk z niedowierzaniem.

A chłopiec wyjaśnił: — O tak, słyszę ich granie wieczorami.

## XIV

### POSZUKIWANIA ELFOWYCH GÓR

Zima zaatakowała Erl i ścisnęła puszcę, sprawiając, że małe gałązki zeszywniały i znieruchomiały; w dolinie uciszyła rzekę, a na polach, gdzie pasły się krowy, trawa była krucha jak gliniane garnki, a oddechy zwierząt wznosiły się do góry niczym dym ognisk. Orion nadal chodził do lasu, gdy Oth mógł go tam zabrać; czasami wyruszał też w towarzystwie Threla. Kiedy szedł z Othem, puszcza była pełna czaru zwierząt, na które Oth polował, a urok wielkich jeleni szlachetnych zdawał się nawiedzać mroczne kotliny; lecz gdy udawał się wraz z Threlem, jakaś tajemnica otaczała wielki bór, tak że nie można było odgadnąć, jakie stworzenie może się pojawić ani co nawiedzało i kryło się obok każdego ogromnego pnia. Nawet Threl nie wiedział, jakie zwierzęta zamieszkiwały puszcę: wiele z nich uległo jego przemyślności, ale kto mógł wiedzieć, czy to były wszystkie?

A kiedy chłopiec był późno w le:sie, w szczęśliwe dlań wieczory, gdy słońce zapadło za horyzont, zawsze słyszał donośne granie elfowych rogów daleko na wschodzie, w chłodzie zapadającego zmierzchu, bardzo odległe i ciche, jak pobudka usłyszana we śnie. Grały daleko poza puszcza, wszystkie te dźwięczne rogi, daleko za łagodnie opadającymi wzgórzami, daleko poza ich najodleglejszym zboczem, i wiedział, iż to są srebrne rogi Krainy Elfów. Pod każdym innym względem był człowiekiem z wyjątkiem pewnej odziedziczonej po matce mocy: słyszał rogi ojczyzny magii, których muzyka dźwięczy poza zasięgiem ludzkiego słuchu, i wiedział, czym były; lecz oprócz tych dwóch właściwości niczym więcej nie różnił się od zwykłego ludzkiego dziecka.

Nie mogę zrozumieć, w jaki sposób dźwięk elfowych rogów przebijał granicę zmierzchu, tak że mogło go usłyszeć każde ucho w naszym świecie; choć sam Tennyson mówi o nich, że słyhać ich „z kraju elfów tchnienie” nawet w ludzkich krainach. Wierzę, że akceptując wszystko, co mówią natchnieni poeci, popelnimy najmniej

błądów. Dlatego, choć nauka może to potwierdzić lub temu zaprzeczyć, ten wiersz z poematu Tennysona będzie moim przewodnikiem.

W owych dniach Alweryk często zaglądał do wioski Erl, choć myślami był daleko od niej, w ponurym nastroju; przystawał przy wielu drzwiach, rozmawiał i układał plany z poddanymi, lecz zawsze wzrok miał utkwiony w czymś, czego jak się zdawało, nikt inny nie mógł dojrzeć. Rozmyślał o dalekich horyzontach i o ostatnim z nich, którym była Kraina Elfów. I chodząc tak, zebrał niewielką grupę mężczyzn.

Alweryk marzył o odnalezieniu północnej granicy ojczyzny magii, o podróży przez ludzki świat, zawsze w poszukiwaniu nowych horyzontów, aż dotrze do jakiegoś miejsca, którego Kraina Elfów jeszcze nie opuściła; wydawało się, że tylko temu poświęcił cały ten czas.

Kiedy Lirazel była z nim w świecie ludzi, zawsze myślał o tym, jak uczynić ją bardziej ziemską; ale teraz, gdy odeszła, z każdym dniem jego myśli coraz bardziej upodobniały się do elfowych i ludzie zaczęli patrzeć nań z ukosa z powodu jego dziwnego zachowania. Marząc zawsze o Krainie Elfów i o związanych z nią sprawach, zgromadził konie, paszę i zapełnił prowiantem dla swojego niewielkiego orszaku tak wielki magazyn, że zastanawiało to tych, którzy go zobaczyli. Wielu poprosił, by wstąpili do tego niezwykłego oddziału, ale tylko nieliczni zechcieli z nim wyruszyć, by nawiedzać dalekie horyzonty, kiedy usłyszeli, dokąd zamierza się udać. I pierwszym, który się zgodził, był nieszczęśliwie zakochany chłopak; potem Alweryk znalazł przyzwyczajonego do długiej samotności młodego pasterza; następnie kogoś, kto pewnego wieczoru usłyszał niezwykłą piosenkę, którą zaśpiewał jakiś nieznajomy: zwróciła ona jego myśli ku fantastycznym krajom, więc rad był, że może gonić za swoimi mrzonkami. Na innego młodzieńca, który ułożył się do snu na sianie, wielki księżyc w pełni świecił przez całą ciepłą noc i potem chłopak ten zgadywał lub widział rzeczy, które, jak mówił, pokazał mu księżyc: czymkolwiek były, nikt inny w Erlu ani razu ich nie zobaczył: on również przyłączył się do oddziału księcia zaraz, gdy ten go o to poprosił. Minęło wiele dni, zanim Alweryk znalazł tych czterech; więcej mu się nie udało, oprócz chłopaka, który był półgłówkiem, a zabrał go, żeby zajął się końmi, gdyż dobrze rozumiał konie, a one jego, i to tak jak nikt inny na świecie. Wyjątkiem była matka chłopca, która rozplakała się, gdy Alweryk uzyskał od jej syna obietnicę, że z nim pojedzie. Stwierdziła bowiem, że syn był podporą i oparciem jej starości i wiedział, kiedy nadejdą burze, gdy przylecą jaskółki i jakiego koloru będą kwiaty z nasion, które posiadała w ogrodzie, gdzie pająki utkają sieci, znał też pradawne opowieści o muchach: wybuchnęła płaczem i powiedziała, że wraz z jego odjazdem w Erlu zginie

więcej dobrego, niż ludzie kiedykolwiek mogliby przypuszczać. Ale Alweryk zabrał go i tak: wielu tak czyni.

I pewnego ranka sześć koni objuczonych i obwieszonych sakwami z prowiantem wokół siodła czekało w bramie zamku Alweryka wraz z pięcioma mężczyznami, którzy mieli wędrować z nim aż na koniec świata. Książę długo naradzał się z Ziroonderel, ale ona jasno powiedziała, że żaden z jej czarów nie mógł odczarować Krainy Elfów lub przeciwstawić się woli jej groźnego władcy. Dlatego Alweryk oddał czarownicy syna pod opiekę, dobrze wiedząc, że choć jej magia była zwyczajna, ziemska, żaden „obcy” czar nie przedrze się przez nasze pola ani rzucona na Oriona klątwa czy zwrócone przeciw niemu zaklęcie nie zdoła pokonać jej czarów. Co do siebie, to zaufał szczęściu, które czeka na końcu długich, męczących wypraw. Potem dość długo rozmawiał z Orionem, nie wiedząc, ile może potrwać jego podróż, zanim ponownie odnajdzie Krainę Elfów, ani czy zdoła łatwo wrócić poprzez granicę zmierzchu. Zapytał chłopca, czego pragnie w życiu.

— Będę myśliwym — odparł Orion.

— Na co będziesz polował, gdy ja będę daleko? — spytał jego ojciec.

— Na jelenie, jak Oth — odparł malec.

Alweryk popierał ten sport, gdyż sam go uwielbiał.

— A potem pewnego dnia wyruszę w długą podróż wśród wzgórz i zapoluję na dziwne stwory — dodał Orion.

— Jakie stwory? — zapytał Alweryk.

Lecz chłopiec nie wiedział. Jego ojciec zasugerował różne rodzaje zwierząt.

— Nie, dziwniejsze niż one — odrzekł Orion. — Dziwniejsze nawet od niedźwiedzi.

— Ale czym one będą? — zapytał książę.

— Magicznymi istotami — wyjaśnił jego syn.

Lecz konie poruszyły się niespokojnie w dole z powodu zimna, więc nie mieli już czasu na dalszą pogawędkę. Alweryk pożegnał się z czarownicą i z synem i odszedł wielkimi krokami, niewiele myśląc o przyszłości, gdyż była zbyt niejasna, aby o niej rozmyślać.

Później książę Erlu wsiadł na konia ponad sakwami z prowiantem i cała szóstka mężczyzn opuściła zamek. Wieśniacy wyszli na ulicę, żeby popatrzeć na ich odjazd. Wszyscy znali cel ich niezwyklej podróży i kiedy wszyscy już pozdrowili swego władcę i pożegnali ostatniego jeźdźcę, podniósł się wśród nich szum rozmów. W rozmowach wyrażali pogardę dla celu wyprawy Alweryka, litość i szyderstwo; czasami przemawiało przez nich przywiązanie, czasami zaś drwina; a przecież w głębi duszy wszyscy im

zazdrościli, bo choć rozsądek kazał im kpić z samotnej wędrowni w poszukiwaniu dziwacznej przygody, to ich serca rwały się do niej.

I Alweryk opuścił wioskę Erl wraz ze swoim orszakiem poszukiwaczy przygód; pomylnym młodzieńcem, szaleńcem, nieszczęśliwie zakochanym chłopakiem, młodym pasterzem i poetą. Na początku podróży Alweryk mianował pasterza Vanda oboźnym, ponieważ uznał go za najzdrowszego na umyśle z całej tej kompanii. Lecz zaraz po wyjeździe jego towarzysze zaczęli się klócić, zanim jeszcze rozbili jakikolwiek obóz. Wtedy księżę, słysząc lub wyczuwając niezadowolenie poddanych, zrozumiał, że na takiej wyprawie jak ta nie najrozsądniejszy, lecz najbardziej szalony powinien otrzymać władzę. Dlatego zmienił decyzję i zrobił oboźnego z Niva, wsiowego półgłówka. A ten służył mu potem dobrze aż do dalekiego końca tej wyprawy, zaś pomyleniec popierał Niva i wszyscy z zadowoleniem słuchali jego poleceń, i wszyscy szanowali cel podróży księcia Erlu. A tak wielu ludzi w licznych krajach robi rozsądniejsze rzeczy mniej zgodnie niż oni...

Przybyli na wyżynę, przejechali przez pola i jechali dopóty, aż dotarli do najdalszych żywopłotów, ostatnich śladów ludzkiej działalności i do domów, które ludzie zbudowali na krańcach, poza które obawiali się zapuszczać nawet w myślach. Alweryk przejechał ze swoim dziwnym orszakiem przez ten szereg chat na skraju pól, gdzie na każdy kilometr przypadało ich cztery lub pięć. Chata garbarza stała daleko na południu. Teraz księżę Erlu skręcił na północ, aby przejechać wzdłuż tylnych ścian tych domów, przez pola, gdzie niegdyś przebiegała granica zmierzchu. Miał nadzieję, że znajdzie jakieś miejsce, w którym Kraina Elfów nie cofnęła się tak daleko. Wyjaśnił to swoim ludziom, a ich duchowi przywódcy, Niv i pomylny Zend, od razu mu przyklasnęli. Natomiast Thyl, młody marzyciel, oświadczył, że ten plan jest mądry. Vanda zaś porwał zapał tej trójki. W opozycji pozostał tylko Rannok, nieszczęśliwy kochanek, czyli czterech na jednego. Nie odjechali daleko od tyłów ostatnich chat, gdy czerwone słońce dotknęło horyzontu. Pospiesznie zabrali się do rozbijania obozu, wykorzystując resztki światła tego krótkiego zimowego dnia. I Niv powiedział wtedy, że zbudują dla księcia taki pałac, jaki mają królowie. Ten pomysł porwał Zenda, tak że pracował za trzech, a Thyl chętnie mu pomagał. Wbili w ziemię tyczki, rozciągnęli nad nimi koce i upletli ściany z gałęzi z pobliskich krzaków, gdyż znajdowali się tuż za rzędem żywopłotów. Vand pomógł im z tymi prowizorycznymi płótkami, nawet Rannok tam pracował, choć był bardzo zmęczony. Kiedy skończyli, Niv oświadczył, że to jest pałac królewski. Alweryk wszedł do środka i starał się odpocząć, podczas gdy jego towarzysze rozpalili ognisko na zewnątrz. Vand przyrządził posiłek

dla nich wszystkich, co codziennie robił dla siebie przed podróżą przez wzgórza; i nikt nie zatroszczyłby się lepiej o konie niż sam Niv.

A kiedy blask zachodu zgasł, mróz zaczął tężeć; i do czasu, kiedy zabłysła pierwsza gwiazda, wydawało się, że w nocy panuje tylko srogi mróz. A przecież ludzie Alweryka położyli się przy ognisku, w strojach ze skóry i futer, i zasnęli, oprócz Rannoka.

Dla leżącego w szalasy na posłaniu z futer księcia, obserwującego czerwony żar świecący poza ciemnymi sylwetkami zbrojnych, ta podróż zapowiadała się dobrze: pojedzie daleko na północ, wypatrując na horyzoncie jakiegokolwiek śladu Krainy Elfów; będzie trzymał się granicy znanych ludziom ziem, zawsze w razie potrzeby będzie mógł nabyć prowiant i jeśli nie dostrzeże przelotnie jasnyniebieskich gór, pojedzie dalej, aż znajdzie jakiś teren, którego Kraina Elfów nie opuściła, i w ten sposób „zajdzie” te nieosiągalne góry od tyłu. A Niv, Zend i Thyl zgodnie przysięgli mu tamtego wieczoru, że z upływem dni, na pewno znajdą ojczyznę magii. I z tą myślą zasnął.

## XIV

### CZARY KRÓLA ELFÓW

Kiedy Lirazel uleciała wraz ze wspaniałymi, barwnymi liśćmi, te ostatnie po kolei opadały z szalonego tańca w połyskliwym powietrzu i przez jakiś czas wiatr pchał je ponad polami, aż w końcu zgromadziły się przed żywopłotami i zatrzymały. Ale Ziemia, która przyciąga w dół wszystkie rzeczy, nie miała władzy nad Lirazel, gdyż zakłęcie władcy Elfów przedarło się przez ziemskie granice, wzywając jego córkę do domu. A więc leciała beztrąsko, unoszona potężnym, północno-zachodnim wiatrem, spoglądając leniwie z góry na nasze pola, gdy przemykała nad nimi w powrotnej drodze do ojczyzny. Ziemia utraciła nad nią wszelką władzę, gdyż dzięki czarom ciało Elfiny pozbyło się ciężaru (tego, dzięki czemu Ziemia nas zatrzymuje), wraz ze wszystkimi ziemskimi troskami. Bez żalu spojrzała na ziemskie pola, gdzie kiedyś spacerowała z Alwerykiem: przemknęły pod nią; zobaczyła ludzkie domy: one również pozostały w tyle; a potem jej oczom ukazała się głęboka, gęsta, przesycona barwą granica Krainy Elfów.

Po raz ostatni Ziemia zawołała do niej wieloma głosami: krzykiem dziecka, krakaniem gawronów, monotonnym rykiem krów, skrzypieniem powolnego wozu jadącego do domu; potem Elfina znalazła się w gęstej zaporze zmierzchu i wszystkie

ziemskie odgłosy nagle przycichły, kiedy zaś znalazła się poza nią — całkowicie umilkły. Jak zmęczony koń padający martwy na ziemię, nasz północno-zachodni wiatr uciekł przed granicą zmierzchu, gdyż w Krainie Elfów nie wieją żadne wiatry, które krążą w naszym świecie. Potem Lirazel podążyła ukośnie do przodu i w dół, aż znów stanęła na czarodziejskiej glebie swej ojczyzny. Zobaczyła przepiękne szczyty Elfowych Gór, a pod nimi ciemne pasmo lasu, który strzegł tronu króla Elfów. Nad tym lasem nawet teraz lśniły wysokie wieżyczki jego pałacu, w elfowym poranku, który przecież błyszczący znacznie wspanialej niż nasze najgęściej zroszone wzgórza i nigdy nie przemija.

W kraju Elfów elfowa dama szła lekkim krokiem, dotykając stopami źdźbeł trawy delikatnie jak puch ostu, który opada na nie i muska ich czubki, gdy lekki wiaterek toczy go leniwie po ziemskich polach. I wszystkie elfowe i inne fantastyczne istoty i niezwykle wygląd samej ziemi, i dziwaczne kwiaty, i nawiedzane drzewa, i groźne więzy magii, które wisiały w powietrzu, były tak pełne wspomnień z ojczyzny, że Lirazel objęła ramionami pierwszy napotkany podobny do gнома pień i ucałowała jego zdeformowaną korę.

Wkrótce znalazła się w zaczarowanym lesie. Niesamowite sosny, które go pilnowały, wraz z czujnym bluszczem opierającym się na ich gałęziach, ukłoniły się Lirazel, gdy je mijała. W tym borze nie było nic zdumiewającego, żadnej ponurej oznaki potężnej magii, która dawno przeniosła ją stąd, jak gdyby prawie wcale nie opuszczała ojczyzny. Poczowała, że dopiero wczoraj odeszła z Krainy Elfów, a to jeszcze był wczorajszy ranek. Kiedy przechodziła przez las, wciąż widziała na drzewach ślady ciosów miecza Alweryka, świeże i białe.

A teraz światło zaczęło świecić poprzez las, potem dostrzegła kolorowe błyski i zrozumiała, że są to odbłaski wspaniałych kwiatów, które okalały trawniki jej ojca. Znów do nich dotarła i zobaczyła, że ledwie widoczne ślady — które pozostawiła, wychodząc z pałacu, i zdumiała się, widząc tam Alweryka — jeszcze nie zniknęły z pochylonej trawy, pajęczej sieci i rosy. Pierwsze rzędy wielkich kwiatów błyszczały w magicznym świetle, zaś te poza nimi mrugały i rozbłyskiwały, i nadal były otwarte wielkie, wychodzące na trawniki dzwierzę, przez które opuściła pałac, pałac, który można opisać tylko w pieśni. Tam też Lirazel powróciła, a król Elfów, który dzięki magii usłyszał bezszelestne kroki córki, czekał przy drzwiach, by ją powitać.

Jego wielka broda niemal ją ukryła, gdy się objęli: on dostatecznie długo smucił się i tęsknił za nią przez całe rano. Zastanawiał się, pomimo całej swej mądrości; bał się, mimo swoich zaklęć; tęsknił za nią jak człowiek może tęsknić, chociaż pochodził z

czarodziejskiej rasy mieszkającej poza ludzkim światem. A teraz Lirazel znowu wróciła do domu i elfowy poranek pojaśniał na wiele kilometrów w Krainie Elfów wraz z radością jej władcy, i nawet widać było poświęcę na zboczach Elfowych Gór.

I poprzez pobłyskujące i migocące wielkie drzwi jeszcze raz weszli do pałacu; rycerz z gwardii króla Elfów zasalutował im, unosząc miecz rękojeścią ku górze, kiedy go mijali, ale nie odważył się odwrócić głowy, aby odprowadzić wzrokiem piękną księżniczkę, o urodzie powstałej z tęczy i lodu. Potem wielki król usiadł, wziął Lirazel na kolana i spokój zapanował w Krainie Czarów.

I długo nic nie zakłóciło tego spokoju w niekończący się elfowy poranek. Lirazel odpoczywała po ziemskich zmartwieniach, jej ojciec siedział tam, bardzo zadowolony, gwardzista nadal salutował mieczem wciąż zwróconym brzeszczotem ku dołowi, pałac zaś nadal błyszczał i świecił. Wyglądało to jak scena w jakimś głębokim jezioru poza odgłosami wielkiego miasta, jezioru z zielonymi trzciniami i migocącymi rybami oraz mnóstwem maleńkich muszelek lśniących o zmierzchu w głębokiej toni, której nic nie poruszyło przez cały ten długi letni dzień. I tak odpoczywali poza troskami czasu, a godziny wypoczywały wokół nich, jak odpoczywają drobne, skaczące fale wodospadu, kiedy lód uspokoi strumyk: spokojne niebieskie szczyty Elfowych Gór strzelały nad nimi ku niebu jak niezmiennie sny.

Potem jakiś dźwięk zmienił nastrój króla Elfów, dźwięk podobny do hałasu wielkiego miasta, który usłyszały leśne ptaki, do szlochu usłyszanego w grupie dzieci, gdzie wszystkie miały się radować, podobny do śmiechu wśród łąk innych, do wiatru świszczącego w młodych płatkach orchidei, do wilków skaczących na śpiące owce: władca zrozumiał, że ktoś idzie ku nim przez ziemskie pola. Był to Alweryk z mieczem wykutymi ze strzałek piorunowych, mieczem, który król w jakiś sposób wyczuł z powodu zapachu magii.

Potem król Elfów wstał, objął ramieniem córkę i uniósł prawą dłoń, by rzucić potężny czar, stojąc przed błyszczącym tronem, który jest samym środkiem ojczyzny magii. I zaśpiewał rytmiczne magiczne zaklęcie — a w głębi jego gardła rozbrzmiewał czysty pogłos — zaklęcie złożone ze słów, których Lirazel nigdy przedtem nie słyszała, jakąś odwieczną czarodziejską pieśń, każąc Krainie Elfów cofnąć się, jeszcze bardziej oddalić się od Ziemi. I cudowne kwiaty przed pałacem usłyszały, jak ich płatki wchłonęły tę melodię, której głębokie tony zalały trawniki. Cały pałac zadrżał i zamigotał jaskrawszymi barwami; i jakiś czar rozszedł się po elfowej równinie aż po granicę zmierzchu i drzenie ogarnęło zaklęty las. Mimo to król Elfów nadal śpiewał. Groźnie dźwięczące tony dotarły teraz do Elfowych Gór i cały rząd ich szczytów

zafalował lekko jak wzgórza w lekkiej mgiele, kiedy letni żar bucha z wrzosowisk i widać, jak tańczy w powietrzu. Cała Kraina Elfów usłyszała ten czar i posłuchała go. A teraz król i jego córka odplynęli w powietrzu, jak dymy ognisk koczowników oddalają się od ich namiotów z wielbłądziej wełny, jak sny odpływają o świcie, jak chmury po zachodzie słońca i jak wiatr unoszący ten dym, noc znika wraz ze snami, a ciepło z zachodem słońca — cała Kraina Elfów oddaliła się razem z nimi. Cała ojczyzna magii odplynęła razem z nimi i pozostawiła opustoszałą równinę, ponury wymarły teren, odczarowaną krainę. Ten czar został rzucony tak szybko, tak nieoczekiwanie, Kraina Czarów tak niespodziewanie go posłuchała, że wiele piosenek, starych wspomnień, ogrodów lub głogów z zapamiętanych lat zostało odrzuconych tylko na niewielką odległość przez dryf i unoszący i opadający ruch ojczyzny magii. Dlatego kołysząc się, popłynęły zbyt wolno na wschód, aż elfowe trawniki zniknęły, a zapora zmierzchu przesunęła się nad nimi i pozostawiła je wśród skał.

Nie mogę powiedzieć, dokąd odplynęła Kraina Elfów, ani nawet czy zrobiła to wzdłuż krzywizny Ziemi, czy oddaliła się poza nasze ziemie w zmierzch: w pobliżu świata ludzi leżała niegdyś zaczarowana ziemia, a teraz zniknęła: dokądkolwiek się udała, na pewno było to daleko.

Później król Elfów przestał śpiewać i wszystko się dokonało. Tak nieznacznie w chwili, której nikt nie może określić, jak długie pasma chmur nad zachodzącym słońcem zmieniają barwę ze złotej na różową lub ze świecącego różu w ponurą matową czerwień, cała Kraina Elfów opuściła brzegi ziem, przy których jej cuda i dziwy kryły się przez wiele wieków w świecie ludzi, i wycofała się nie wiadomo gdzie. A król Elfów znowu usiadł na tronie z mgły i lodu, tronie, w którym tkwiły zakłete tęcze, ponownie wziął swoją córkę Lirazel na kolana i w ojczyźnie magii powrócił spokój, który jego śpiew zakłócił, głęboki i majestatyczny. Wielki i głęboki spokój spadł na trawniki i na kwiaty; każde świecące oślepiającym blaskiem źdźbło trawy znieruchomiało w swoim zagłębieniu, jakby przyroda w chwili żałoby powiedziała „Cicho”, gdy nagle nastąpił koniec świata; elfowe kwiaty śniły na trawnikach, nienarażone na jesień lub wiatr. Daleko na wrzosowiskach trolle przesypiały spokój zesłany przez króla Elfów, a dym z ich dziwacznych domostw zawisł nieruchomo w powietrzu; zaś w zakętym lesie uspokoił on drzenie mnóstwa płatków róż, wygładził tonie jeziorek, nad którymi górowały wielkie lilie wodne, aż one same i ich odbicia zasnęły jednym wspaniałym snem. A poniżej pierzastych liści owładniętych snem drzew, na nieruchomej powierzchni wody śniącej o nieruchomym powietrzu unosiły się w głębokiej ciszy wielkie zielone liście lilii wodnych. I na jednym z tych liści siedział troll Lurułu.

Albowiem tak nazywano w krainie magii trolla, który udał był się do Erlu. Siedział tam, patrząc w wodę z nieco zuchwałą miną. Patrzył, wpatrywał się w nią, nie odrywał od niej wzroku.

Nic się nie poruszyło, nic się nie zmieniło. Wszystko znieruchomiało, odpoczywając w głębokim zadowoleniu króla Elfów. Rycerz z gwardii królewskiej podniósł swój miecz w dawnej pozycji, ostrzem ku górze, potem zaś stał bez ruchu na swoim wiecznym posterunku jak zbroja, której właściciel nie żyje od wieków. Zaś władca Elfów siedział w milczeniu z córką na kolanach, z nieruchomym spojrzeniem niebieskich oczu tej samej barwy co blask Elfowych Gór, który wpadał przez szerokie okna.

A król Elfów nie poruszył się ani nie zmienił, tylko trzymał się chwili, w której odnalazł zadowolenie, i rozciągnął swój wpływ na wszystko, czym władał, dla dobra i w interesie ojczyzny magii. Miał bowiem wszystko to, czego szuka nasz niespokojny świat ze wszystkimi swymi zmianami, co znajduje tak rzadko i zaraz musi odrzucić precz. Znalazł ukontentowanie i trzymał się go.

I podczas trwania tego spokoju, który zapanował w Krainie Elfów, w świecie ludzi upłynęło dziesięć lat.

## **XVI**

### **ORION POLUJE NA JELENIA**

Na Ziemi minęło dziesięć lat; a Orion urósł i nauczył się sztuki łowieckiej od Otha, miał też spryt Threla i znał puszcze, zbocza gór i doliny między wzgórzami, tak jak wielu innych chłopców potrafi mnożyć jedne cyfry przez drugie lub czerpać myśli z jakiegoś obcego języka i przekładać je na swój własny. Niewiele wiedział o tym, czego potrafi dokonać atrament, jak może utrwalić on myśli nieżyjącego człowieka ku podziwowi późniejszych pokoleń, opowiedzieć o dawno minionych wydarzeniach, być dla nas wszystkich głosem z mroku dziejów, uratować wiele kruchych utworów i myśli spod ciężkiego młota wieków, a także donieść do nas, mimo mijających stuleci, nawet pieśń z ust człowieka zmarłego bardzo dawno temu na zapomnianych wzgórzach. Orion miał niewielkie pojęcie o potędze pisma, ale dotknięcie kopytek sarny na suchym gruncie sprzed trzech godzin było dlań wyraźnym tropem i odczytywał on historię wszystkiego, co działo się w borze. I wszystkie odgłosy lasu były dla Oriona tak pełne znaczenia i zrozumiałe, jak dla matematyka znaki i cyfry, które stawia, dzieląc

miliony przez dziesiątki, jedenastki i dwunastki. Ze słońca, księżycy i wiatru czerpał wiadomości o tym, jakie ptaki przylecą do puszczy, dowiadywał się, czy nadchodzące pory roku będą łagodne, czy surowe, tylko troszkę później niż same leśne zwierzęta, które nie mają ludzkiego rozumu czy duszy, ale które wiedzą znacznie więcej od nas.

Dorastając, z czasem poznał sam nastrój puszczy i mógł wejść do jej ocienionego wnętrza tak cicho i niepostrzeżenie jak jeden z jej zwierzęcych mieszkańców. I potrafił to zrobić już wtedy, gdy miał zaledwie czternaście lat; a wielu ludzi przeżywa życie i nigdy nie jest w stanie wejść do lasu, nie zmieniając nastroju wszystkich jego tajemnych dróg i ścieżek. Być może ludzie wchodzą do lasu, mając za plecami wiatr, ocierają się o gałęzie, deptają gałązki, głośno rozmawiają, palą papierosy lub ciężko stąpają. Sójki krzykiem ostrzegają przed nimi, gołębie opuszczają drzewa, króliki kicają do bezpiecznych kryjówek i znacznie więcej zwierząt, niż się ludziom wydaje, umyka cicho przed ich nadejściem. Lecz Orion poruszał się jak Threl w butach z jeleniej skóry, krokiem łowcy. I żadne z leśnych zwierząt nigdy nie wiedziało, kiedy przybył do ich siedziby.

A on przybył, żeby zgromadzić kolejny stos skór, tak jak Oth, skór, które zdobył z pomocą łuku w lesie, i zawiesił wielkie jelenie rogi w zamkowej sali, wysoko wśród innych poroży, gdzie pająki od wieków snuły swoje sieci. I była to jedna z oznak, iż Erlanie uznali go teraz za swego pana, gdyż nie otrzymali żadnych wieści o Alweryku, a wszyscy poprzedni władcy Erlu polowali na jelenie. Inną oznaką było odejście czarownicy, która wróciła na swoje wzgórze. Teraz Orion mieszkał sam w zamku, a ona znów w swojej chacie, hodując warzywa na wysoko położonym poletku w pobliżu piorunów.

Przez całą zimę Orion polował w puszczy na jelenie, ale kiedy nadeszła wiosna, odłożył łuk. A mimo to przez całą wiosnę, porę pieśni i kwiatów, nie przestał myśleć o polowaniach i chodził od domu do domu wieśniaków, którzy mieli choćby jednego chudego psa myśliwskiego o długich nogach i tułowiu. Czasami przyprawdzał tego psa do zamku, a czasami wieśniak obiecywał, że pożyczy mu go na polowanie. W ten sposób Orion skompletował sforę długo i brązowowłosych psów i w głębi serca pragnął, aby wiosna i lato wreszcie przeminęły. Aż pewnego wiosennego wieczoru, gdy Orion oporządzał swoje psy, a wieśniacy przeważnie stali w drzwiach, aby obserwować długość wieczoru, ulicą nadszedł jakiś nieznajomy mężczyzna. Przybył ze wzgórz, odziany w bardzo stare ubranie, które jak się zdawało, nosił od zawsze i w jakiś sposób było ono częścią niego samego, a zarazem częścią Ziemi, gdyż pobrudziła je glina z wyżyn, nadając mu własny, ciemnobrązowy kolor. Wieśniacy zauważyli wielkie kroki

potężnie zbudowanego przybysza i zmęczenie w jego oczach, lecz nikt nie wiedział, kto to taki.

A potem jakaś kobieta powiedziała:

— To Vand, który był przedtem chłopcem.

I wszyscy stłoczyli się wokół niego, gdyż rzeczywiście był to Vand, który ponad dziesięć lat temu zostawił owce, aby wyruszyć z Alwerykiem, choć nikt w Erlu nie wiedział dokąd.

— Jak się wiecie naszemu panu? — zapytali.

Wtedy w oczach Vanda pojawiło się zmęczenie.

— Kontynuuje podróż — odparł.

— Dokąd? — zapytali.

— Na północ — wyjaśnił przybysz. — Nadal szuka Krainy Elfów.

— Dlaczego go zostawiłeś? — spytali.

— Straciłem nadzieję — odrzekł.

Wtedy nie pytali go już o nic, bo wszyscy wiedzieli, że do poszukiwań Krainy Czarów niezbędna jest głęboka nadzieja, a bez niej nikt nie ujrzy blasku Elfowych Gór, wiecznie spokojnych, niezmiennie błękitnych.

Potem nadbiegła matka Niva.

— Czy to naprawdę Vand? — zapytała zdyszana.

A oni wszyscy odparli: — Tak, to jest Vand.

I przez jakiś czas rozmawiali półgłosem o Vandzie i o tym, jak lata i wędrówka go zmieniły, ale ona zwróciła się do dawnego pasterza:

— Opowiedz mi o moim synu.

Wtedy Vand odpowiedział:

— On prowadzi poszukiwania. Nasz pan najbardziej mu ufa.

Wtedy wszyscy obecni zdziwili się w duchu, choć nie mieli do tego powodu, gdyż była to szaleńcza wyprawa.

Tylko matka Niva się nie dziwiła.

— Wiedziałam, że tak będzie. — I doznała głębokiego zadowolenia.

Są takie wydarzenia i pory roku, które pasują do nastroju każdego człowieka, chociaż w istocie tylko nielicznym odpowiadałyby skłonności Niva do obłądzenia, ale przecież Alweryk wyprawił się na poszukiwania Krainy Elfów i w ten sposób Niv znalazł odpowiednie dla siebie zajęcie.

Rozmawiając późnym wieczorem z Nivem, Erlanie usłyszeli opowieści o wielu obozach i marszach, o bezcelowym błędzeniu tam, gdzie Alweryk nawiedzał horyzonty

rok po roku jak duch. I czasami zamiast smutku na twarzy Vanda, smutku, który był rezultatem tych straconych lat, rozkwitał uśmiech, gdy opowiadał o jakimś zabawnym wydarzeniu, które miało miejsce w ich obozie. Lecz o tym wszystkim opowiadał człowiek, który stracił nadzieję w celowość tych poszukiwań. Nie tak powinien to relacjonować, nie z wątpliwościami, nie ze śmiechem. Albowiem o takiej wyprawie powinien tylko opowiadać ktoś, czyje serce rozgrzał zapal: od szalonego Niva lub pomyłonego Zenda moglibyśmy otrzymać takie nowiny o tych poszukiwaniach, które nadałyby im pozory celowości. W każdym razie na pewno nie powinna to być historia opowiedziana jako suche fakty lub drwiny przez tego, którego ta wyprawa już nie pociągała. Gwiazdy wzeszły i znieruchomiały, a Vand nadal ciągnął swoją opowieść. Wieśniacy jeden za drugim wracali do domów, nie chcąc dłużej słuchać o tych beznadziejnych poszukiwaniach. Gdyby tę historię przedstawił ktoś, kto jeszcze zachował taką wiarę, jaka nadal kierowała Alwerykiem, gwiazdy by zgasły, a niebo całkiem rozjaśniło, zanim wieśniacy z Erlu opuściliby opowiadającego, a któryś z nich powiedziałby w końcu:

— O rety! Już rano!

Wcześniej nikt z nich by nie odszedł.

Następnego dnia Vand wrócił na wzgórze i do owiec i więcej już nie zawracał sobie głowy romantycznymi wyprawami.

Lecz tej wiosny wieśniacy znowu mówili o Alweryku, jakiś czas zastanawiając się nad jego wyprawą, wspominając Lirazel, zgadując, dokąd odeszła i dlaczego; a kiedy nie mogli odgadnąć, wymyślali na poczekaniu jakąś opowieść, żeby wszystko wytłumaczyć. Historia ta przechodziła z ust do ust, aż wszyscy w nią uwierzyli. Kiedy zaś minęła wiosna, Erlanie na nowo zapomnieli o Alweryku i słuchali rozkazów Oriona.

A potem pewnego dnia, kiedy Orion czekał, aż lato przeminie, marząc o mroźnych dniach i polowaniach z psami wśród wzgórz, zszedł z nich Rannok, niegdyś nieszczęśliwy kochanek, tą samą drogą, którą przybył Vand, i wszedł do Erlu. Rannok o wreszcie wolnym sercu, Rannok, który zapomniał o melancholii, Rannok, który nie biadolił, nie wzdychał ciężko, Rannok beztroski, niedbały, szukający tylko wypoczynku po długiej wędrówce. I chociażby tylko ten fakt sprawił, że Vyria zapragnęła mieć go za męża, a była to dziewczyna, w której niegdyś się nieszczęśliwie kochał. W końcu poślubiła go, a on również, tak jak Vand, już nie wybierał się na żadne fantastyczne wyprawy.

Mimo to niektórzy wieśniacy przez wiele wieczorów patrzyli w stronę wzgórz, aż długie dni przeminęły i chłodny wiatr musnął liście. Niektórzy wpatrywali się w szczyty

dalszych wzgórz, lecz nie zobaczyli nikogo więcej z towarzyszy podróży Alweryka wracającego tą samą drogą co Vand i Rannok. I do czasu gdy liście przybrały wspaniałe, szkarłatne i złote barwy, wieśniacy już nie wspominali Alweryka, tylko słuchali jego syna Oriona.

Właśnie o tej porze roku jednego dnia Orion wstał przed świtem, wziął róg myśliwski oraz łuk i poszedł do swoich psów, które zdziwiły się, słysząc jego kroki, zanim zrobiło się jasno: usłyszały to wszystko we śnie, obudziły się i zaczęły witać go głośnym szczekaniem. On zaś wypuścił je z psiarni, uspokoił i poprowadził na wzgórze. Dotarli do wspaniałych, samotnych wzgórz, gdzie jelenie zjadały się mokrą od rosy trawą, zanim ludzie się obudzili. Tego wilgotnego, mglistego poranka Orion i jego psy pobiegli po połyskliwych zboczach, ciesząc się niezmiernie. Orion, idąc po wielkich połaciach tymianku, który późno kwitł w tym roku, wdychał powietrze przesycone mocnym zapachem tego zioła. Do psów dotarły wszystkie snujące się nad ziemią wonie tego poranka. A wszystkie dzikie stworzenia, które syn Alweryka spotkał na wzgórzach w mroku i które przebiegły przez nie w swoich wędrówkach, zniknęły wraz z nadejściem dnia, gdyż wyczuły zagrożenie ze strony ludzi. Orion domyślił się tego i zdziwił, ale dla psów wszystko było jasne. Jedne zapachy starannie zbadały węchem, drugimi zaś wzgardziły, a jednego szukały nadaremnie, gdyż tego ranka na wzgórzach nie było wielkich, płowych jeleni szlachetnych.

Orion zaprowadził sforę daleko od Doliny Erlu, ale tego dnia nie zobaczył żadnego jelenia. Zresztą wiatr ani razu nie przyniósł tego zapachu zaniepokojonym psom, które go szukały. Nie znalazły też tej woni ukrytej wśród liści lub w trawie. Nastął wieczór, młody książę zaprowadził więc psy do domu, wzywając spóźnialskie grą na rogu, podczas gdy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi i przybrało czerwoną barwę. Wtedy dobiegło go dalekie granie elfowych rogów, słabsze niż echo jego własnego rogu, daleko spoza wzgórz i mgły, ale każdy srebrzysty ton brzmiał bardzo wyraźnie. Były to te same rogi z Krainy Elfów, które zawsze wzywały go wieczorem.

Ogromnie zmęczony, lecz zadowolony powracał ze swoimi psami do domu w nocy, gdy gwiazdy świeciły wysoko na niebie. Wreszcie okna Erlu powitały ich przyjaznym blaskiem. Psy udały się do psiarni, najadły i z zadowoleniem ułożyły się do snu: Orion zaś poszedł do zamku. On również się posilił, a potem siedział, rozmyślając o wzgórzach, o swoich psach i o minionym dniu; umysł miał tak otepiały ze zmęczenia, że w podobnej chwili zwykle odpoczywał, nie zważając na troski.

W ten sposób minęło im wiele dni. Aż pewnego wilgotnego poranka, przechodząc między szczytami wzgórz, ujrzeli w dole jelenia, który posilał się tak późno, gdy

pozostałe już dawno odeszły. Wszystkie psy zaszczekały radosnym chórem, ciężki jeleni zaś pomknął zręcznie po trawie, Orion wypuścił strzałę i chybił; wszystko to stało się w jednej chwili. A potem psy rzuciły się do przodu niczym lawina, aż wiatr przemknął nad nimi, mierzwiąc im sierść na grzbietach, zaś jeleni popędził susami tak szybko, jakby do każdej nogi miał przywiązaną jakby sprężynę. Początkowo psy biegły szybciej niż Orion, lecz on był niezmordowany tak jak one i biegnąc czasami na skróty, trzymał się blisko nich do chwili, aż dotarły nad potok; tu zawahały się i zatrzymały, gdyż potrzebowały pomocy ludzkiego rozumu. I Orion udzielił im takiej pomocy, do jakiej zdolny jest ludzki umysł w takiej sytuacji. Dlatego już wkrótce pomknęły dalej. Ranek minął, gdy tak pędzili od wzgórza do wzgórza, ale zobaczyli tego jelenia po raz drugi znacznie później. Przeszło popołudnie, a mimo to psy biegły tropem ściganego zwierzęcia, wykorzystując umiejętności równie dziwne jak czary. Orion dostrzegł ofiarę dopiero pod wieczór: majestatyczny jeleni kroczył wolno w promieniach zachodzącego słońca. Widok ten zagrzał psy, które w pogoni za zdobyczą przebiegły przez trzy małe dolinki, ale na dnie trzeciej jeleni zawrócił na kamienistym dnie strumyka i czekał na czworonożnych myśliwych. A wtedy psy otoczyły go, szczekając zajadle i obserwując jego groźne rosochate rogi. I tamże powaliły go na ziemię i zabiły o zachodzie słońca. Orion zadał w róg z sercem przepelnionym radością: nie pragnął niczego więcej. A rogi z Krainy Elfów odpowiedziały mu podobnym radosnym tonem, jakby i one się cieszyły lub drwiły z jego radości, z oddali, ponad wzgórzami, których nie znał, być może z drugiej strony zachodzącego słońca.

## *XVII*

### **JEDNOROŻEC POJAWIA SIĘ W GWIEZDNEJ POŚWIACIE**

Nadeszła zima i pobielila dachy Erlu i całą puszcę oraz wyżynę. A kiedy rankiem Orion zabrał swoje psy w pole, cały świat wyglądał jak księga świezo napisana przez życie, gdyż zapis historii poprzedniej nocy długimi liniami ciągnął się na śniegu. Tutaj przebiegł lis, tam borsuk, a tam jeleni szlachetny wyszedł z lasu; ślady te prowadziły przez wzgórza i znikaly z oczu jak czyny mężów stanu, żołnierzy, dworzan i polityków pojawiają się i znikają na stronach historii. Nawet ptaki pozostawiły swoją „relację” na białych wzgórzach, gdzie ludzki wzrok mógł śledzić każdy krok ich potrójnych

pazurków, aż nagle po obu stronach tropu pojawiały się trzy maleńkie blizny w miejscu, gdzie ich najdłuższe pióra musnęły śnieg, i w tym miejscu ślad nagle się urywał. Tropy te przypominały jakiś krzyk fantastycznej mody, który zjawia się na kartach historii na dzień, po czym mija, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu oprócz tych kilku linijek na jednej stronie.

I wśród tych wszystkich notatek pozostawionych przez nocne zdarzenia Orion wybierał trop jakiegoś wielkiego jelenia, który niezbyt dawno tędy przebiegał i szedł tym śladem ze swoimi psami po wzgórzach, aż nawet dźwięku jego rogu już nie dało się słyszeć w Erlu. I Erlanie widzieli, jak wracał do zamku ze swoją sforą, ich czarne sylwetki na tle czerwonych pozostałości zachodu słońca na niebie; a często działo się to dopiero wtedy, gdy gwiazdy oświetlały oszroniony krajobraz. Niejednokrotnie niósł na plecach skórę jelenia szlachetnego, a nad jego głową podskakiwało i kołysało się wielkie poroże zabitego zwierzęcia.

Wtedy to, bez wiedzy Oriona, członkowie erlańskiej rady spotkali się w kuźni Narla. Przyszli tam po zachodzie słońca, gdy wszyscy wrócili do domów po skończonej pracy. Narl z powagą podał każdemu kubek z miodem pitnym, uwarzonym z miodu z koniczyny; a kiedy przyszli wszyscy, przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Potem to Narl przerwał ciszę, mówiąc, że Alweryk już nie rządzi w Erlu i że jego syn jest władcą Doliny, i powtórzył im jeszcze raz, jak niegdyś mieli nadzieję, że władający magią księżę, rozsławi ich krainę i dodał, że to powinien być właśnie Orion.

— A gdzie teraz jest magia, o której marzyliśmy? — powiedział. — Przecież on poluje na jelenie tak jak wszyscy jego przodkowie i nie spotkał tam nic magicznego. W dodatku sam nie ma nic nowego.

Wtedy Oth wstał, by bronić wychowanka.

— Jest tak szybki jak jego psy i poluje od świtu do zachodu słońca, wędruje na najdalsze wzgórza i wraca bez szwanku.

— To tylko młodzik — odparował Guth.

I wszyscy tak powiedzieli oprócz Threla.

Zaś Threl wstał i oświadczył: — On posiadał całą wiedzę o puszczy, zna zwyczaję zwierząt tak dobrze, jak nie jest w stanie tego uczynić żaden człowiek.

— Ty go uczyłeś — wtrącił Guhic. — Nie ma w tym żadnych czarów.

— Nic z tego nie pochodzi stamtąd — podsumował Narl.

Sprzeczali się tak jakiś czas, jednocześnie ubolewając nad utratą magii, w której pokładali nadzieje: bo każda dolina zawsze tylko raz styka się z historią, nazwa jakiejś wioski tylko raz przez jakiś czas jest na ustach wszystkich ludzi; lecz ich własna osada

Erl nigdy nie znalazła się na kartach historii; nigdy nikt obcy nie wiedział o jej istnieniu poza kręgiem okolicznych wzgórz. A teraz wydawało się, że ich wszystkie plany, które tak dawno układali, wzięły w łeb. Stracili już wszelką nadzieję i nic nie mogło ich pocieszyć oprócz miodu pitnego warzonego z miodu z koniczyny. W milczeniu podnieśli kubki z miodem do ust. To naprawdę był świetny napitek.

Po jakimś czasie zaczęli obmyślać nowe plany, projekty i sposoby i erlańska rada dalej toczyła debatę na ten temat. Teraz chcieli ułożyć nowy plan i przyjąć nową politykę, ale Oth wstał z krzesła. W kamiennym domu w wiosce Erl przechowywana była pradawna kronika, oprawna w skórę. W pewnych porach mieszkańcy osady zapisywali tam różnorakie rzeczy, które uważali za ważne: rolniczą wiedzę o porze siewu, wiedzę myśliwych o tropieniu jeleni oraz przepowiednie proroków opowiadające o prawach rządzących Ziemią. Z tej właśnie księgi Oth zacytował teraz dwa wiersze, które zapamiętał z jednej z pożółkłych kart, gdzie reszta tekstu na tej karcie poświęcona była spalaniu ziemi motyką. Powtórzył je członkom rady, siedzącym przy stole zastawionym kubkami z miodem pitnym:

*„Zakapturzone, zasłoniwszy lica, chociaż niedokładnie,  
Co przyniosą trzy Parki, nikt z nas nie odgadnie”.*

I potem już członkowie rady przestali układać plany na przyszłość, gdyż albo przytoczone wiersze wzbudziły w ich umysłach pewnie obawy, a może trunek był mocniejszy niż cokolwiek zapisane w księgach. Wczesnym wieczorem, w blasku pierwszych gwiazd, wrócili z kuźni Narla do swoich chat, narzekając w drodze, że nie mają obdarzonego magicznymi zdolnościami władcy, który rządziłby Erlem. Po prostu tęsknili za czarami, gdyż pragnęli uratować od zapomnienia ukochaną dolinę i wioskę. Docierając do swoich domów, rozchodzili się kolejno. A trzech lub czterech, którzy mieszkali na samym końcu wioski od strony położonej u podnóża wzgórz, jeszcze nie doszli do swoich chat, kiedy ujrzeli wyraźnie w gwiazdnej poświacie i resztkach zmierzchu, zmęczonego, białego jednorożca, resztkami sił zbiegającego po zboczu. Zatrzymali się, wlepili wzrok, osłonili oczy rękami, pogładzili brody i zdziwili się bardzo. Lecz nadal był to galopujący ciężko, choć wyraźnie wyczerpany, biały jednorożec. Potem zaś usłyszeli zbliżające się szczekanie psów Oriona.

## SZARY NAMIOT WIECZOREM

W dniu, kiedy ścigany jednorożec przemierzył Dolinę Erlu, Alweryk wędrował już ponad jedenaście lat. Dłużej niż dziesięć lat sześciosobowa grupka jechała wzdłuż tylnych ścian wioskowych chat w pobliżu granic naszego świata i obozowała wieczorami pod szarą, zniszczoną tkaniną zawieszoną na palikach. I chociaż dziwny, romantyczny charakter ich wyprawy często znajdował odzwierciedlenie w otoczeniu, obozowiska sześciu Erlan zawsze wydawały się najdziwaczniejszą częścią krajobrazu; i w miarę jak wieczorem wokół nich robiło się coraz szarzej, ich fantazja i tajemniczość rosły. Lecz pomimo gorącego pragnienia Alweryka Erlanie podróżowali powoli i leniwie: czasami pozostawali w jakimś przyjemnym obozowisku przez trzy dni, po czym ruszali dalej spacerkiem. Maszerowali kilkanaście kilometrów, a potem znowu rozbijali obóz. Czasami Alweryk w głębi serca miał pewność, że zobaczą granicę zmierzchu, że któregoś dnia wejdą do Krainy Elfów. A dobrze wiedział, iż w zaklętej krainie czas nie biegnie tak jak w świecie ludzi: marzył, że spotka tam niepostarzałą Lirazel, która nie straciła ani jednego uśmiechu w pędzących w szalonym tempie latach, i na twarzy której niszczycielski czas nie wyrzył nawet jednej zmarszczki. W każdym razie taką miał nadzieję. Ta nadzieja gnała dziwaczny orszak wciąż do przodu, z obozu do obozu, dodawała im otuchy przy ognisku w długie wieczory i zaprowadziła ich daleko na północ. Przez cały czas podróżowali skrajem naszego świata, podczas gdy wszyscy inni ludzie zwracali twarze w przeciwną stronę i nikt nie zobaczył ani nie zwrócił uwagi na sześciu wędrowców. Tylko Vand nie podzielał nadziei towarzyszy podróży i z każdym rokiem rozsądek w coraz większym stopniu kazał mu odrzucić przynętę, która wabiła pozostałych. Aż wreszcie pewnego dnia stracił wiarę w Krainę Elfów. I dalej już jechał z nimi tylko do tego dnia, gdy smagały ich deszcz i wiatr, kiedy wszyscy zmarzli i przemokli, a ich konie były bardzo zmęczone. Wtedy ich zostawił i odjechał.

Natomiast Rannok kontynuował podróż, gdyż w głębi serca nie miał nadziei i pragnął dzięki tej podróży oddalić się od przyczyny dręczącego go smutku. Wreszcie któregoś dnia, kiedy w ludzkim świecie wszystkie kosy śpiewały na drzewach, a rozpacz opuściła go w połyskliwych promieniach słońca, pomyślał o przytulnych domostwach i ulubionych miejscach spotkań w rodzinnej wiosce. Niebawem on także pewnego wieczoru odjechał z obozowiska i skierował się ku tym bardziej gościnnym ziemiom.

Teraz, gdy czterej pozostali wędrowcy myśleli tak samo i spędzali wieczory pod mokrymi, szorstkimi kocami, które zawieszali na palach, wszyscy byli bardzo zadowoleni. Albowiem Alweryk czepiał się nadziei z całą siłą charakteru swego rodu, który niegdyś zdobył Erl w dawnych bitwach i władał nim przez wieki. Natomiast w

ograniczonych umysłach Niva i Zenda myśl ta zapaściła korzenie i rozkwitła jak jakiś rzadki kwiat, który ogrodnik może posadzić w dzikim, zapuszczonym miejscu. Podczas gdy Thyl śpiewał o nadziei i dzikie pomysły, przychodzące do głowy słuchaczom po wysłuchaniu pieśni tego szalonego barda, nadawały poszukiwaniom Alweryka coraz więcej i więcej uroku. Dlatego wszyscy myśleli tak samo Zresztą większe i ważniejsze wyprawy, zarówno szaleńcze, jak i całkiem rozsądne, udawały się, kiedy tak było, zaś te większe ponosiły klęskę, gdy sytuacja wyglądała inaczej.

Wędrowali na północ przez wiele lat wzdłuż tylnych ścian ludzkich domów; a potem jednego dnia skręcał na wschód, gdzie wygląd nieba, jakaś niesamowita cecha wieczoru lub sama przepowiednia Niva zdawały się sugerować bliskość Krainy Elfów. W takich przypadkach podróżowali po skałach, które przez te wszystkie lata graniczyły ze znanym nam światem do chwili, aż Alweryk zorientował się, że prowiant dla ludzi i pasza dla koni z trudem pozwolą im na powrót do ludzkich siedzib. Wtedy znowu zawracał choć Niv chciał prowadzić ich dalej w głąb skalistej równiny, gdyż jego entuzjazm rósł w miarę podróży; Thyl śpiewał, przepowiadając im sukces, zaś Zend twierdził, że zobaczył szczyty i wieżyczki Krainy Elfów. Spośród nich tylko Alweryk był naprawdę mądry. Dlatego powracali do ludzkich domostw i kupowali więcej zaopatrzenia na dalszą drogę. A Niv, Zend i Thyl zaraz paplali o dalszej wędrówce, dając upust entuzjazmowi, który ich nie opuszczał. Tylko Alweryk nie rozwodził się o tym, gdyż przekonał się, że ludzie w tamtych stronach ani nie mówili, ani nie spoglądali w stronę zaklętej krainy, chociaż nie dowiedział się, dlaczego tak postępowali.

Wkrótce ruszali dalej, i ludzie, którzy sprzedali im plony znanych nam ziem, odprowadzali ich wzrokiem z ciekawością, jak gdyby uważali, że wynurzenia Niva, Zenda i Thla to rezultat szaleństwa lub niesamowitych snów zesłanych przez księżyc.

W ten sposób podróżowali dalej, zawsze poszukując nowych miejsc, z których mogliby odkryć ojczyznę magii, a wiatr z lewej przynosił im zapachy naszego świata, woń bzów z przydomowych ogródków, potem aromat kwiatów głogu, a następnie róż, aż wreszcie powietrze wypełniał duszący zapach świeżego siana. Z lewej strony dobiegał ich z oddali ryk bydła, ludzkie głosy, nawoływania kuropatw; słyszeli wszystkie odgłosy, które docierają z zasobnych gospodarstw, a z prawej zawsze mieli opustoszałą równinę, nagie skały i ani jednego kwiatka czy źdźbła trawy. Od dawna nie zaznali towarzystwa ludzi, a mimo to nie mogli znaleźć Krainy Elfów. W takim wypadku potrzebowali pieśni Thyla i gorącej nadziei Niva.

I wieść o wyprawie Alweryka rozeszła się po świecie, wyprzedziła trasę jego

wędrówek, tak że wszyscy ludzie, których mijał, znali jego historię. Jedni pogardzali nim, tak jak pewni ludzie gardzą tymi, którzy całe życie poświęcają jakiemuś celowi, drudzy zaś cenili go i szanowali. Lecz on prosił tylko o prowiant i kupował go, kiedy mu dostarczono. I tak podróżowali wciąż dalej i dalej. Mijali tyły ludzkich domostw niczym legendarni bohaterowie, rozbijając wieczorami szary, bezkształtny namiot. Przybywali cicho jak deszcz i oddalali niczym mgła płynąca nad ziemią. Żartowano z nich i śpiewano o nich. I pieśni przetrwały żarty. Wreszcie stali się legendą, która na zawsze nawiedzała tamtejsze farmy; wspomniano ich, opowiadając o beznadziejnych poszukiwaniach i wyśmiewano lub sławiono, w zależności od tego, co ludzie mogli im ofiarować.

I przez cały ten czas król Elfów czuwał i obserwował: albowiem dzięki magii wiedział, kiedy miecz Alweryka zbliżał się do granic jego królestwa. Miecz ten już raz wprowadził zamieszanie do Krainy Czarów, a jej władca doskonale rozpoznawał zapach żelaza ze strzałek piorunowych, gdy poczuł go w powietrzu. Dlatego odsunął granice swego władztwa bardzo daleko, pozostawiając nagą pustynię tam, gdzie kiedyś była Kraina Elfów. A chociaż nie znał zasięgu ludzkich wędrówek, pozostawił między obu światami tak wielką odległość, która zmęczyłaby kometę, i słusznie uważał, że jest bezpieczny.

Lecz gdy Alweryk ze swoim magicznym mieczem znalazł się daleko na północy, król Elfów rozluźnił chwyt, dzięki któremu wycofał ojczyznę magii, jak księżyc cofający wody oceanu pozwala im wrócić na dawne miejsce. I kraina Elfów bardzo szybko wróciła jak przyływ na przybrzeżne piaski. Brzeg zaklętego kraju tworzyła granica zmierzchu i napłynął on z powrotem na skalistą pustynię; wraz z nią wróciły dawne pieśni, dawne sny i głosy sprzed lat. I przez jakiś czas granica zmierzchu leżała, połyskując i skrząc się w pobliżu naszego świata, jak odwieczny letni wieczór, który przetrwał stulecia, jedyna pozostałość złotego wieku. Ale daleko, na ponurej północy, gdzie wędrował Alweryk, niekończące się skały nadal zaścielały opustoszałą równinę. Kraina Elfów, niczym potężny potok, powróciła tylko do miejsc, które znajdowały się z daleka od tego magicznego miecza i towarzyszy podróży erlańskiego księcia. I znów to czarodziejskie królestwo, pełne cudów i dziwów, których poeci szukają z takim trudem, skarbnica wszystkiego, co romantyczne, znalazło się tak blisko chaty garbarza i jego sąsiadów, w odległości zaledwie trzech pól. A Elfowe Góry błękitniały ponad granicą spokojnie, jak gdyby ich szczyty nigdy nie ruszyły się z miejsca. I właśnie tam jednorożce pasły się wzdłuż granicy, jak miały to we zwyczaju, czasami w samej Krainie Elfów, która jest ojczyzną wszystkich baśniowych istot,

skubiąc lilie na zboczach Elfowych Gór, a czasami, wieczorem, przemykając przez granice zmierzchu, kiedy na naszych polach panuje spokój, aby żywić się ziemską trawą. Czynią zaś to dlatego, że od czasu do czasu nachodzi je chęćka na tę trawę, tak jak jelenie szlachetne z wyżyny szkockiej raz do roku pragną znaleźć się nad morzem. Z tego powodu, chociaż są baśniowymi zwierzętami, gdyż urodziły się w Krainie Elfów, ludzie jednak wiedzą o ich istnieniu. Lis, który rodzi się w naszym świecie, również przechodzi przez granicę zmierzchu o pewnych porach roku. Stąd właśnie pochodzi romantyczna otoczka, z jaką wraca do naszych ziem. On również jest baśniowy, ale tylko w ojczyźnie magii, tak jak jednorożce są istotami baśniowymi tutaj.

Zresztą wieśniacy z tamtych gospodarstw rzadko widywali jednorożce, mającące w półmroku, gdyż zawsze odwracali wzrok od Krainy Elfów. Cuda, piękno, urok, historia Krainy Czarów przeznaczone były dla umysłów ludzi, którzy mieli dość wolnego czasu, aby się nimi przejmować. Natomiast mieszkańcy pogranicza obu światów musieli myśleć o zbiorach, o zwierzętach, które nie były baśniowymi istotami, o strzechach, o żywopłotach i o tysiącu innych rzeczy. Ledwie pod koniec roku wyrabiali się ze wszystkim przed zimą; dobrze wiedzieli, że jeśli nawet na moment zwrócą myśli ku Krainie Elfów, jej wspaniałość i niezwykle piękno niebawem nimi zawładną, zabierając im cały wolny czas, tak że nie znajdą nawet chwili na naprawę strzechy lub żywopłotu bądź to na zaoranie pola. Jedynie Orioną zwabiło granie rogów, które niosło się wieczorami z ojczyzny magii. Oprócz tego jakieś specyficzne, czysto elfowe dostrojenie jego uszu do czarodziejskich dźwięków, które sprawiało, że tylko on jeden w całym Erlu słyszał to granie, sprowadziło go wraz z psami na pole przegrodzone granicą zmierzchu. I późnym wieczorem zobaczył tam jednorożca. Prześlizgnąwszy się przez żywopłot na to poletko, w asyście biegnących w tyle psów, znalazł się pomiędzy jednorożcem a granicą zmierzchu i odciął mu odwrót do Krainy Elfów. Był to samotny jednorożec, z szyją pokrytą płatkami piany, która połyskiwała srebrzyście w gwiazdnej poświacie. Dysząc ciężko, sadząc susami z trudem, zmęczony ucieczką, przebiegł przez Dolinę Erlu jak natchnienie, jak nowa dynastia do zmęczonego dotychczasowymi rządami kraju, jak nowiny o szczęśliwszym kontynencie, odkrytym za morzami przez żeglarzy, którzy nieoczekiwanie powrócili.

## XIX

### DWUNASTU STARCÓW NIEWŁADAJĄCYCH MAGIĄ

Dzieje się tak, że niewiele zwierząt czy ludzi przechodzi lub przejeżdża przez wioskę Erl, nie wywołując komentarzy jej mieszkańców. Podobnie rzeczy się miały z tym jednorożcem. Albowiem trzej z rady, który ujrzeli go, gdy ich mijał w blasku gwiazd, natychmiast opowiedzieli o tym swoim rodzinom. Wielu członków ich rodzin wybiegło wtedy z domów, aby przekazać tę dobrą wieść pozostałym Erlanom. Albowiem w Erlu wszystkie dziwne nowiny były uważane za dobre, jako że stawały się tematem do rozmów. A przy takich rozmowach czas prędzej płynął w zimowe wieczory po skończonej pracy. Więc jeszcze długo rozmawiali o tym jednorożcu.

I dzień lub dwa po tym wydarzeniu, rada Erlu ponownie zebrała się w kuźni Narla. Radni zasiedli przy kubkach z miodem pitnym, dyskutując o jednorożcu. Jedni ucieszyli się z tego i powiedzieli, że Orion ma czarodziejskie zdolności, ponieważ jednorożec to magiczna istota przybyła spoza naszego świata.

— Wobec tego — oświadczył jeden z nich — dotarł on do ziem, o których nie wypada nam rozmawiać, i ma magiczne zdolności, jak wszystko, co się tam znajduje.

Część obecnych zgodziła się z nim i uznała, że ich plany się powiodły.

Ale pozostali stwierdzili, że tamto zwierzę widziano w blasku gwiazd, jeśli w ogóle było to jakieś zwierzę. A któż może na pewno powiedzieć, że to istotnie był jednorożec? Ktoś dorzucił, że w gwiazdnej poświacie trudno było w ogóle je dostrzec, inny zaś dodał, że jednorożce trudno rozpoznać. Potem zaś zaczęli dyskutować o wielkości i kształcie ciała tych zwierząt i o wszystkich legendach, które o nich opowiadają. W końcu nie doszli do zgody w podstawowej sprawie: czy ich księżę polował, czy nie polował na jednorożca. Wreszcie Narl, widząc, że w ten sposób nie dojdą do prawdy, i uznając za niezbędne ustalenie tego faktu tak czy inaczej, ale raz na zawsze, wstał i oświadczył, że nadeszła pora na głosowanie. I z pomocą metody, której zawsze używali — wrzucania różnokolorowych muszelek do rogu — podając go sobie z rąk do rąk — zagłosowali w tej sprawie. Zapadła cisza, a Narl policzył muszle. I okazało się, że ustalili przez głosowanie, iż nie było żadnego jednorożca.

Wtedy erlańska rada stwierdziła z żalem, że ich wielkie plany, jakie wiązali z osobą księcia-maga, wzięły w łeb; wszyscy byli już starcami i opuściła ich nadzieja, którą tak długo podtrzymywali w sercach. Potem ze znacznie mniejszą ochotą zajęli się nowszymi planami niż tymi sprzed lat. Co powinni teraz zrobić? — pytali siebie. Jak zdobyć

magię? Jak sprawić, żeby świat zapamiętał Erl? Dwunastu starców nie będących magami. Siedzieli tam nad kubkami z miodem pitnym i w żaden sposób nie mogli ukoić smutku.

Tymczasem Orion przebywał daleko na polowaniu ze swoimi psami w pobliżu wielkiej „zatoki” Krainy Elfów, która spoczywała na dawnym miejscu niby fala przyływu, dotykając ziemskiej trawy. Udał się tam wieczorem, kiedy elfowe rogi grały tak głośno, że posłużyły mu za przewodników, i czekał bardzo spokojnie na skraju naszego świata, aż jednorożce przekradną się przez granicę zmierzchu. Albowiem już nie polował na jelenie.

I kiedy tak szedł przez pola późnym popołudniem, ludzie pracujący w gospodarstwach pozdrawiali go wesoło; kiedy jednak poszedł jeszcze dalej na wschód, odzywali się doń coraz rzadziej. W końcu, gdy zbliżył się do granicy Krainy Elfów i nie zatrzymał się, przestali na niego patrzeć, pozostawiając go i jego psy własnemu losowi.

I o zachodzie słońca stał cicho obok żywopłotu, który biegł w dół prosto do granicy zmierzchu. Psy otaczały go ciasnym kręgiem, ukryte wśród zarośli. Pilnował ich wzrokiem, aby żaden nie ośmielił się poruszyć. Do drzew naszego świata przylatywały gołębie i ćwierkające szpaki; grały elfowe rogi, ich czyste, srebrzyste dźwięki przeszywały zimne powietrze i wszystkie barwy chmur nagle się zmieniały. Wtedy to, w zapadającym zmroku, Orion wypatrywał niewyraźnej białej sylwetki wychodzącej z granicy zmierzchu. I tego wieczoru, wtedy gdy właśnie uciszył ręką jakiegoś psa, w tej samej chwili, kiedy nasze pola pociemniały, z granicy między światami wymknął się wielki biały jednorożec, żując przy tym lilie, jakie nigdy nie rosły na Ziemi. Przeszedł niedosłyszalnie trzy lub cztery kroki i stał, biały, nieruchomy jak księżycowa poświata, nasłuchując, nasłuchując i nasłuchując. Orion nawet nie drgnął, a jego psy milczały — albo dzięki jakiejś mocy syna Alweryka lub ich własnej mądrości. Po pięciu minutach jednorożec zrobił parę kroków do przodu i zaczął szczypać wysoką, słodką ziemską trawę. I kiedy tylko oddalił się od granicy ojczyzny magii, jednocześnie przeszły przez nią cztery inne jednorożce i zaczęły się paść. A Orion nadal stał i czekał ze swymi psami.

Jednorożce krok za krokiem oddalały się od granicy między światami, zwabione coraz dalej i dalej na ziemskie pola przez smaczną wysoką trawę, skubiąc ją w piątkę w ten cichy wieczór. Ale gdy w oddali zaszczekał jakiś pies, nawet jeśli zapiął jakiś spóźniony kogut, bajeczne stworzenia od razu nastawiały uszu i stały, badając czujnie otoczenie, nie ufając niczemu w świecie ludzi ani nie zapuszczając się dalej na ziemskie pola.

Aż w końcu ten, który pierwszy przeszedł przez granicę między światami, tak bardzo oddalił się od swojej zaklętej ojczyzny, że Orion mógł przebiec między nim a barierą zmierzchu, zaś jego psy ruszyły za swym panem. Potem, gdyby ten urodzony myśliwy igrał ze zdobyczą, gdyby polował dla zachcianki, nie zaś z głębokiego umiłowania sztuki polowania, którą znają jedynie prawdziwi łowcy, wtedy straciłby wszystko, gdyż jego psy pogoniłyby najbliższe jednorożce. Te zaś w jednej chwili znalazłyby się poza granicą zmierzchu i byłyby dla niego stracone. A gdyby psy pobiegły za nimi, również by je utracił i całodniowy trud poszedłby na marne. Lecz Orion poprowadził swoje psy do najdalej stojącego jednorożca, przez cały czas bacząc, czy któryś z nich nie spróbuje gonić innych, trzymając bicz w pogotowiu. Tylko jeden zaczął, lecz szybko zrezygnował. W ten sposób syn Alweryka odciął zdobyczy drogę do Krainy Elfów, a jego psy po raz drugi zaczęły ścigać z ujadaniem jednego z pięciu jednorożców.

Kiedy tylko bajeczne zwierzę usłyszało tupot psich łap i kątem oka dostrzegło, że nie zdoła wrócić do swojej czarodziejskiej ojczyzny, nagłym skokiem pomknęło jak strzała przez ziemskie pola. Po dotarciu do żywopłotów nie sprężyło się do skoku, lecz jak się zdawało, prześlizgnęło się nad nimi z nieruchomymi muskularni, a potem, gdy ponownie dotknęło kopytami trawy, poszło w pełny galop.

Początkowo psy znacznie wyprzedziły Oriona i to umożliwiło mu zawrócenie jednorożca w chwili, gdy ten próbował skierować się do Krainy Elfów. Ścigając kluczącą zdobycz, ponownie zbliżył się do psów. Kiedy myśliwy po raz trzeci zmusił jednorożca do zmiany kierunku, ten pogalopował w przeciwną stronę niż granica zmierzchu, prosto przez ziemskie pola. Ujądanie psów niesło się daleko w nieruchomym wieczornym powietrzu jak długa zmarszczka na powierzchni spokojnego jeziora, którą zmacił niewidzialny pływak. Pędząc na oślep, jednorożec tak bardzo wyprzedził psy, że wkrótce potem Orion zobaczył go tylko z oddali jako białą kropkę mknącą po zboczach wzgórz w półmroku. Następnie magiczne zwierzę dotarło na szczyt i zniknęło myśliwemu z oczu. Lecz pozostawiło na trawie dziwaczny, choć mocny zapach, który prowadził psy niczym jakaś niesłyszalna pieśń. Psy zawahały się i zatrzymały tylko na chwilę nad strumieniem. Ale nawet tam wyczuły woń magicznej zdobyczy, zanim Orion udzielił im pomocy.

Polowanie trwało w najlepsze. Tymczasem światło dzienne zgasło i niebo przygotowało się na nadejście gwiazd. Rozbłysło parę tych gwiazd, ale też gęsta mgła uniosła się znad strumieni i zaległa nad ziemią, aż w końcu ścigający nie mogliby dostrzec jednorożca nawet gdyby był tuż przed nimi. Wydawało się, że same drzewa

zapadły w sen. Minęli małe chatki, samotne, chronione przez wiązy, odgródzone wysokimi żywopłotami z cisów od gnających przez pola dwu i czworonożnych myśliwych. Orion nigdy nie widział tych domostw ani nie wiedział o ich istnieniu, aż podczas tego przypadkowego pościgu za jednorożcem nagle minął ich drzwi.

Psy szczekały, gdy przebiegali obok, i ujadły jeszcze długo potem, gdyż czując unoszący się w powietrzu magiczny zapach i słysząc szczekanie sfory, zorientowały się, że dzieje się coś dziwnego. Początkowo szczekały, gdyż same chciałyby wziąć w tym udział, a potem, żeby ostrzec swoich panów przed niezwykłością tego pościgu. Ujadły tak do późna w nocy.

I raz, gdy ścigający minęli jakiś domek w kępie starych głogów, drzwi nagle otwały się i stanęła w nich jakaś kobieta, patrząc, co się dzieje: zobaczyła jednak tylko niewyraźne, szare kształty. Natomiast Orion w owej chwili ujrzał rozjarzone wnętrze chaty i żółte światło wylewające się przez drzwi na mroźne powietrze. Przyjemne ciepło ucieszyło go i chętnie by odpoczął w tej małej, samotnej człowieczej oazie wśród pól, ale psy pomknęły dalej, więc ruszył za nimi. Zaś mieszkańcy chatki usłyszeli ich ujadanie niczym granie trąbki, której echa cichną wśród najdalszych wzgórz.

Usłyszał ich też jakiś lis, stanął nieruchomo i nasłuchiwał: początkowo odgłosy polowania wprawiły go w konsternację. Potem jednak poczuł woń jednorożca i wszystko stało się dla niego jasne, gdyż po magicznym zapachu rozpoznał w ściganym jakiegoś przybysza z Krainy Elfów.

Lecz kiedy woń ta dotarła do owiec, przeraziła je; natychmiast ruszyły ku sobie, zbiły się w gromadę tak, że nie mogły dalej biec.

Bydło poderwało się ze snu, spojrzęło sennie, co też się dzieje, lecz jednorożec przebiegł między nimi i oddalił się niczym pachnący różami wiaterek, który zabłądził znad ogrodów w dolinie na ulice jakiegoś miasta, prześlizgnął się przez hałaśliwe ulice i zniknął.

Niebawem wszystkie gwiazdy spoglądały na spokojne pola, na których psy i ich pan w euforii polowali na czarodziejskiego zwierza, szereg porywczych stworzeń przedzierających się przez sen i ciszę. A teraz jednorożec, chociaż nadal znajdował się daleko poza zasięgiem ich wzroku, już nie zyskiwał niewielkiej przewagi przy każdym żywopłocie. Początkowo tracił na szybkości nie więcej niż ptak przelatujący przez środek chmury, podczas gdy wielkie psy przebiegały przez przerwy w gąszczu, które zdołały znaleźć, lub kładły się na ziemi i przeciskały między gałęziami krzewów. Teraz jednak z coraz większym wysiłkiem zbierał siły przy każdej takiej zaporze, czasami uderzał w jej szczyt i się potykał. Biegł też wolniej, gdyż żaden jednorożec nie odbył

takiej wędrówki w spokojnej Krainie Elfów. I coś powiedziało zmęczonym psom, że zbliżają się do zdobyczy. Ujadają teraz jeszcze radośniej.

Przebyli jeszcze kilka czarnych żywopłotów, a potem zamajaczyła przed nimi w mroku ciemna plama jakiegoś lasu. Kiedy jednorozec wbiegł w gęstwinę, wyraźnie słyszał już szczekanie psów. Para lisów zobaczyła go, jak biegł coraz wolniej, i pobiegły obok niego, żeby zobaczyć co się stanie z tą magiczną, zmęczoną istotą, która przybyła z Krainy Elfów.

Biegły z obu stron jednorozca, powoli, obserwując go uważnie. Nie baty się psów, choć usłyszały ich ujadanie. Wiedziały bowiem, że żaden czworonożny łowca, który tropił ten magiczny zapach, nie skręci, aby zapolować na jakieś ziemskie zwierzę. Jednorozec biegł z trudem przez las, a lisy cały czas przyglądały mu się ciekawie.

Psy wbiegły do lasu, a ich ujadanie obudziło echa wśród wielkich dębów. Orion podążał za nimi tak wytrwale i szybko, że albo zdobył te cechy na Ziemi, albo odziedziczył po elfowej matce. W puszczy panował mrok, ale syn Alweryka mknął, kierując się ujadaniem psów, a one nie potrzebowały wzroku, aby biec za tym cudownym zapachem. Nigdy się nie zawahały, lecz pomykały tropem magicznej woni w mroku i w gwiazdnej poświacie. Nie przypominało to polowania na lisa czy jelenia; gdyż inny lis mógł przekroczyć ślad ściganego lisa, jelen przebiec przez stado jeleni i saren; nawet trzoda owiec może wprowadzić psy w konsternację, krzyżując swój trop z tym, którym akurat podążały. Lecz jednorozec był tej nocy jedyną czarodziejską istotą w naszym świecie i na ziemskiej trawie pozostał jego świeży, trwałe ślad, ostra, paląca woń czarów wśród zwyczajnych, codziennych zapachów. Ścigały go przez las i dolinę; oba lisy biegły obok, nie przestając obserwować zbiega, który stapał ostrożnie, gdy schodził w dół zboczą a mimo to poruszał się tak szybko, jak zbiegające jego tropem psy. Następnie przebiegł kawałeczek przez dolinę, skręcił w lewo zaraz po tym, gdy zbiegł ze zbocza, po czym skierował się w stronę następnego wzgórza. Wtedy już nie mógł dłużej ukrywać zmęczenia, choć dzikie zwierzęta starają się to zataić aż do ostatka; stapał ciężko, jak gdyby jego nogi wlokły powoli resztę ciała. Orion zobaczył go wtedy z przeciwległego zbocza.

A kiedy jednorozec wbiegł na szczyt tego wzgórza, psy były tuż za nim, więc nagle obrócił się, zwracając ku nim wielki, pojedynczy róg i stał w groźnej pozie. Potem psy zaszczeły wokół niego, ale magiczny zwierz z gracją wymachiwał rogiem na wszystkie strony tak szybko, iż żaden pies nie mógł się go uchwycić. Psy wiedziały, że grozi im śmierć, i chociaż bardzo chciały wbić kły w ciało zapędzonego w pułapkę jednorozca, szybko odskoczyły od połyskującego rogu. Potem Orion dobiegł z

łukiem, ale nie chciał strzelać, może dlatego, że trudno by mu było wypuścić strzałę tak, aby nie zranić żadnego psa, a może z powodu uczucia, które nie jest niczym nowym i wśród nas, że nie należy tak postępować z jednorożcem. Zamiast tego wyciągnął z pochwy stary miecz, przeszedł między psami i rozpoczął pojedynek z osaczonym zwierzęciem, które broniło się śmiertelnie niebezpiecznym rogiem. Jednorożec pochylił głowę i zamachnął się rogiem na Oriona; i choć był zmęczony, pozostało mu jeszcze tyle sił, żeby zadać tak potężny cios, iż człowiek ledwie go odbił. Potem Orion zadał pchnięcie, celując w szyję zwierzęcia, lecz ono wielkim rogiem odtrąciło miecz i znowu skoczyło ku człowiekowi. Myśliwy ponownie odparował to uderzenie z całej siły, ale brakowało niewiele, aby zginął. Jeszcze raz pchnął brzeszczotem, mierząc w szyję przeciwnika z Krainy Czarów, lecz ten odbił cios niemal z pogardą. Jednorożec uderzał raz po raz, wyraźnie celując prosto w serce człowieka; wielkie, białe zwierzę postąpiło do przodu, zmuszając łowcę do cofnięcia się o kilka kroków. Ciosy pełnej gracji, muskularnej szyi kierującej śmiertelnościami rogiem męczyły Oriona. Jeszcze raz spróbował dźgnąć mieczem baśniową istotę, ale mu się to nie udało; w gwiazdnej poświacie zobaczył złośliwy błysk oczu jednorożca, biały łuk jego szyi i zrozumiał, że już nie odbije żadnego z potężnych ciosów długiego rogu. Lecz wtedy jakiś pies uczepił się z przodu prawej łopatki zwierzęcia. Zaraz też reszta sfory rzuciła się na jednorożca, a każdy pies mierzył w wybrane miejsce, chociaż wyglądały jak podskakująca i rzucająca się bez ładu i składu zgraja. Orion już nie walczył, bo psy odgrodziły go od szyi czworonożnego nieprzyjaciela. Jednorożec wydawał przerażające jęki, jakich nigdy nie słyszano w naszym świecie; a potem ucichły i słychać było tylko warczenie i szczekanie psów, które wyrażały w ten sposób zachwyt nad wspaniałą zdobyczą, rozkoszując się smakiem czarodziejskiej krwi.

## XX

### PEWIEN HISTORYCZNY FAKT

Orion wszedł z biczem w rękę pomiędzy zmęczone psy, którym furia i poczucie triumfu dodały sił. Odegnął je od ogromnego martwego cielska i zatoczył biczem szerokie koło, jednocześnie zaś drugą ręką mieczem odciął głowę jednorożca. Ściągnął też skórę z jego długiej, białej szyi, tak że zwisała pusta tuż za głową. Przez cały ten czas psy ujadły i jeden za drugim usiłowały rzucić się na zwłoki magicznego

zwierzęcia, gdy każdy dostrzegł szansę ominięcia bicza. Upłynęło sporo czasu, zanim Orion dostał swoje trofeum, ponieważ musiał używać z całych sił zarówno bicza, jak i miecza. W końcu jednak zarzucił je na rzemieniu na plecy: wielki róg sterczał w górę tuż za prawą stroną jego głowy, zaś zakrwawiona skóra zwisała poniżej. Zajmując się tym, pozwolił psom rzucić się na zwłoki jednoroźca i spróbować jego cudownej krwi. Potem zawołał je, zagrał na rogu i ruszył powoli do Erlu, a sfora pobiegła za nim. Wtedy oba lisy podkrały się, żeby skosztować tej niezwykłej krwi, gdyż po to właśnie siedziały i czekały.

Kiedy jednorożec po raz ostatni w życiu wspinał się na wzgórze, Orion poczuł tak ogromne zmęczenie, że nie byłby w stanie pójść niewiele dalej, teraz jednak, gdy dźwigał na plecach ciężką głowę zdobyczy, zmęczenie pierzchno i szedł tak lekkim krokiem, jak poprzedniego ranka. I nic w tym dziwnego, gdyż był to jego pierwszy upolowany jednorożec. I wydawało się, że psy również odzyskały siły, jakby wychłoptana przez nie krew miała w sobie jakąś dziwną moc. Wróciły do zamku hałaśliwie, dokazując i wybiegając do przodu, jakby dopiero co wypuszczono je z psiarni.

W ten sposób Orion powracał do zamku nocą, widząc przed sobą dolinę pełną dymu z wioski Erl, gdzie ostatnie światelko paliło się w oknie jednej z wież. Zszedłszy ze wzgórz znajomymi ścieżkami, zaprowadził sforę do psiarni i chwilę przed tym, zanim świt rozjaśnił szczyty wyżyny, zadał na rogu przed tylnymi podwojami zamku. A gdy stary strażnik tych drzwi otworzył je Orionowi, wtedy zobaczył wielki róg jednoroźca kołyszący się nad głową młodego księcia.

Był to ten sam róg, który w późniejszych latach papież posłał w darze królowi Franciszkowi. Benvenuto Cellini opowiada o tym w swoich pamiętnikach. Opisuje, jak papież Klemens posłał po niego i po niejakiego Tobiasza i rozkazał im wykonać projekty odpowiedniej oprawy dla rogu jednoroźca, najwspanialszego, jaki kiedykolwiek widziano. Osądźcie więc sami, jak wielki musiał być zachwyt Oriona, skoro róg pierwszego upolowanego przezeń jednoroźca wyglądał tak wspaniale, że wiele pokoleń później uznano go za najpiękniejszy ze wszystkich i to nie gdzie indziej jak w Rzymie, w mieście, które miało mnóstwo okazji do nabycia i porównania takich przedmiotów. Albowiem papież musiał posiadać pewną liczbę tych niezwykłych rogów, aby móc wybrać spośród nich najwspanialszy, jaki kiedykolwiek widziano. Lecz nawet w bardziej skomplikowanych czasach niż te, w jakich toczy się akcja mojej opowieści, rogi te były taką rzadkością, że uważano jednoroźce za baśniowe stworzenia. Król Franciszek musiał otrzymać ten dar około roku 1530, róg jednoroźca był okuty złotem, a zlecenie otrzymał Tobiasz, nie zaś Benvenuto Cellini. Wymieniam tę datę, ponieważ są tacy czytelnicy, których nie obchodzi jakaś opowieść, jeśli to tu, to tam nie ma oparcia w historii, i którzy nawet w historii cenią wyżej fakty niż filozofię. Gdyby jakiś taki czytelnik śledził losy Oriona aż do tego momentu, na pewno będzie pragnął poznać jakąś datę lub fakt historyczny. Co do daty, to podaję mu rok 1530. Co się zaś tyczy faktu historycznego, wybrałem szczodry dar odnotowany przez Benvenuto Celliniego, ponieważ właśnie w miejscu, gdzie pojawiają się jednoroźce, taki czytelnik może poczuć się jak najdalej od historii i zapragnąć potwierdzenia tych podanych przeze mnie informacji. Historia drogi, jaką przebył ten róg jednoroźca, jak opuścił Zamek Erl i przez czyje ręce przeszedł, zanim w końcu trafił do Rzymu, oczywiście wymagałaby napisania osobnej książki.

Ale wszystko, co powinienem opowiedzieć o tym rogu, to fakt, że Orion zaniósł całą głowę jednoroźca do Threla, który zdjął z niej skórę, umył i gotował czaszkę przez wiele godzin, po czym ponownie okrył ją skórą i wypchał szyć słomą. Wówczas Orion umieścił ją na najwyższym miejscu wśród wszystkich głów, które wisiały w wielkiej zamkowej sali. W całym Erlu — tak szybko jak galopują jednoroźce — rozeszła się wieść o pięknym rogu, który zdobył Orion. Dlatego erlańska rada ponownie spotkała się w kuźni Narla. Siedzieli przy stole, debatując nad tą pogłoską; zresztą inni oprócz Threla też widzieli tę głowę. Początkowo, z powodu dawnych różnic zdań, jedni twierdzi-

li, że nie było żadnego jednoroźca. Pili smaczny miód Narla i wypowiadali się przeciw temu potworowi. Lecz po pewnym czasie, czy to przekonani przez argumenty Threla, czy też, co bardziej prawdopodobne, stali się wspaniałomyślni, a cnota ta rozkwitła z dojrzałego miodu Narla jak jakiś piękny kwiat. Bez względu na powody, opór tych, którzy opowiadali się przeciw jednoroźcowi, osłabł i gdy doszło do głosowania, oświadczone, że Orion zabił jednoroźca, którego upolował poza naszym światem.

I z tego uradowali się wszyscy: albowiem ujrzeli w końcu magię, za którą tęsknili i dla której układali plany przed tak wielu laty, kiedy wszyscy byli młodszy i pokładali więcej nadziei w swoich zamierzeniach. I zaraz po zakończeniu głosowania Narl przyniósł więcej miodu pitnego i wszyscy znowu się napili dla uczczenia tego szczęśliwego wydarzenia: albowiem, stwierdzili, magia w końcu obudziła się w Orionie i teraz na pewno Erl czeka wspaniała przyszłość. Ciepłe, podłużnie pomieszczenie, świece, przyjazne towarzystwo i pociecha, jaką dawał miód, sprawiły, że radni mogli teraz łatwiej spojrzeć w niedaleką przyszłość: na rok, który jeszcze nie nadszedł, i widzieć przyszłą sławę i chwałę Erlu. I znowu opowiadali sobie o tych, bliższych teraz dniach, kiedy dalekie kraje usłyszą o ich ukochanej dolinie: o sławie Erlu, która będzie rozprzestrzeniać się z miasta do miasta. Jeden chwalił zamek Erlu, drugi wielką, wysoką wyżynę i wzgórze, trzeci samą dolinę ukrytą przed resztą świata, czwarty ukochane, urokliwe domy zbudowane przez jakiś dawniejszy lud, piąty gęstą puszcza mającą na horyzoncie, a wszyscy mówili o czasie, kiedy wielki świat usłyszy o tym wszystkim dzięki magii Oriona. Wiedzieli bowiem, że ludzie na całym świecie chętnie słuchają o czarach i zawsze zwracają się ku cudom i dziwom nawet wtedy, gdy są one w zaniku. Podnosząc głos, chwalili magię, znów opowiadali o jednoroźcu, radowali się przyszłą sławą Erlu, gdy nagle w drzwiach stanął miejscowy ksiądz. Miał na sobie długą, białą szatę z liliową lamówką, majaczył na tle mroku. Kiedy spojrzeli nań w blasku świec, zauważyli, że nosi na szyi na złotym łańcuchu medalion z jakimś symbolem. Narl powitał go, ktoś podsunął mu krzesło; ale kapłan słyszał, jak rozmawiali o jednoroźcu. Podniósł głos, nie ruszając się z miejsca, i zwrócił do nich:

— Niech przeklęte będą jednoroźce! — powiedział — i wszystkie ich zwyczaje, i wszystko, co ma związek z czarami!

W kuźni zadowolenie ustąpiło miejsca zdumieniu i lękowi. Ktoś zawołał:

— Panie! Nie przeklinaj nas!

— Dobry kapłanie — odezwał się Narl — my nie polowaliśmy na jednoroźca.

Ale kapłan podniósł ręce i jeszcze raz przeklął jednorożce.

— Niech będą przeklęte ich rogi! — zawołał. — I miejsce, gdzie mieszkają, i lilie, którymi się żywią! Niech będą przeklęte wszystkie pieśni, które je opiewają. Niech będą przeklęte ostatecznie wraz ze wszystkim, co nie zostanie zbawione!

Przerwał, by umożliwić im wyrzeczenie się jednorożców, nadal stojąc w drzwiach i wodząc surowym spojrzeniem po obecnych.

A oni pomyśleli o połysku sierści jednorożca, o jego szybkości, o gracji jego szyi, i o jego niewyraźnej, pięknej sylwetce, gdy przebiegł przez Erl tamtego wieczoru. Przypomnieli sobie jego mocny i groźny róg; przywołali w pamięci dawne pieśni, które o nim opowiadały. Siedzieli w pełnym zażenowania milczeniu i nie chcieli wyrzec się jednorożca.

I kapłan zrozumiał, o czym myśleli, i znowu podniósł rękę, wyraźnie widoczny w blasku świec na tle nocnych ciemności poza nim.

— Niech będzie przeklęta ich szybkość! I ich lśniąca biała sierść! Niech będzie przeklęte ich piękno i wszystko, co mają w sobie magicznego! Niech będzie przeklęte wszystko, co kroczy nad zaczarowanymi strumieniami! — mówił dalej.

A mimo to ujrzał w ich oczach miłość do tego wszystkiego, czego im zabronił, i dlatego jeszcze nie skończył. Kontynuował jeszcze głośniej, patrząc surowo na zmieszanie malujące się na ich twarzach.

— Niech będą przeklęte trolle, elfy, gobliny i duszki na ziemi, hipogryfy i pegaz w powietrzu, i plemiona wodników w morzu. Nasze święte obrzędy odtrącają ich. I niech przeklęte będą wszelkie wątpliwości, wszelkie niezwykle sny, wszystkie fantazje. I oby wszyscy wierni chrześcijanie odwrócili się od magii! Amen.

Potem odwrócił się nagle i zniknął w nocy. Wiatr wpadł we drzwi, a potem je zatrzasnął. I pomieszczenie w kuźni Narla wyglądało tak samo jak kilka chwil przedtem, choć pogodny nastrój gdzieś znikł. A potem Narl wstał u szczytu stołu i przerwał ponure milczenie.

— Czy po to układaliśmy nasze plany tak dawno i pokładaliśmy naszą nadzieję w magii, żebyśmy teraz mieli wyrzec się jej, wykląć naszych sąsiadów, nieszkodliwych mieszkańców krainy poza naszym światem, pięknych stworzeń z powietrza oraz ukochanych zmarłych marynarzy przebywających na dnie morza? — powiedział z mocą.

— Nie, nie — odparli niektórzy.

I ponownie napili się miodu.

A potem jeden z nich wstał, trzymając w górze róg z miodem, później zaś jeszcze jeden i drugi, aż wszyscy stanęli wokół stołu w blasku świec.

— Magia! — zawołał któryś.

A pozostali podchwycili ten okrzyk, wołając chórem: — Magia!

Kapłan w drodze do domu usłyszał to wołanie. Otulił się ciaśniej swoją świętą szatą i mocniej ścisnął święte przedmioty, a potem wypowiedział zaklęcie, które miało go chronić przed nieoczekiwanym atakiem demonów i innych wątpliwych stworów z nocnej mgły.

## XXI

### NA KRAŃCU ZIEMI

Tego dnia Orion pozwolił odpoczywać swoim psom. Lecz następnego dnia, w jasny poranek, wstał wcześniej, poszedł do psiarni, wypuścił psy, wyprowadził je z doliny i ponownie powiódł poprzez wzgórza w stronę granicy zmierzchu. Już nie wziął swego łuku, tylko miecz i bicz. Albowiem bardzo spodobała mu się radość piętnastu psów, kiedy polowały na jednorogiego potwora, i zdał sobie sprawę, że cieszył się wraz z każdym z nich. Natomiast zabicie jednorożca strzałą byłoby tylko jednorazową radością.

Przez cały dzień chodził po okolicy to tu, to tam, witając jakiegoś gospodarza w zagrodzie lub na polu i w odpowiedzi otrzymując pozdrowienia i życzenia pomyślnych łowów. Ale gdy nadszedł wieczór i młody książę zbliżył się do granicy zmierzchu, coraz mniej spotkanych Erlan go pozdrawiało, gdyż wyraźnie wędrował tam, gdzie nikt się nie zapuszczał, od czego nawet odwracali swoje myśli. Dlatego Orion szedł samotnie, choć weseliły go jego własne myśli i poczucie bliskości z psami. A on sam, jak i jego psy, myślał tylko o polowaniu na jednorożca.

I w ten sposób dotarł znów do zapory zmierzchu, w której zanurzały się żywopłoty z ziemskich pól, stając się dziwne i niewyraźne w poświęcie nie pochodzącej z naszego świata, i znikwały w półmroku granicy Krainy Elfów. Orion stał, trzymając psy blisko siebie, przy jednym z tych żywopłotów dokładnie tam, gdzie dotykał on tej granicy.

Światło padające tylko na ten żywoplot, jeśli w ogóle podobne do czegokolwiek z naszej Ziemi, wyglądało jak połyskujący na jego szczycie mglisty półmrok, gdy dotknie go tęcza. Ale na niebie tęcza jest jasna i czysta, a tu z odległości jednego szerokiego ziemskiego pola skrawek tej tęczy ledwie był widoczny. W każdym razie widać było, że jakieś niebiańskie dziwo dotknęło i zmieniło ten żywoplot. W niektórych żywoplotach takie niesamowite światło oblewało ostatnie głogi, które rosły na granicy naszego świata. A tuż za nimi, jak płynny opal, pełen wędrujących światełek, leżała zaporą, przez którą żaden człowiek nie mógł nic zobaczyć, a spoza niej docierało tylko granie elfowych rogów, i to jedynie do uszu bardzo nielicznych mieszkańców Ziemi. Rogi te grały teraz, przesywając tę granicę z przyćmionego światła i ciszy metalicznym rezonansem srebrzystych tonów, które zdawały się uderzać w uszy Oriona niczym we wszystko, co chciałyby odegnać, podobnie jak promienie słoneczne uderzają w eter, aby oświetlić księżycowe doliny.

Rogi zamilkły i żaden dźwięk nie docierał już z Krainy Elfów. Teraz słycać było tylko odgłosy ziemskiego wieczoru. Nawet one przycichły, a mimo to jednorożce nie nadeszły.

Jakiś pies zaszczekał w oddali; samotny wóz, jedyna rzecz wydająca dźwięki na pustej drodze, skrzypiąc, jechał powoli do domu; ktoś powiedział coś na jakiejś dróżce, a potem wszystko ucichło, gdyż wydawało się, że słowa przeszkadzają głębokiej ciszy, która zapadła nad wszystkimi naszymi polami. I w tej ciszy Orion patrzył na granicę zmierzchu, czekając na jednorożce, które wcale nie przyszły, choć spodziewał się, że w każdej chwili wynurzą się z półmroku zapory między światami. Postąpił nierozsądnie, przychodząc w to samo miejsce, gdzie zaledwie przed dwoma dniami znalazł pięć jednorożców. Albowiem jednorożce są najostrożniejsze ze wszystkich zwierząt, chroniąc się przed ludzkimi oczami z nigdy nieustającą czujnością. Przebywając cały dzień poza naszym światem, wchodzą tam rzadko tylko wieczorami, kiedy panuje spokój, z największą czujnością i prawie nie zapuszczając się poza jego skraj. Orion mylił się, sądząc, że dwukrotnie trafi na te zwierzęta w odstępie dwóch dni na tym samym miejscu, gdzie polował na nie z psami i zabił jedno z nich. Ale jego serce przepelniał triumf z udanego polowania i tamta scena zwabiła go z powrotem, podobnie jak takie sceny w przeszłości. Teraz zaś wpatrywał się w granicę zmierzchu, czekając, aż wyjdzie z niej jedno z tych wielkich stworzeń, namacalny kształt wynurzy się z przyćmionego blasku. Lecz żaden jednorożec nie przyszedł.

Kiedy stał tam, patrząc na tę niezwykłą granicę tak długo, skupił na niej myśli, aż jeły wędrować wraz z tajemniczymi światełkami, i zapragnął ujrzeć szczyty Krainy Elfów. A Erlanie mieszkający wzdłuż skraju naszego świata dobrze znali tę pokusę i przezornie zawsze odwracali oczy od tego dziwu, który leżał tak blisko ich domów. Granica ta miała bowiem w sobie takie piękno, jakiego nie ma w całym naszym świecie, a tym rolnikom opowiadano w młodości, że jeśli spojrzą na te wędrujące światełka, utracą wszelką radość z tego, co widzą na naszych polach, piękne, brązowe skiby czy fale pszenicy i wszystko inne. Ich serca zapragną tylko cudów Krainy Elfów, tęskniąc zawsze za nieznanymi górami i ludem niepobłogosławionym przez chrześcijańskiego kapłana.

I kiedy Orion stał tak, gdy ziemski wieczór gasł, na samym skraju magicznego zmierzchu, szybko zapomniał o wszystkim, co ziemskie, i nagle zapragnął tylko tego, co pochodziło z ojczyzny jego matki. Ze wszystkich ludzi, których dotąd znał, przypomniał sobie tylko swoją matkę. I nagle zrozumiał, jakby powiedział mu to ten czarodziejski zmierzch, że władała ona magią, i że on sam pochodzi z rodu czarodziejów. Nikt mu dotąd tego nie wyjawiał, ale dowiedział się o tym teraz.

Od lat przez wiele wieczorów zastanawiał się i zgadywał, dokąd odeszła jego matka: domyślał się w milczeniu i nikt nie wiedział, o czym to dziecko rozmyśla: a teraz odpowiedź na to dręczące od lat pytanie zdawała się wisieć w powietrzu. Miał wrażenie, że Lirazel znajduje się w niewielkiej odległości po drugiej stronie zaklętego zmierzchu, który oddzielał pobliskie gospodarstwa od Krainy Elfów. Zrobił trzy kroki i dotarł do tej granicy między światami; jego stopa stała najdalej jak to możliwe na ziemskich polach: naprzeciw jego twarzy czarodziejska zapora leżała niby mgła, w której dostojnie tańczyły wszystkie barwy pereł. Jakiś pies poruszył się, gdy Orion zbliżył się do granicy zmierzchu, cała sfora odwróciła głowy i przyjrzała się swemu panu. Orion zatrzymał się i psy znowu się odprężyły. Próbował dostrzec coś przez mglistą przeszkodę, ale ujrzał tylko wędrujące światełka. Światełka te powstały ze zgromadzonych zmierzchów tysięcy dni, zachowanych z pomocą czarów, aby zbudować tutaj tę granicę. Potem zawołał matkę poprzez tę potężną barierę nielicznych zmierzchów ocalonych dzięki magii. Sam znajdował się z jednej strony Ziemi, w świecie ludzi i we władzy czasu, który mierzymy w minutach, godzinach i latach, a z drugiej była Kraina Elfów, gdzie czas płynął inaczej. Zawołał Lirazel dwukrotnie, nasłuchiwał, po czym znowu zawołał, ale żaden okrzyk czy szept nie dotarł do niego z

ojczyzny magii. Poczul wtedy ogrom przepaści, która oddzielała go od matki. Zrozumiał też, że ta przepaść jest gigantyczna, ciemna i potężna, jak ta, która oddzieliła nasze czasy od minionych dni, jak walka między codziennym życiem a snem, między ludźmi uprawiającymi ziemię a bohaterami z pieśni, lub między żywymi a tymi, których oni oplakują. A zaporą ta migotała, iskrzyła się, jakby była tak zwiewna, że nigdy nie odgradzała minionych lat od przemijającej godziny, którą ludzie nazywają „teraz”.

Stał tam wśród dobiegających z tyłu cichych odgłosów późnego ziemskiego wieczoru i w stonowanym świetle ziemskiego zmierzchu; a przed nim, blisko jego twarzy, rozciągała się absolutna cisza Krainy Elfów i zaporą, która tworzyła tę ciszę, połyskująca, dziwnie piękna. Teraz już nie myślał o ziemskich sprawach, lecz tylko spoglądał na granicę zmierzchu, jak prorocy zajmujący się zakazaną wiedzą wpatrują w zamglone kryształy. I światełka zbudowanej ze zmierzchów bariery wabiły i kusily wszystko, co było elfowe w krwi Oriona, wszystko magiczne, co odziedziczył po Lirazel. Pomyślał o swojej matce przebywającej w luksusie i samotności poza zasięgiem Czasu, pomyślał o cudach Krainy Elfów, które niejasno znał dzięki wspomnieniom o matce z dzieciennych lat. Nie zwracał już uwagi ani nie słyszał cichych odgłosów ziemskiego wieczoru. Wraz z nimi zapomniał o zwyczajach i potrzebach ludzi, o ich planach, o pracy i nadziejach, i wszystkich drobiazgach, które zdobywają dzięki cierpliwości. Otrzymała dopiero co wiedza, zdobyta przy tej lśniącej granicy między światami, że pochodzi z rodu czarodziejów, sprawiła, iż zapragnął natychmiast wyrwać się spod władzy czasu, opuścić ziemię, które podlegały czasowi i które czas dręczył jak okrutny tyran. Wystarczy, że zrobi pięć kroków, a wejdzie do beczasowej krainy, gdzie jego matka siedziała ze swoim ojcem, który rządził ojczyzną magii ze swego utkanego z mgły tronu w oszałamiająco pięknej sali, tak pięknej, iż mogła opiewać ją tylko pieśń. Erl już nie był jego ojczyzną, zwyczaje ludzi —jego zwyczajami, już nigdy więcej jego noga nie postanie w ich świecie! Teraz szczyty Elfowych Gór stały się dla niego tym, czym są przyjazne szczyty krytych strzechą chat dla zmęczonych pracą mieszkańców Ziemi; te bajeczne, nieziemskie góry były ojczyzną Oriona. W ten sposób zaporą zmierzchu, na którą zbyt długo patrzył, rzuciła na niego czar. Albowiem było w niej znacznie więcej magii niż w najpiękniejszym ziemskim wieczorze.

Są tacy ludzie, którzy mogli długo patrzeć na granicę zmierzchu, a mimo to odwrócić się i odejść. Lecz Orionowi nie było łatwo. Chociaż magia ma moc

zaczarowania ziemskich istot, które reagują na nią niełatwo i powoli, wszystko, co było czarodziejskie i elfowe w krwi syna Lirazel, natychmiast zareagowało na czary fortyfikacji Krainy Elfów. Magia ta była stworzona z najrzadszych światelek, które wędrują w powietrzu, z najpiękniejszych błysków słońca, które zdumiewają nasz świat podczas burzy, mgieł nad strumyków, poświaty kwiatów w blasku księżyca, wszystkich końców tęczy z całą ich pięknnością i urokiem, i strzepów wieczornych zmierzchów długo cenionych w pamięci starców. Orion wszedł w ten czar, aby skończyć ze wszystkim, co ziemskie. Gdy jednak dotknął stopą zapory zmierzchu, jakiś pies, który siedział za nim pod żywoplotem, tak długo powstrzymywany od pościgu, przeciągnął się lekko i wydał cichy odgłos zniecierpliwienia, który najbardziej przypomina ludzkie ziewnięcie. Orion z przyzwyczajenia odwrócił głowę, zobaczył tego psa, podszedł do niego na chwilę, poklepał go i chciał się z nim pożegnać, ale wtedy wszystkie psy otoczyły go ciasnym kręgiem, szturchając nosami w ręce i patrząc mu w twarz. Stojąc tak między gotowymi do łowów psami, Orion, który przed chwilą marzył o bajecznej krainie, unosił się nad nią w myślach i wspinał na zaczarowane szczyty Elfowych Gór, nagle przypomniał sobie o swoim ziemskim dziedzictwie. Nie znaczy to, że bardziej pragnął polować niż znaleźć się wraz z matką poza zasięgiem czasu, w królestwie jej ojca piękniejszym niż jakikolwiek opis w pieśni. Nie znaczy to, że kochał swoje psy tak bardzo, iż nie mógł ich opuścić. Ale jego przodkowie polowali przez wieki na grubą zwierzynę, tak jak ród jego matki uprawiał magię poza czasem. Zew magii był silny, póki młody książę patrzył na zaklętą granicę, lecz dziedzictwo jego starego, ziemskiego rodu okazało się równie mocne, by zachęcić go do polowania. Piękna magiczna zapora zwróciła jego pragnienia ku Krainie Elfów, ale w następnej chwili sfera skierowała je w inną stronę: każdemu z nas trudno jest uniknąć wpływu otoczenia.

Przez chwilę Orion stał wśród swoich psów, zastanawiając się, w którą stronę skrócić, starając się porównać przyjemne, beczasowe stulecia, które mijały nad spokojnymi łąkami ojczyzny magii, i niespotykane piękno Krainy Elfów z porządnie zaoraną brunatną ziemią, pastwiskami i wyznaczającymi granice ziemskich pól żywoplotami. Lecz psy otaczały go, szturchając nosami, skowycząc, patrząc mu w oczy, przemawiając do niego tak, jak potrafią mówić z pomocą ogonów, łap i dużych brązowych oczu: „Chodźmy stąd! Chodźmy stąd!” Rozmyślanie wśród takiego harmidru było niemożliwe. Orion nie mógł się zdecydować, psy zwyciężyły i poszli

razem do zamku przez ziemskie pola.

## XXII

### ORION SZUKA POMOCNIKA-ŁOWCZEGO

I jeszcze wiele razy tej zimy Orion wracał z psami do tej cudownej granicy i czekał tam, gdy ziemski zmierzch ustępował miejsca nocy. Czasami widywał, jak jednorożce przechodziły przez czarodziejską zaporę, sprytnie, cicho, kiedy nasze pola pokrywał biały kobierzec śniegu. Lecz już nie przyniósł do zamku więcej rogów, gdyż jednorożce, gdy przychodziły do naszego świata, oddalały się od granicy Krainy Elfów zaledwie o kilka kroków i młody książę nie mógł już ponownie oddzielić któregoś z nich od reszty. Pewnego razu, kiedy tego spróbował, omal nie utracił wszystkich psów, gdyż część z nich znalazła się już we wnętrzu granicy zmierzchu; uderzeniami bicia ledwo zmusił je do powrotu. Jeszcze dwa metry i nigdy by nie usłyszały grania jego ziemskiego rogu. Nauczyło go to, że pomimo wielkiej władzy, jaką miał nad swoją sforą, nawet jeśli było w niej coś magicznego, sam jeden bez pomocy nie może polować z psami tak blisko granicy zaklętej krainy, gdyż jeśli choć jeden się tam zapędzi, straci go na zawsze.

Po tym wydarzeniu Orion obserwował chłopców bawiących się wieczorami, aż zauważył trzech, którzy szybkością i siłą zdawali się przewyższać pozostałych; dwóch z nich wybrał na łowczych-pomocników. Po skończonych zabawach poszedł do chaty jednego z nich, gdy dopiero co zapalono świece, wysokiego młodzika o bardzo szybkich ruchach. Chłopak i jego matka byli tam. Oboje wstali, gdy ojciec rodziny otworzył drzwi i książę wszedł do środka. Orion wesoło zapytał młodzika, czy zechce chodzić z jego psami i nosić bicz, by uniemożliwić któremuś z nich odłączenie się od sfory. Zapadło głucho milczenie. Wszyscy wiedzieli, że Orion polował na dziwne zwierzęta i że zabierał swoje psy do dziwnych miejsc. Nikt z Erlan nigdy nie opuścił naszych ziem. Chłopiec bał się oddalić poza nasz świat. Jego rodzice też byli przeciwni propozycji księcia. Wreszcie przeprosiny i mamrotane pod nosem wyjaśnienia przerwały ciszę. Orion zorientował się, że chłopiec nie będzie mu towarzyszyć.

Potem poszedł do chaty drugiego wybrańca. Tam również paliły się świece i stół

był nakryty. Orion zobaczył dwie stare kobiety i chłopca jedzących kolację. Im również powiedział, że potrzebuje pomocnika-łowczego i poprosił podrostka, żeby przyjął tę funkcję. W tym domu strach był jeszcze bardziej widoczny. Obie stare kobiety zawołały, że chłopiec jest za młody, że nie może biegać tak dobrze jakby sądzić i że psy nigdy mu nie zaufają. Powiedziały znacznie więcej, aż w końcu zaczęły mówić bez ładu i składu. Orion zostawił ich i udał się do chaty trzeciego chłopca. Tam sytuacja była identyczna. Wprawdzie członkowie rady pragnęli magii dla Erlu, ale samo jej dotknięcie lub nawet myśl o niej niepokoiły ich ziomków. Nikt nie chciał pozwolić synowi pójść nie wiadomo dokąd, mieć do czynienia ze stworami, które płotka, niczym wielki, złowrogi cień, tak ponuro przedstawiła w wiosce Erl. Dlatego Orion chodził na łowy sam ze swymi psami, gdy zabierał je z doliny i szedł na wschód, tam gdzie jego poddani nie chcieli się zapuszczać.

Był koniec marca i Orion spał w swojej wieży, kiedy wczesnym rankiem obudziło go dochodzące z dołu wołanie pawi, ostre i głośne. Dołączyło do nich beczenie owiec ze wzgórz oraz donośne pianie kogutów, gdyż w przejrzystym powietrzu czuć już było wiosnę. Młody książę poszedł do swoich psów i niebawem wieśniacy, którzy wcześniej wstali do pracy, zobaczyli go idącego w górę stromego zbocza doliny z całą sforą w tyle, brązowe plamki na tle zieleni. W ten sposób przeszedł przez znane nam pola. A kiedy słońce zaszło, dotarł do tego pasa ziemi, od którego odwracali się wszyscy ludzie, gdzie na zachodzie stały erlańskie chaty wśród zaoranych pól z tłustej, brązowej gliny, a na wschodzie Elfowe Góry jaśniały nad granicą zmierzchu.

Orion szedł z psami wzdłuż ostatniego żywoplotu, ku magicznej zaporze. I kiedy tylko tam dotarł, ujrzał lisa, który całkiem blisko wyslizgnął się ze zmierzchu między Ziemią a Krainą Elfów, przebiegł kilka metrów brzegiem naszych pól, a potem zniknął w opalizującej granicy między światami. Oriona to nie zdziwiło, gdyż lisy mają zwyczaj nawiedzać granicę Krainy Elfów, a potem wracać do naszego świata: udają się tam po to tylko, aby przynieść nam coś, czego nikt z naszych mieszczuchów nie odgadnie. Lecz niebawem lis znowu wymknął się z magicznej bariery, przebiegł kawałek i ponownie do niej wrócił. Wtedy Orion zaczął obserwować lisa, aby zorientować się, co też on robi. Podczas gdy zwierzę ponownie pojawiło się na znanych nam polach i cofnęło w półmrok. A psy również przyglądały się lisowi i najwyraźniej nie chciały nań zapolować, gdyż już skosztowały krwi baśniowej istoty.

Orion ruszył skrajem granicy zmierzchu w stronę, w którą pobiegł lis, coraz

bardziej zaciekawiony, widząc, że zwierzę raz po raz powtarza tę samą czynność. Psy poszły za nim powoli i niebawem przestały się interesować tym, co robił lis. A wtedy nagle wszystko się wyjaśniło, gdyż Lurulu niespodziewanie prześlizgnął się przez magiczną zaporę i zjawił się w naszym świecie: tajemniczy lis bawił się z tym trollem.

— Jakiś człowiek — powiedział głośno Lurulu do siebie lub do swojego towarzysza lisa w języku trolli.

A Orion zaraz przypomniał sobie trolla, który przyszedł do jego komnaty dziecinnej z amuletem przeciw upływowi czasu, skakał z półki na półkę i fikał kozły pod sufitem. W końcu ten zabawny troll rozgniewał Ziroonderel, która złąkała się o zastawę stołową.

— To ten troll! — odpowiedział Orion w mowie trolli, gdyż matka szeptem nauczyła go tego, gdy był dzieckiem, kiedy opowiadała mu o trollach i o ich pradawnych pieśniach.

— Coś ty za jeden, że znasz mowę trolli? — zapytał Lurulu.

Orion powiedział mu, jak ma na imię, które nic nie znaczyło dla trolla. Lecz mimo to Lurulu przykucnął i poszukał myślą w tym, co u trolla pełni rolę pamięci. Wracając do mnóstwa błahych wspomnień, które uniknęły zniszczenia w naszym świecie i apatii niezmienności czasu w Krainie Elfów, zaraz natrafił na reminiscencję swego pobytu w Erlu, znowu spojrzął na Oriona i zaczął się zastanawiać. W tej samej chwili Orion podał trollowi imię swej czcigodnej matki. Wówczas Lurulu wykonał to, co wśród trolli w Krainie Czarów znane jest jako pięciopunktowy pokłon, to znaczy dotknął ziemi kolanami, rękami i czołem. Potem znów podskoczył wysoko w górę, gdyż nie umiał długo okazywać czci.

— Co tu robisz, w świecie ludzi? — zapytał Orion.

— Bawię się — odparł Lurulu.

— A co robisz w Krainie Elfów?

— Obserwuję czas — wyjaśnił troll.

— Mnie wcale by to nie bawiło — mruknął Orion.

— Ty nigdy tego nie robiłeś — odrzekł Lurulu. — Nie można obserwować czasu w świecie ludzi.

— Dlaczego nie? — pytał dalej Orion.

— Płynie za szybko.

Orion zastanawiał się nad tym jakiś czas, ale nie mógł zrozumieć słów trolla, gdyż

nigdy nie opuściwszy świata ludzi, znał tylko jedną szybkość czasu i nie miał możliwości porównania.

— Ile lat upłynęło dla ciebie, odkąd rozmawialiśmy w Erlu? — zapytał troll.

— Lat? — powtórzył Orion.

— Sto? — domyślił się Lurulu.

— Prawie dwanaście — wyjaśnił Orion. — A dla ciebie?

— Dla mnie to wciąż jest dzisiaj — odparł troll.

Orion nie chciał już więcej rozmawiać o czasie, bo nie obchodziła go dyskusja o czymś, o czym, jak się zdawało, wiedział mniej niż zwykły troll.

— A czy poniesiesz bicz i pobiegiesz z moimi psami, kiedy zapolujemy na jednorożca w świecie ludzi?

Lurulu spojrział badawczo na psy, obserwując ich brązowe oczy; psy z powątpiewaniem zwróciły nosy w stronę trolla, węsząc pytająco.

— To są przecież psy — odrzekł troll, jakby był przeciwko nim. — A jednak mają miłe myśli...

— Więc poniesiesz mój bicz — stwierdził Orion.

— Nno, tak. Tak — potwierdził troll.

A Orion podał mu bicz, potem zadał w róg, oddalił się od granicy zmierzchu i powiedział Lurulu, żeby trzymał psy w gromadzie i poganiał je za nim. Psy zaniepokoił wygląd trolla, więc węszyły kilkakrotnie, lecz nie mogły uznać go za człowieka i nie chciały słuchać stworzenia nie większego od nich. Podbiegły do niego z ciekawości, po czym odskoczyły z niesmakiem i wlokły się, okazując nieposłuszeństwo. Ale dzięki nieskończonej pomysłowości zręcznego trolla nie mogły tak łatwo popsuć mu szyków. Lurulu podniósł nagle bicz, który w jego małej dłoni wyglądał na trzykrotnie większy niż w rzeczywistości, po czym uderzył jakiegoś psa w nos. Pies zawył ze zdumioną miną, a reszta sfory nadal zachowywała się niespokojnie: musiały uznać to za przypadek. Lecz bicz znowu pomknął do przodu i smagnął czubek nosa innego psa. Wtedy psy zauważyły, że to nie przypadek kieruje tymi bolesnymi uderzeniami, lecz niezwykle celne oko. I od tego czasu szanowały Lurulu, chociaż nigdy nie pachniał jak człowiek.

I tak Orion wraz ze swoją sforą ruszyli późnym wieczorem do zamku, a żaden owczarek nie pilnował owiec na nawiedzonym przez wilki bezleśnym terenie lepiej i sprawniej niż Lurulu psów syna Alweryka: szybko znajdował się na jednym lub drugim

skrzydle albo z tyłu, gdzie akurat spóźniał się jakiś maruder; mógł też przeskoczyć ponad stadem z jednego boku na drugi. Zaś jasnoniebieskie Elfowe Góry zniknęły im z oczu, zanim Orion oddalił się od granicy zmierzchu tylko o sto kroków, gdyż ich szczyty ukrył ziemski mrok, który coraz szerzej otulał nasz świat.

Tak zmierzali do Zamku Erl i wkrótce rozjarzyło się nad nimi mnóstwo wędrujących gwiazd, które można dostrzec z Ziemi. Lurulu od czasu do czasu podnosił oczy, by je podziwiać tak, jak my, ludzie, zawsze robiliśmy to w którejś chwili; lecz przeważnie skupiał uwagę na psach, gdyż teraz, gdy znalazł się w świecie ludzi, obchodziły go ziemskie sprawy. I zawsze każdy pies, który marudził, poczuł dotknięcie bicia Lurulu niczym miniaturowy wybuch, zwykle na czubku ogona, rozsiewając nieco kurzu z fragmentów sierści i rzemienia bata; taki pies skomlał i doganiał pozostałe i cała sfora wiedziała, że jeszcze jeden z tych bezbłędnych ciosów trafił tam, gdzie trzeba.

Pewnie wdzięk w posługiwaniu się biczem, pewność trafienia w cel osiąga się wtedy, kiedy poświęci się życie używaniu go do poskromienia psów; potrzeba do tego, powiedzmy, ze dwadzieścia lat. Od czasu do czasu zdolność ta bywa dziedziczna w rodzinach i to jest lepsze niż wieloletnia praktyka. Lecz ani lata praktyki, ani wrodzone zdolności nie mogą zapewnić tej celności trafień, którą jest w stanie zapewnić tylko jedno, to znaczy czary. Zamach bicia, tak błyskawiczny jak nagle zwrócenie spojrzenia, uderzenie w wybrane miejsce tak bezpośrenie jak wzrok nie pochodziły z Ziemi. I chociaż trask bicia mógł wydawać się mijającym im ludziom niczym więcej niż dziełem ziemskiego łowcy, to prawie wszystkie psy wiedziały, że biczem tym manewruje jakaś pozaziemska istota.

Wczesny świt rozlał się po niebie, kiedy Orion zobaczył znów wioskę Erl, wysyłającą ku niebu słupy dymu z rozpalonych wcześniej ognisk i zszedł ze swymi psami i nowym pomocnikiem-łowczym w dół zbocza doliny. Oświetlone okna domostw mrugały doń, gdy szybko pozostawił za sobą ulicę i dotarł do pustej i wyziębionej psiarni. A kiedy wszystkie psy skuliły się na słomie, młody książę znalazł miejsce dla Lurulu: butwiejący sąsiek z workami i paroma stertami siana: kilka gołębi ze znajdującego się w tyle strychu gołębnika zabłąkało się tam i zamieszkało wśród krokwi. Orion zostawił tam trolla i poszedł do swojej wieży, zmarznięty z braku jedzenia i picia i tak zmęczony, jak nie byłby nawet wtedy, gdyby upolował jakiegoś jednorożca. Choć poprzedniego wieczoru hałaśliwa paplanina trolla, gdy natknął się nań na granicy między światami, uniemożliwiła mu polowanie na te płochliwe zwierzęta.

Orion szybko więc zasnął. Ale troll długo siedział na stercie siana w butwiejącym sąsięku, obserwując upływ czasu. Poprzez szczeliny w starych okiennicach zauważył ruch gwiazd, zobaczył, jak zbladły, doczekał się świtu, wreszcie ujrzał cud wschodu słońca; w panującym na strychu półmroku usłyszał głośnie gruchanie gołębi, obserwował ich niespokojne zachowanie; słyszał dzikie ptaki budzące się na pobliskich wiązach, poranną krzątanicę ludzi, przebudzenie koni i krów, skrzypienie wozów; i wszystko to zmieniało się, w miarę jak mijały minuty i godziny. Ziemia to świat zmian! Deski butwiejące w sąsięku, mech porastający zaprawę murarską na zewnątrz i stare belki próchniejące w oddali, wszystko zdawało się opowiadać tę samą historię. Wszystko się zmienia, nic nie jest trwałe, niewzruszone. Pomyślał o odwiecznym spokoju, który chronił piękno Krainy Elfów. Potem przyszła mu do głowy myśl, co też powiedziałyby o ziemskich zwyczajach plemię trolli, które pozostawił w ojczyźnie magii. I nagle wybuchy śmiechu Lurulu nie na żarty wystraszyły gołębie.

## ***XXIII***

### **LURULU OBSERWUJE NIECIERPLIWOŚĆ ZIEMI**

Mijały godziny, a Orion nadal spał mocno i nawet jego psy leżały cicho w psiarni niedaleko od wieży młodego władcy. Ponieważ krzątanicę ludzi i ruch wozów nie miały nic wspólnego z trollem, Lurulu zaczęła dokuczać samotność. W zamieszkanych przeztrolle zadrzewionych dolinach jest ich tylu, że nikt nie czuje się tam samotny. Siedzą tam w milczeniu, radując się pięknem Krainy Elfów lub własnymi zuchwałymi myślami. A w rzadkich momentach, kiedy głęboki, naturalny spokój ojczyzny magii zostaje naruszony, ich głośny śmiech zalewa te doliny. Trolle nie są bardziej samotne niż króliki. Ale na Ziemi był tylko jeden troll i ten troll poczuł się samotny. Drzwi gołębnika były otwarte i znajdowały się o jakieś trzy metry od drzwi sąsięka i do tego o dwa metry wyżej. Do sąsięka prowadziła drabina, przymocowana żelaznymi klamrami do muru; natomiast nie istniało żadne dojście do gołębnika, żeby koty nie mogły się tam dostać. Z gołębnika docierały odgłosy gwarnej, bujnej życia, które przyciągnęło uwagę samotnego trolla. Skok z drzwi do drzwi był dla niego niczym. Lurulu wylądował więc w gołębniku ze swoim zwyczajnym nastawieniem, a bezczelna,

powitalna mina pojawiła się na jego twarzy. Zaraz jednak gołębie odleciały z szumem skrzydeł przez okno, zaś troll nadal pozostał sam.

Trollowi gołębnik spodobał się od pierwszego spojrzenia. Przypadły mu do gustu oznaki bujnego życia, sto domków z łupku i gipsu, mnóstwo piór i odór stęchlizny. Spodobała mu się wygoda tego starego, sennego przybytku i ogromne pajęczyny w kątach, które gromadziły kurz przez wiele lat. Nie wiedział, czym są pajęczyny, bo nigdy nie widział ich w Krainie Elfów, ale podziwiał ich misterne wzory.

W starym gołębniku o kątach pełnych pajęczyn i kawałków tynku, które odpadły od ścian, odsłaniając czerwone cegły, zaś farba złuszczyła się i odpadła, obnażając nie tylko deszczułki, lecz także łupkowe płytki dachowe, panowała senna atmosfera podobna do spokoju Krainy Elfów. Natomiast poniżej gołębnika Lurulu wszędzie zauważył niecierpliwość Ziemi. Nawet wpadające przez maleńkie okienka w ścianie promienie słoneczne się poruszały.

Potem rozległ się trzepot skrzydeł powracających gołębi i uderzenia ich nóg o łupkowy dach nad gołębnikiem, ale ptaki nadal nie wróciły do swoich domków. Lurulu zobaczył, że cień tego dachu rzuca jeszcze jeden cień na położony niżej dach i niespokojne cienie gołębi wzdłuż jego skraju. Zauważył też szare porosty pokrywające większą część niższego dachu i wyraźne, okrągłe plamy nowszych porostów na bezkształtnej masie szarych. Usłyszał jakąś kaczkę kwaczącą powoli sześć lub siedem razy. Dobiegły go kroki mężczyzny, który wszedł do stajni na dole i wyprowadził z niej konia. Jakiś pies obudził się i zaszczekał. Kilka kawek, spędzonych z którejś wieży, przeleciało wysoko w powietrzu, krzycząc głośno. Potem Lurulu dostrzegł chmury spieszące wzdłuż szczytów dalekich wzgórz. Dobiegło go gruchanie dzikiego gołębia z pobliskiego drzewa. Kilku ludzi przeszło obok, rozmawiając. I po jakimś czasie troll, ku swemu zdumieniu, zauważył coś, na co nie miał czasu podczas poprzednich odwiedzin Erlu, że nawet cienie domów się poruszały; spostrzegł bowiem, że cień dachu, pod którym siedział, przesunął się trochę na niższym dachu, po szarych i zielonych porostach. Ciągły ruch i ciągła zmiana! Ze zdumieniem porównał to z głębokim spokojem swojej ojczyzny, gdzie chwila mijała dłużej niż tutaj przesuwwały się cienie domów, i trwała tak, aż całe zadowolenie, jakim jest napełniona, zostanie zeń wyciągnięte przez wszystkie istoty zamieszkujące Krainę Elfów.

Potem zaś usłyszał przeciągłe wołania i furkot gołębih skrzydeł. Dochodziły ze szczytu blanków najwyższej wieży Erlu, na której ptaki te schroniły się na jakiś czas.

Uznały bowiem, że ogromna wysokość tej wieży i jej szacowny wiek ochronią je przed tym dziwnym nowym stworem, którego się przestraszyły. Wróciły teraz do gołębnika i usiadły na parapetach niewielkich okienek, zaglądając do środka i zerkając jednym okiem na trolla. Jedne były całkiem białe, ale drugie, szare, miały szyje w barwach tęczy, które niemal dorównywały kolorom wspaniale zdobitym Krainę Czarów. Dlatego Lurulu, który nadal siedział w kącie gołębnika — ptaki zaś cały czas obserwowały go podejrzliwie — zapragnął towarzystwa tych pięknych stworzeń. A kiedy te niespokojne dzieci niespokojnego powietrza i niespokojnej Ziemi nadal nie chciały wejść do środka, troll spróbował uspokoić je niepokojem, do którego, jak wierzył, były przyzwyczajone, tak samo jak wszyscy ludzie, którzy się nim rozkoszowali. Podskoczył nagle do góry, skoczył na zbudowany z płytek łupkowych, zwieszony wysoko na ścianie domek jakiegoś gołębia; przeskoczył pod przeciwległą ścianę, a potem z powrotem na podłogę; ale wtedy znów rozległ się głośny trzepot skrzydeł i gołębie odleciały. Lurulu stopniowo zrozumiał, że ptaki te wołały jednak bezruch.

Ich skrzydła ponownie zafurkotały na dachu gołębnika, nogi zatupały, a pazurki zaszczękały na łupkowych dachówkach, ale płochliwe ptaki nie wróciły na długo do gołębnika. Zaś samotny troll wyjrzał z jednego z małych okienek, obserwując ziemskie zwyczaje. Ujrzał wtedy pliszkę na dachu w dole: przyglądał się jej, póki nie odleciała. Potem dwie jaskółki przyleciały po trochę rozsypanej na ziemi pszenicy; Lurulu również je zauważył. Każda z nich była całkowicie nowym gatunkiem dla trolla, ale przyglądając się im, nie okazał większego zainteresowania, niż my sami okazujemy, jeśli spotykamy jakiś całkiem nieznaną rodzaj ptaka. Kiedy jaskółki odleciały, kaczka znowu zakwakała tak znacząco, że przez kolejne dziesięć minut Lurulu usiłował zrozumieć, co takiego powiedziała, i chociaż później zaprzestał tych wysiłków, gdyż zainteresowało go coś innego, uznał, iż było to coś ważnego. Potem kawki ponownie zleciały w dół, ale ich głosy dźwięczały niepoważnie, więc troll nie poświęcił im wiele uwagi. Co się zaś tyczy siedzących na dachu gołębi, które nie chciały wrócić do gołębnika, to przysłuchiwał się im długo, nie próbując zrozumieć, co mówiły, ale zadowolony ze sposobu, w jaki to robiły; wyczuł bowiem, że opowiedziały mu historię swego życia i że wszystko było w porządku. Wsluchując się w cichą pogawędkę gołębi, Lurulu poczuł, że na Ziemi musi się to dzieć od dawna.

Poza widocznymi z gołębnika dachami wysokie drzewa strzelały ku niebu,

pozbawione liści oprócz wiecznie zielonych dębów, drzewek laurowych, sosen i cisów oraz bluszczu, który piał się po ich pniach. Lecz pąki buków były gotowe się otworzyć, a promienie słońca iskrzyły się i połyskiwały na pąkach i listkach i błyszczały na bluszczu i cisach. Powiał wiaterek i słup dymu podryfował w powietrzu z pobliskiego komina. W oddali troll dostrzegł ogromny szary, kamienny mur otaczający ogród, który cały spał w słońcu; zobaczył też wyraźnie w blasku słońca przelatującego motyla, który na widok ogrodu zanurkował w dół w powietrzu. Następnie Lurulu spostrzegł przechodzące powoli dwa pawie. Ujrzał też cień dachów zaciemniający dolną część połyskujących w słońcu drzew. Usłyszał gdzieś pianie koguta, a potem jakiś pies zaszczekał raz i drugi. Kiedy zaś nagle lunął deszcz, gołębie zerwały się i natychmiast chciały wrócić do gołębnika. Znowu usiadły na zewnątrz małych okienek i wszystkie spojrzały z ukosa na trolla. Tym razem Lurulu siedział bardzo spokojnie i po jakimś czasie gołębie, chociaż zobaczyły, że na pewno nie był jednym z nich, zgodziły się, iż nie należał do kociego rodu. Wróciły zatem na uliczkę między ich maleńkimi domkami i dalej powtarzały swoją odwieczną opowieść. Lurulu zapragnął odpłacić im ciekawymi historiami o trollach, cenionymi legendami o Krainie Elfów, ale przekonał się, że nie może sprawić, by zrozumiały jego język. Dlatego siedział dalej i przysłuchiwał się ich rozmowie, aż wydało mu się, iż usiłują uspokoić niespokojną Ziemię, i pomyślał, że z pomocą takiego usypiającego zaklęcia rzucają jakiś czar przeciwko czasowi, aby nie mógł przybyć i wyrządzić szkody ich gniazdom. Albowiem nie znał jeszcze dobrze potęgi czasu i nie wiedział, że nic na Ziemi nie ma dość sił, by mu się oprzeć. Te gołębie gniazda były zbudowane na resztkach starych gniazd, na grubej warstwie pokruszonych ścianek, które czas zniszczył w tym gołębniku, tak jak na zewnątrz poszczególne warstwy we wnętrzu wzgórz powstały ze szczątków ich poprzedników. Troll nie rozumiał jeszcze tak ogromnego i nieprzerwanego zniszczenia, gdyż jego bystry umysł miał tylko kierować nim w odwiecznym, sennym spokoju Krainy Elfów. Zajął się więc drobniejszymi sprawami. Widząc, że obecnie gołębie sprawiają wrażenie przyjaznych, skoczył z powrotem do sąsięka i wrócił z kopką siana, którą ułożył w kącie, aby było mu tam wygodnie. Kiedy gołębie zauważyły jego zachowanie, znowu spojrzały nań z ukosa, dziwnie poruszając szyjami, ale w końcu postanowiły uznać trolla za lokatora. Lurulu zwinął się w kłębek na sianie i przysłuchiwał się historii Ziemi, o której, jak sądził, opowiadały gołębie, chociaż nie znał ich języka.

Lecz dzień mijał i troll poczuł głód, znacznie wcześniej niż kiedykolwiek zdarzało

mu się to w Krainie Elfów, gdzie nawet kiedy był głodny, wystarczyło, że zerwał jagody, które zwisały nisko z drzew rosnących w lesie okalającym doliny trollów. I właśnie dlatego, żetrolle jedzą je, kiedy odczuwają głód, co zdarza się rzadko, te ciekawe

owoce zwane są trollowymi jagodami. Lurulu wyskoczył z gołębnika i potruchtał na dziedziniec, wypatrując wokoło trollowych jagód. Lecz nigdzie ich nie zobaczył, gdyż nie był to sezon na jagody, jak dobrze nam wiadomo; to jedna ze sztuczek czasu. Ale sam fakt, że wszystkie jagody na Ziemi musiały zniknąć na jakiś czas, zbyt zdumiał trolla, aby mógł w ogóle to zrozumieć. Znalazł się między zabudowaniami gospodarskimi i wreszcie zobaczył szczura przechodzącego powoli przez ciemną szopę. Lurulu nic nie wiedział o szczurzej mowie. Ale, co ciekawe, kiedy jakieś dwie istoty szukają tego samego, każda z nich od razu wie, czego ta druga chce, skoro tylko ją zobaczy. Jesteśmy częściowo ślepi na zajęcia innych istot, ale gdy spotykamy kogoś zajętego pościgiem, w jakiś sposób zdajemy się wiedzieć, o co mu chodzi, choć nikt nam tego nie powiedział. I w chwili gdy Lurulu zobaczył szczura w szopie, zorientował się, że szczur szuka jedzenia. Poszedł więc za nim cicho. I rzeczywiście, niebawem szczur doszedł do worka z owsem, otworzył go w czasie nie dłuższym niż potrzeba do wyłuskania grochu ze strąka, i jął zajadać się owsem.

— Czy to jest smaczne? — zapytał troll w swoim języku.

Szczur spojrzał na niego z powątpiewaniem, zauważył jego podobieństwo do człowieka, a jednocześnie zaobserwował, że ten przybysz w niczym nie przypomina z wyglądu psów. Ogólnie rzecz biorąc, szczur był jednak niezadowolony z tego spotkania, obrzucił trolla przeciągłym spojrzeniem i w milczeniu wyszedł z szopy. Wtedy to Lurulu zaczął jeść owies i uznał, że jest smaczny.

Kiedy troll miał już dość owsa, wrócił do gołębnika i siedział tam długi czas, wyglądając przez jedno z małych okienek, patrząc ponad dachami na te dziwne, nowe dlań zwyczajne czasu. I cień na drzewach przesunął się do góry, a blask zniknął z drzewek lauowych i wszystkich rosnących niżej liści. A potem blask liści bluszczu i wiecznie zielonych dębów zmienił się ze srebrzystego na bladzielisty. Zaś cień wędrował coraz wyżej. Cały świat wciąż się zmieniał.

Pewien starzec z długą, wąską, białą brodą przyszedł powoli do psiarni, wszedł do środka i nakarmił psy mięsem, które przyniósł z jakiejś szopy. Głośne ujadanie psów przeszło wieczorne powietrze. Potem starzec wyszedł, a jego powolny krok, gdy

odchodził, wydał się uważnemu trollowi jeszcze jednym przejawem niecierpliwości Ziemi.

Później jakiś mężczyzna przyszedł powoli, prowadząc konia do stajni pod gołębnikiem i odszedł, pozostawiając konia jedzącego owies. Cienie znajdowały się teraz wyżej na ścianach oraz dachach zamku i na drzewach. Światło zaś padało tylko na wierzchołki drzew i na czubek wysokiej dzwonnicy. Czerwonawe pąki na wysokich bukach błyszczały teraz jak rubiny. I wielki spokój zapanował na bladym niebie, a leniwie płynące po nim chmurki stały się pomarańczowoczerwone; gawrony przeleciały mimo nich, kierując się na noc do gniazd w jakiejś kępie drzew pod wzgórzami. Była to bardzo spokojna scena. A przecież dla trolla, który obserwował ją w cuchnącym stęchlizną gołębniku wśród piór wielu pokoleń gołębi, wrzask gawronów i ich liczne stado tłoczące się na niebie, przytłumiony, monotony dźwięk wydawany przez konia ciągle jedzącego owies, dobiegający od czasu do czasu odgłos wolnych kroków ludzi zmierzających do domów i zgrzyt powoli zamykanych bram, wszystko to stanowiło dowód na to, że nic nigdy nie odpoczywało w świecie ludzi; a senna, rozleniwiona wioska, która drzemała w Dolinie Erlu i która nie wiedziała więcej o innych krajach niż ich mieszkańcy o jej historii, wydawała się temu prostodusznemu trollowi wirem niecierpliwości.

Teraz też światło słoneczne zniknęło z najwyższych miejsc w Erlu i młody księżyc zaświecił nad gołębnikiem, poza widokiem z okienka Lurulu, ale nadawał powietrzu dziwny, nowy odcień. I wszystkie te zmiany tak oszołomiły trolla, że przez jakiś czas myślał o powrocie do Krainy Elfów, ale przyszła mu chęć zadziwienia innych trolli; i podszyty tym pragnieniem, wymknął się z gołębnika i poszedł odszukać Oriona.

## **XXIV**

### **LURULU MÓWI O ZIEMI I O ZWYCZAJACH LUDZI**

Troll znalazł Oriona w zamku i przedstawił mu swój plan. Krótko mówiąc, chodziło o to, żeby mieć więcej biczy dla sfory. Gdyż samotny pomocnik łowczego nie zawsze mógł upilnować każdego psa od wałęsania się wtedy, gdy udają się nad granicę zmięzchu, gdzie w odległości kilku metrów leżały tereny, z których, jeśli pies

kiedykolwiek wróci do domu, jak czynią to wieczorem zaginione psy, powróci wtedy zmęczony i wycieńczony ze starości po półgodzinie zapuszczenia się do Krainy Elfów. Każdy pies, powiedział Lurulu, powinien mieć swojego trolla, który by nim kierował, biegł razem z nim podczas polowania i służył mu, gdy wróci do domu głodny i zabłocony. A Orion od razu spostrzegł niezrównaną przewagę, jaką zapewni każdy pies kontrolowany przez czujną i inteligentną, choć maleńką istotę, i oświadczył Lurulu, aby poszedł po swoich pobratymców. Dlatego też teraz, kiedy psy spały na podłodze w obu psiarniach, gdyż psy i suki przebywały w oddzielnych pomieszczeniach, Lurulu mknął przez nasz świat w półmroku, drżąc na granicy księżycowej poświaty, z twarzą zwróconą ku Krainie Elfów.

Minął biały dom — siedzibę farmera — z wychodzącym w jego stronę okienkiem, które świeciło jaskrawożółtym światłem na jasno-niebieskiej ścianie z odcieniem nadanym jej przez księżyc. Dwa psy zaszczekały na niego i wypadły, by go pogonić. Lecz ten troll, który każdego innego dnia płatałby im figle i kpiłby z nich, teraz myślał tylko o swojej misji, więc nie poświęcił im więcej uwagi, niż zrobiłby to puch ostu w wietrzny wrześnieowy dzień. Dlatego nadal skakał nad czubkami źdźbeł trawy, aż ścigające go psy znalazły się daleko poza nim i dyszały ciężko.

I na długo, zanim gwiazdy zbladły pod dotknięciem świtu, dotarł do zapory, która dzieli nasze ziemie od ojczyzny takich istot jak on, wyskoczył z ziemskiej nocy, przeskoczył wysoko przez granicę zmierzchu i opadł na kolana na ojczystą ziemię w beczasowym dniu Krainy Elfów. Poprzez wspaniałe piękno gęstego powietrza świecącego jaśniej niż nasze jeziora o wschodzie słońca — a bledną przy nich wszystkie barwy naszego świata — sadził susami, przynosząc nowiny, którymi zamierzał zadziwić swoich pobratymców. Dotarł do wrzosowisk trollów, gdzie przebywały one w swoich dziwacznych domostwach, i skacząc, skrzeczał, udając się do miejsca, gdzie zbierają się trolle. Dotarł do lasu, w którym trolle urządziły swoje siedziby w pniach ogromnych drzew — albowiem istnieją leśne trolle i trolle z wrzosowiska, dwa spokrewnione, przyjaźnie nastawione do siebie plemiona — i tutaj ponownie wyskrzecztał trolle wezwanie. Niebawem w głębi lasu rozległ się szelest kwiatów, jakby wiały wszystkie cztery wiatry. Szelest narastał i nasilał się, aż w końcu pojawiły

się wezwane trolle i jeden za drugim usiadły w pobliżu Lurulu. A mimo to szelest stawał się coraz głośniejszy, niepokojąc cały las, i brązowe trolle wylały się zeń jak

potok i usiadły wokół Lurulu. Fikając koziołki, przybyły z wielu dziupli i zarośniętych paprociami kotlinek oraz z wysokich, cienkich gomaków, jak nazywane są w Krainie Elfów te dziwaczne domostwa, dla których nie ma ziemskiej nazwy. Gomaki to domostwa z dziwnego, szarego, podobnego do tkaniny materiału, rozbitego jak namiot wokół czegoś w rodzaju masztu. Trolle zgromadziły się wokół nowo przybyłego współplemieńca w przyćmionym, lecz połyskliwym świetle — a unosiło się ono między liśćmi tych magicznych drzew, których strzelające ku niebu pnie przewyższały nasze najstarsze sosny, i świeciło na kolcach kaktusów, o których nasz świat ma niewielkie pojęcie. A kiedy wszystkie trolle zgromadziły się tam niczym brązowa masa — aż dno lasu wyglądało tak, jakby jesień przybyła do Krainy Elfów, zabłądziwszy z naszych pól i łąk — gdy wszystkie szelesty ucichły i zapadła cisza tak głęboka, jaką była od wieków, Lurulu przemówił do nich, opowiadając im o czasie.

Nigdy dotąd w Krainie Elfów nie usłyszano takich opowieści. Wprawdzie trolle już przedtem pojawiały się w naszym świecie i wracały z powrotem do ojczyzny magii, zastanawiając się nad tym, co zobaczyły, ale Lurulu wśród domów Erlu znalazł się między ludźmi. A czas, jak opowiedział słuchaczom, poruszał się w tej wiosce z jeszcze wspanialszą szybkością niż kiedykolwiek wśród traw ziemskich pól i łąk. Opowiedział, jak przemieszczało się światło, opowiedział o cieniach, o tym, że powietrze było białe, jasne i blade; zadziwił ich relacją, że na jakiś czas Ziemia zaczęła przypominać Krainę Elfów z łagodniejszym światłem i pojawiającymi się kolorami, a potem, kiedy pomyślał o ojczyźnie, światło zgasło i te kolory zniknęły. Opowiedział o gwiazdach. Mówił o krowach, kozach i księżycu, trzech rogowatych istotach, które go zaciekały. Znalazł na Ziemi więcej cudów, niż możemy sobie przypomnieć, chociaż my kiedyś też zobaczyliśmy te dziwy po raz pierwszy w życiu. Ze zdumienia, jakie go ogarnęło na widok ziemskich zwyczajów, ułożył wiele historii, które sprawiły, że dociekliwe trolle siedziały nieruchomo na dnie lasu, jak gdyby rzeczywiście tworzyły warstwę brązowych liści w październiku, które nagle ścisnął mróz.

Pierwszy raz usłyszały o kominach i wozach: z dreszczykiem emocji dowiedziały się o wiatrakach. Słuchały oczarowane o zwyczajach ludzi; i za każdym razem, gdy opowiadał o kapeluszach, przez las przebiegała fala chichotów.

Następnie oświadczył, że powinni zobaczyć kapelusze i łopaty, i psie budy i spojrzeć poprzez okna, i poznać wiatrak. Ogromna ciekawość zdjęła tłum trolli, ponieważ ta rasa jest bardzo dociekliwa. A Lurulu nie skończył na tym, licząc, że sama

ciekawość zwabi je z Krainy Elfów do świata ludzi, ale kusił ich też z pomocą innego uczucia. Opowiedział bowiem o wyniosłych, skrytych, wysokich, iskrzących się jednoroźcach, które nie raczą rozmawiać z trollami, podobnie jak bydło, gdy pije wodę w stawach i sadzawkach, nie chce komunikować się z żabami. Oni wszyscy znają ich kryjówki, powinni zatem obserwować ich zwyczaje i opowiedzieć o tym wszystkim ludziom, a w rezultacie ci ostatni zapoleją na jednoroźce z pomocą psów. Wprawdzie trolle niewiele wiedziały o psach, ale strach przed tymi pomocnikami człowieka jest — jak już mówiłem — powszechny wśród istot, które biegają — więc słuchacze Lurulu roześmieli się z entuzjazmem na myśl o polowaniach z psami na jednoroźce. W ten sposób Lurulu zwabiał ich na Ziemię dzięki złośliwości i ciekawości. Zorientował się, że mu się to udało, i chichotał w myślach, aż ożywił się tak jak jego pobratymcy. Albowiem wśród trolli nikt nie cieszy się większym szacunkiem niż ten, kto potrafi zadziwić pozostałych lub nawet pokazać im jakikolwiek dziwaczny przedmiot, sztuczkę albo żartobliwie wprowadzić w zakłopotanie. Lurulu miał do pokazania Ziemię, której zwyczaje uważane są, wśród tych, którzy mogą je osądzać, za tak osobliwe i dziwaczne, jak taki ciekawy obserwator mógłby tego zapragnąć.

Wtedy przemówił jakiś posiwiały troll; jeden z tych, którzy za często przechodzili granicę z Ziemią, aby obserwować zwyczaje ludzi; i kiedy to robił, czas sprawił, że posiwiał.

— Czy opuścimy lasy, które wszyscy znamy, i przyjemne zwyczaje Krainy Elfów, aby zobaczyć coś nowego i wpaść we władzę czasu? — zapytał.

Pomruk powstał wśród trolli, przebiegł przez las i ucichł, jak na Ziemi brzęczenie chrząszczy wracających do swych siedzib.

— Czy to, co dziś mamy, to nie „dziś”? — mówił dalej. — Tam oni nazywają to „dniem dzisiejszym”, a przecież nikt nie wie, co to takiego: wróćcie przez granicę, żeby na to spojrzeć, a tego już nie ma. Czas tam pędzi jak psy, które zabłąkają się przez naszą granicę, szcękając, przerażone, rozgniewane i stęsknione za domem.

— Tak właśnie jest — odparły trolle, chociaż tego nie wiedziały; ale mówił do nich plemieniec, którego słowa wiele wśród nich znaczyły.

— Zatrzymajmy więc nasze „dziś” — kontynuował ten ważny troll — dopóki je mamy i nie pozwólmy się zwabić tam, gdzie można zbyt łatwo je stracić. Albowiem za każdym razem, gdy ludzie je utracą, ich włosy stają się bielsze, członki słabsze, a twarze smutniejsze i są bliżej Jutra”.

Powiedział to tak poważnie, że gdy wymówił słowo "Jutro", trolle przestraszyły się nie na żarty.

— A co się dzieje "Jutro"? — zapytał któryś.

— Oni umierają — wyjaśnił posiwiasty troll. — A inni wykopują doły w ich ziemi i wkładają ich do tych dołów, jak sam to widziałem, a potem oni idą do nieba, jak słyszałem to z ich własnych ust.

Tłum trolli wzdrygnął się jednocześnie i ruch ten powtórzyły wszystkie, które zgromadziły się na dnie lasu.

A Lurulu, który przez cały ten czas słuchał z gniewem, jak ten szacowny troll źle mówi o Ziemi, dokąd chciał zaprowadzić swoich współplemieńców, by zadziwić ich jej osobliwościami, przemówił teraz w obronie nieba.

— Niebo to dobre miejsce — wypalił z żarem, chociaż słyszał niewiele opowieści o niebie.

— Są tam wszyscy błogosławieni — odparł posiwiasty troll — i pełno w nim aniołów. Jaką szansę miałby tam jakiś troll? Anioły na pewno by go złapały, bo ludzie na Ziemi mówią, że wszystkie anioły mają skrzydła; złapałyby trolla i tłukłyby go przez całą wieczność.

I na to wszystkie brązowe trolle w lesie zapłakały.

— Nie tak łatwo nas złapać — zaproponował Lurulu.

— Ale one mają skrzydła — wyjaśnił siwy troll.

Wszystkie trolle zasmuciły się i pokiwały głowami, gdyż dobrze znały szybkość skrzydeł.

Ptaki z Krainy Elfów w większości szybowały w gęstym powietrzu ojczyzny magii i wiecznie przyglądały się jej baśniowej piękności, która była dla nich pożywieniem i gniazdami i o której czasami śpiewały. Ale bawiące się wzdłuż granicy zmierzchu trolle, oglądając na nasz świat, widziały, jak nasze ptaki mkną ku górze i nurkują w dół w powietrzu, i rozmyślały o nich, tak jak my zastanawiamy się nad niebiańskimi istotami, i wiedziały, że jeśli skrzydlata istota gonilaby biednego trolla, ten niemal na pewno by nie uciekł.

— Niestety! — powiedziały trolle.

Siwy troll nic więcej nie powiedział, i nie musiał, gdyż las pełen był smutnych trolli, które siedziały, myśląc o niebie, i zlekły się, że mogą wkrótce tam trafić, jeśli odważą się zamieszkać na Ziemi.

Lurulu więcej nie dyskutował. Nie był to bowiem czas na dyskusje, gdyż trolle były zbyt smutne, aby mógł je przekonać. Przemówił więc do nich z powagą o poważnych sprawach, wypowiadając uczone słowa i stojąc w pełnej szacunku postawie. A nic tak nie bawi trolli jak nauka i podniosłość i mogą one godzinami śmiać się z pełnej czci postawy lub czegokolwiek podobnego do powagi. W ten sposób przywrócił im beztroskę, która jest ich naturalnym nastrojem. I dokonawszy tego, znowu zaczął mówić o Ziemi, opowiadając zabawne historyjki o zwyczajach ludzi.

Nie chcę zapisać rzeczy, które Lurulu powiedział o ludziach, bo uraziłoby to poczucie własnej wartości mojego czytelnika i w ten sposób zraniłoby jego lub ją, którego(rą) pragnę tylko zabawić; ale cały las falował i piszczał ze śmiechu. I siwy troll nie mógł nic więcej powiedzieć dla pohamowania ciekawości, która rosła w tym tłumie: a chodziło o natychmiastowe zobaczenie, kto taki mieszkał w domach, miał tuż nad sobą kapelusz, a komin jeszcze wyżej, rozmawiał z psami, ale nie chciał odzywać się do świń i czyje poważne miny i pozy były znacznie śmieszniejsze od wszystkiego, do czego były zdolne trolle. I wszystkie trolle zapragnęły zaraz udać się na Ziemię, zobaczyć świnie, wozy, wiatraki i śmiać się z ludzi. Wtedy Lurulu, który obiecał Orionowi, że przyprowadzi około dwudziestu trolli, z trudem zdołał powstrzymać całą tę rzeszę, gdyż tak szybko zmieniają się nastroje i zachcianki trolli: gdyby pozwolił pójść im wszystkim, ani jeden troll nie zostałby w Krainie Elfów, bo nawet przezorny, posiwiały troll zmienił zdanie wraz z pozostałymi współplemieńcami. Lurulu wybrał więc pięćdziesięciu i poprowadził ich do niebezpiecznej granicy Ziemi; i tak pomknęli razem z ciemnego lasu jak to wir brązowych dębowych liści mknie w najgorsze listopadowe dni.

## XXV

### **LIRAZEL PRZYPOMINA SOBIE NASZ ŚWIAT**

Kiedy trolle mknęły w stronę Ziemi, aby śmiać się z ludzkich zwyczajów, Lirazel, która siedziała na kolanach ojca, poruszyła się lekko. Król Elfów poważny i spokojny na tronie z mgły i lodu prawie nie zmienił pozy przez dwanaście naszych ziemskich lat. Księżniczka westchnęła i westchnienie to pomknęło jak zmarszczka po wodnej toni



Lirazel nie była zadowolona wśród splendoru i majestatu Krainy Czarów, ale wzdychała za czymś więcej: jego niewiarygodnie potężna sztuka magii powinna jej to dać. Dlatego podniósł prawą rękę z poręczy mistycznego tronu, stworzonego z muzyki i mirażu; podniósł prawą rękę i wielka cisza zapadła w Krainie Elfów.

Wielkie liście zaprzestały cichego szelestu w zielonej głębi zakłętego lasu; bajeczne ptaki i potwory zamilkły jak marmurowe rzeźby, a brązowe trolle biegnące w stronę Ziemi nagle wszystkie zatrzymały się i ucichły. Potem w tej głębokiej ciszy rozbrzmiały ciche szepty pragnienia, ciche dźwięki tęsknoty za tym, czego nie mogą wyrazić żadne pieśni, dźwięki podobne do głosów łez, gdyby każda taka słona kropelka mogła żyć i otrzymać głos, aby opowiedzieć o rodzajach smutku. Potem wszystkie te ciche odgłosy, tańcząc majestatycznie, zwały się w melodię, którą pan Krainy Elfów przywołał ruchem ręki. A melodia ta opowiedziała o świcie wstającym nad nieskończonymi moczarami, bardzo daleko, na Ziemi lub jakiejś innej planecie, której Kraina Elfów nie znała; rozlewającym się powoli na niebie z głębokiego mroku, gwiazdnej poświaty i tęgiego mrozu; bezsilny, chłodny i ponury, ledwie przyćmiewający gwiazdy; zaciemniony przez cień gromu i znienawidzony przez wszystko, co żyje w ciemnościach; wytrzymując wszelkie przeciwności, rosnąc i świecąc; aż poprzez mrok moczarów i chłód powietrza w pewnej wspaniałej chwili świt nadchodził triumfalnie w całej gamie barw, a najczarniejsze chmury powoli unosiły się w liliowym morzu, zaś najciemniejsze skały, które przedtem strzegły nocy, zajaśniały teraz złotym blaskiem. A kiedy jego melodia już nie mogła nic więcej opowiedzieć o tym cudzie, który zawsze był obcy wszystkim elfowym posiadłościom, wtedy król Elfów poruszył wciąż trzymaną w górze ręką, jak gdyby przywoływał jakieś ptaki, i wezwał świt nad Krainę Czarów, ściągając go zapewne z jednej z tych planet, które są najbliższe Słońca. I wstał świt, świeży i piękny, choć przybył spoza granic geografii i z dawno minionego stulecia, poza zasięgiem historii. Świt rozlał się nad Krainą Elfów, która nigdy dotąd nie znała tego zjawiska. I kropelki rosy z zakłętej krainy zawisły na pochylonych źdźbłach trawy i trwały tam, te błyszczące, tęczowe kuleczki, w których odbija się takie niebo jak nasze, po raz pierwszy widziane w Krainie Czarów.

A potem świt rozciągnął się dziwnie i powoli ponad tymi niecodziennymi ziemiami, zalewając je barwami, które nasze żonkile, nasze dzikie róże dzień za dniem, przez wszystkie tygodnie tej pory roku piją głęboko, upojną gromadą w całkowicie cichej orgii kolorów. Wtedy to nieznanym w czarodziejskim lesie błysk pojawił się na

długich, dziwnych liściach i nieznane w Krainie Elfów cienie ześlizgnęły się z pni monstrualnych drzew; zaś wieżyczki królewskiego pałacu, postrzegając dziw, choć nie tak śliczny jak one same, rozpoznały jednak jego magiczną naturę i odpowiedziały błyskiem z przepięknych okien, które zabłyśły nad elfową równiną niczym natchnienie, i zmieszały rumieniec róży z błękitem Elfowych Gór. Wówczas obserwatorzy na cudownych szczytach, od wieków patrzący ze swoich grani, czy z Ziemi lub z którejś gwiazdy jakiś obcy przybysz nie wtargnie do Krainy Elfów, ujrzeli pierwszy rumieniec elfowego nieba, gdy poczuło ono nadejście świtu, zadęli w rogi i zagrali sygnał alarmowy,

ostrzegając Krainę Elfów przed nieznanym cudzoziemcem. Zaś strażnicy dzikich dolin zadęli w rogi baśniowych byków i powtórzyli ten zew w mroku strasznych przepaści, w których czuwali, a echo poniosło go od jednego do drugiego monstrualnego marmurowego urwiska. Urwiska zaś przekazały ten zew całej swojej barbarzyńskiej kompanii. Tak więc w całej Krainie Czarów zadźwięczało ostrzeżenie, że coś dziwnego się w niej wydarzyło. I do tej krainy oczekującej nieznanego, czujnej, z magicznymi szablami uniesionymi wzdłuż samotnych grani, wezwanymi z poczerńiałych pochew przez czarodziejskie rogi, aby odeprzeć napaść jakiegoś nieznanego wroga, przyszedł teraz szerokim frontem złoty świt, prastary cud, który my, ludzie, tak dobrze znamy. Zaś pałac królewski ze swymi cudami, urokami i czarami pośród niebieskiej jak lód poświaty rozbłysnął powitalnym lub rywalizującym blaskiem, powiększając splendor i piękno Krainy Elfów, o których może opowiedzieć tylko pieśń.

To właśnie wtedy elfowy król ponownie poruszył ręką, którą wciąż trzymał wysoko obok kryształowych szpiców swej korony. Jednym machnięciem otworzył drogę poprzez ściany swego zakłętego pałacu i pokazał Lirazel niezmierzone terytorium swojego królestwa. A ona ujrzała, dzięki magii ojca, tak długo, jak rzucał palcami ten czar: ciemnozielone lasy i wszystkie wodospady Krainy Elfów, majestatyczne jasnoniebieskie góry i doliny, których strzegli niesamowici strażnicy, wszystkie baśniowe istoty, które pełzały w cieniu ogromnych liści, i hałaśliwe trolle biegnące w stronę Ziemi. Zobaczyła, jak strażnicy podnieśli rogi do ust, a na tych rogach zabłyśło światło, które było największym triumfem ukrytej magii jej ojca, blask świtu. Władca Elfów zwabił świt z nieogarnionych przestrzeni, aby uspokoić swą córkę, zaspokoić jej zachcianki i oderwać jej myśli od Ziemi. Ujrzała trawniki, na których czas próżnował przez stulecia, nie zmuszając do zwiędnięcia nawet jednego kwiatu w całej kwietnej

granicy okalającej pałac, oraz nowe światło nadchodzące nad jej ukochane trawniki poprzez soczyste barwy Krainy Elfów i nadające im piękno, jakiego nigdy nie znały do chwili, aż świt odbył bezgraniczną podróż na spotkanie zaczarowanego zmierzchu. I przez cały ten czas świeciły, połyskiwały i iskrzyły się wieżyczki pałacu, o którym tylko pieśń może opowiedzieć. Król Elfów odwrócił wzrok od tego oszałamiającego piękna i spojrzał w twarz córki, chcąc zobaczyć na niej zdumienie, z jakim powita swą wspaniałą ojczyznę, gdy jej myśli powrócą z pól i łąk starości i śmierci, dokąd — niestety — zawędrowały. Lirazel zwróciła oczy w stronę Elfowych Gór, których tajemniczości i błękitnej barwie, o dziwo, dorównywały. A przecież, gdy władca Elfów spojrzał w te oczy, wyłącznie dla których zwabił świt z jego naturalnych dróg, ujrzał w ich magicznej głębi jakąś myśl o Ziemi! Myśl o Ziemi, mimo że podniósł rękę, z całą swoją mocą nakreślił nią czarodziejski znak, aby sprowadzić pewien cud do Krainy Czarów, cud, który powinien pogodzić ją z jej ojczyzną. Wszystkie jego posiadłości uradowały się z tego cudu, strażnicy na niebezpiecznych skałach zagrali dziwny sygnał, zaś potwory, owady, ptaki i kwiaty ogarnęła nowa radość, a tutaj, w sercu Krainy Elfów, jego córka pomyślała o Ziemi.

Gdyby pokazał Lirazel jakikolwiek inny cud oprócz świtu, mógłby skusić jej myśli do powrotu do Krainy Elfów. Lecz sprowadzając do ojczyzny magii to egzotyczne piękno, aby stopiło się z jej pradawnymi cudami, obudził w pamięci córki wspomnienia o poranku przychodzącym do świata ludzi, którego nie znał. I Lirazel jeszcze raz w wyobraźni bawiła się z Orionem na łąkach, gdzie rosły niezaczarowane ziemskie kwiaty wśród angielskiej trawy.

— Czy to nie dość? — zapytał dziwnie melodyjnym magicznym głosem władca Elfów i wskazał na swoje rozległe włości palcami, które przywołały cud.

Lirazel westchnęła: to nie wystarczało.

I władcę magii ogarnął smutek: miał tylko jedną córkę, a ona wzdychała za Ziemią.

Miał on niegdyś małżonkę, królową, która rządziła wraz z nim Krainą Elfów; ale była ona śmiertelną kobietą i jako taka umarła. Albowiem często zapuszczała się na ziemskie wzgórza, aby znowu zobaczyć kwiaty głogu lub lasy bukowe jesienią; i chociaż kiedy przyszła do naszych pól i łąk, została tam tylko jeden dzień i wróciła do czarodziejskiego pałacu poza granicą zmierzchu przed zachodem naszego słońca, to czas znalazł ją, dokądkolwiek przybyła, i dlatego postarzała się i niebawem umarła w

Krainie Elfów, gdyż była tylko śmiertelniczką. Zamyśleni Elfowie pogrzebali ją tak, jak grzebie się córy człowiecze. I teraz król był zupełnie sam ze swoją córką, a ona właśnie westchnęła za Ziemią. Smutek odezwał się w sercu władcy zaklętej krainy, ale z mroku tego smutku powstało, jak często dzieje się u ludzi, pełne radości i śmiechu natchnienie i ze śpiewem opuściło jego umysł. Wtedy król wstał, podniósł obie ręce i nagle natchnienie spłynęło na Krainę Elfów pod postacią muzyki. A wraz z przyływem tej muzyki popłynął, jak potęga morza, skłaniający do tańca impuls, któremu nikt w Krainie Elfów się nie oparł. Władca Elfów z powagą machnął rękami i popłynęła z nich muzyka. I wszystko, co skradało się w zaklętym lesie, i wszystko, co pełzło po liściach, wszystko, co skakało wśród skalistych wzniesień lub patrzyło na ogromne połacie lilii, wszystko we wszystkich rodzajach miejsc, nawet osobista straż królewska, samotni strażnicy w górach i trolle mknące ku Ziemi, wszyscy tańczyli w rytm melodii, która powstała z ducha wiosny, przybyłej pewnego ziemskiego ranka do szczęśliwych stad kóz.

A trolle były teraz bardzo blisko granicy, twarze miały już wykrzywione do śmiechu nad zwyczajami ludzi. Spieszyły z całym zapalem małych, próżnych stworzeń, aby przebyć granicę zmięzchu, która leży między Krainą Elfów i Ziemią: teraz już nie biegły do przodu, lecz sunęły w figurach tanecznych o kształcie kół i skomplikowanych spiral, pływając w takim tańcu, jaki tańczą komary w letnie wieczory w naszym świecie. A poważne potwory i monstra z baśni w gęstwinie paproci tańczyły menuety, które czarownice stworzyły ze swych kaprysów i śmiechu dawno, bardzo dawno temu, w czasach swojej młodości, zanim w świecie ludzi powstały pierwsze miasta.

Natomiast drzewa z zaklętego lasu powoli wysunęły ciężkie korzenie z ziemi, a potem pływały na nich jak na monstrualnych szponach, wymachując wielkimi liśćmi, na których z kolei tańczyły owady. Zaś w mroku długich jaskiń dziwaczne stwory w zaciszu magicznego odosobnienia obudziły się z odwiecznego snu i tańczyły na wilgotnym piasku.

A oprócz króla-czarodzieja, chwając się lekko w rytmie, który pchnął do tańca wszystkie magiczne rośliny i istoty, stała księżniczka Lirazel z błyskiem w oczach, oznaką ukrytego uśmiechu, gdyż w głębi serca zawsze uśmiechała się z mocy swojej wielkiej urody.

I w pewnej chwili król Elfów podniósł wyżej jedną rękę i tak trzymał. W ten sposób unieruchomił wszystko, co tańczyło w jego królestwie i obudził lęk we wszystkich

magicznych istotach, i posłał nad Krainę Czarów melodię stworzoną z dźwięków, które pochwylił z wędrujących natchnień i inspiracji. Inspiracje te śpiewają i błędzą poza nasze ziemskie granice: i całe jego państwo pogrążyło się w magii tej dziwnej muzyki. Melodia ta skłoniła do śpiewu dzikie istoty, których istnienia ludzie tylko mogli się domyśleć, i stwory ukryte nawet przed ziemskimi legendami; podjęły więc pradawne pieśni, które dawno już zapomniano. Zwabiła też w dół z powietrznych wyżyn bajeczne istoty. Spokój Krainy Elfów zmały nieznanne i niewyobrażalne uczucia. Cudowne fale tej muzyki uderzały o zbocza majestatycznych Elfowych Gór, aż z ich przepaści rozległy się dziwne echa, podobne do uderzeń spiżowego gongu. Do Ziemi nie dotarła ani ta muzyka, ani jej echa: żadna nuta nie przeszła przez wąską granicę zmierzchu, żaden dźwięk, żaden odgłos. Gdzie indziej dźwięki te opadały lub unosiły się w powietrzu; niby jakieś rzadkie ćmy przeleciały przez cały Raj i szumiały jak niewykrywalne wspomnienia wokół dusz świętych i błogosławionych. Anioły również usłyszały tę melodię, ale zabroniono im zazdrościć jej twórcy. I choć nie dotarła ona do Ziemi i mimo że nasz świat nie usłyszał muzyki z Krainy Elfów, jednakże byli wśród nas — jak w każdej epoce, gdyż inaczej rozpacz ogarnęłaby ludy Ziemi — ci, którzy układają pieśni na potrzeby naszego smutku i wesela. Ci ostatni, choć nawet oni nigdy nie usłyszeli żadnej nuty z Krainy Elfów poprzez granicę zmierzchu, która unicestwia każdy taki dźwięk, poczuli w umysłach taniec tych czarodziejskich nut, zapisali je i zagrali na ziemskich instrumentach. Dopiero wtedy — i nigdy przedtem — usłyszeliśmy muzykę z Krainy Elfów. Przez jakiś czas król Elfów trzymał wszystkie istoty, które podlegały jego władzy, i wszystkie ich pragnienia, zdumienia, lęki i marzenia w mocy swej magii, tak że unosiły się na falach tej cudownej muzyki. Muzyka ta nie powstała z ziemskich dźwięków, lecz raczej z subtelnej materii, w której pływają planety wraz z wieloma innymi cudami, które zna tylko magia. Potem zaś, gdy cała Kraina Elfów chłoniła tę muzykę, jak nasza Ziemia chłonie ciepły deszczyk, znowu odwrócił się do swojej córki i spojrzał na nią pytająco. A pytał bez słów:

— Jakaż kraina jest taka piękna jak nasza?

Ona zaś odwróciła się do niego, by odpowiedzieć:

— Tutaj jest moja ojczyzna na zawsze.

Rozchyliła wargi, by odpowiedzieć na nieme pytanie ojca, i miłość świeciła w jej błękitnych oczach. Wyciągnęła do niego piękne ręce, kiedy to oboje usłyszeli granie rogu jakiegoś zmęczonego myśliwego, który dał weń przy granicy Ziemi.

## XXVI

### RÓG ALWERYKA

Alweryk kierował się na północ samotnej krainy, po której wędrował przez tak wiele lat, gdzie wzdymane wiatrem poły jego szarego, wąskiego namiotu dodawały poczucia beznadziei chłodnym wieczorom. A mieszkańcy samotnych gospodarstw, gdy zapalili światła w swoich chatach, a kopy siana zaczynały ciemnieć na tle jasnozielonego nieba, słyszeli czasami uderzenia młotków Niva i Zenda dochodzące wyraźnie z jałowej równiny, na którą nikt inny się nie zapędzał. Zaś ich dzieci, wyglądając z okien, by zobaczyć, czy jakaś gwiazda już weszła, widywały czasami dziwaczny kształt szarego namiotu, trzepoczącego strzępami płachty ponad ostatnim z żywopłotów, gdzie chwilę wcześniej szarzał tylko zmierzch. Następnego ranka dzieci snuły domysły i zastanawiały się głośno, radowały lub bały, słuchając historii, które starsi im opowiadali, a potem ukradkiem zapuszczały się na skraj świata ludzi, nieśmiało zaglądały przez niewyraźne, zielone otwory w ostatnich żywopłotach (choć nie wolno im było patrzeć na wschód). Jednym słowem na farmach panowała atmosfera plotek i oczekiwania. Wszystko to połączyło się w jedną całość przez ten cud, który przybył ze wschodu i w ten sposób przeszedł do legendy, która wciąż była żywa przez wiele lat po tym poranku; choć Alweryk i jego namiot znikali.

I tak dzień po dniu, rok po roku, grupa ta wędrowała coraz dalej i dalej, samotny, opuszczony przez żonę mężczyzna, rozmarzony poeta oraz szaleniec i stary szary namiot z długim, skrzywionym masztem. Przez te lata poznali wszystkie gwiazdy, wszystkie cztery wiatry nie były już dla nich obce, tak samo jak deszcz, mgła i grad, ale ciepły wiatr, tak mile widziany w nocy, spotykali tylko na chwilę, by zaraz go pożegnać. Albowiem wraz z pierwszym chłodem brzasku Alweryk budził się z niespokojnych snów, Niv wstawał z krzykiem i niebawem razem ruszali dalej na szaleńczą krucjatę, zanim pierwsze oznaki, że ludzie się obudzili, pojawiły się w nieruchomych, ciemnych oknach. I każdego ranka Niv przepowiadał, że na pewno odnajdą Krainę Elfów; i tak mijały dni i lata.

Thyl już dawno ich zostawił; Thyl, który prorokował ich zwycięstwo w

porywających pieśniach. Pieśni te inspirowały i dodawały otuchy Alwerykowi w najzimniejsze noce i prowadziły go przez najbardziej wyboiste, skalne drogi. Thyl, który pewnego wieczoru nagle zaśpiewał pieśń o włosach pewnej młodej dziewczyny, Thyl, który powinien im przewodzić w tych długich poszukiwaniach. A potem pewnego dnia o szarej godzinie, przy śpiewie kosa, w ukwiecony majowy wieczór, Thyl zawrócił do ludzkich siedzib, poślubił ukochaną dziewczynę i już nie błąkał się z grupą wędrowców.

Konie padły; Niv i Zend nieśli teraz wszystko, co mieli, na maszcie namiotu. Upłynęło wiele lat. Aż jednego jesienno-poranka Alweryk opuścił obóz, by udać się do wieśniaczych chat. Niv i Zend spojrzeli po sobie. Dlaczego Alweryk miałby pójść, by zapytać o drogę kogoś innego? Przecież, jakby na to nie spojrzeć, ich szalone umysły wyczuły cel jego wędrówki znacznie szybciej niż intuicja zdrowego człowieka. Czyż nie miał prorocत्व Niva, by go prowadziły, i obietnic Zenda, który zaprzysiągł mu pewnej nocy księżyc w pełni?

Alweryk przybył wtedy do ludzkich siedzib i z wieśniaków, których wypytywał, tylko nieliczni chcieli mówić o tym, co leżało na wschodzie. Jeśli zaś wspominał o ziemiach, po których wędrował latami, praktycznie nie zwracali na to uwagi, jak gdyby opowiadał im o tym, że rozbił swój namiot na kolorowych warstwach powietrza, które świeciły, płynęły i ciemniały wraz z niebem po zachodzie słońca. Nieliczni, którzy mu odpowiedzieli, stwierdzili tylko jedno: że jedynie czarownicy o tym właśnie wiedzieli.

A dowiedziawszy się tego, Alweryk wrócił z naszych ogrodzonych żywopłotami pól do swojego starego, szarego namiotu w krainie, o której nikt nie myślał. Niv i Zand siedzieli tam w milczeniu, patrząc nań z ukosa, gdyż zrozumieli, iż nie ufał szaleństwu i słowom wypowiedzianym przez księżyc. Następnego dnia, kiedy o świcie opuścili obóz, Niv prowadził, lecz już bez krzyków.

Minęło niewiele więcej tygodni tej niezwyklej podróży, kiedy jednego ranka Alweryk spotkał na skraju pól, doglądanych przez ludzi, pewnego mężczyznę napełniającego wiadro przy studni. Wysoki, cienki, stożkowy kapelusz i otaczająca go tajemnicza atmosfera wskazywały, że na pewno był to czarownik.

— Mistrzu sztuk, których ludzie się boją, chciałbym ci zadać pewne pytanie dotyczące przyszłości — powiedział do niego Alweryk.

Czarownik odwrócił się, by spojrzeć na mówiącego z powątpiewaniem, gdyż podarte ubranie Alweryka nie zdawało się obiecywać takiej zapłaty, jaką dają ci, którzy

mają prawo pytać o przyszłość. Na wszelki wypadek czarownik powiedział, ile kosztują odpowiedzi za takie pytania. A zawartość sakiewki Alweryka usunęła wątpliwości czarownika. Dlatego wskazał na szczyt wieży wyzierającej ponad kępą mirtów i poprosił Alweryka, aby przyszedł do jego drzwi wtedy, gdy zaświeci gwiazda wieczorna. Dodał, że o tej pomyślnej godzinie przepowie mu przyszłość.

I znowu Niv i Zend doskonale zrozumieli, że ich przywódca kierował się snami i tajemnicami, które nie wywodziły się ani z szaleństwa, ani z księżycy. Zostawił ich siedzących w milczeniu, lecz z umysłami pełnymi dzikich wizji.

W blednym powietrzu, które czekało na gwiazdę wieczorną, Alweryk przeszedł przez pola ludzi i stanął przed ciemnymi, dębowymi drzwiami wieży czarownika; rosnące wokół mirty muskały ją przy każdym podmuchu wiatru. Młody uczeń czarownika otworzył drzwi przybyszowi i po starych, drewnianych stopniach, które szczury знаły lepiej niż ludzie, zaprowadził go do położonej na samej górze komnaty swego mistrza.

Czarownik miał na sobie opończę z czarnego jedwabiu, którą uważał za należącą do przyszłości; bez niej nie zajrzałyby do mających nadejść lat. A kiedy młody uczeń odszedł, jego mistrz zbliżył się do jakiejś książki leżącej na wysokim biurku i odwrócił się do Alweryka, by zapytać, czego szuka w przyszłości. Na co książkę Erlu zapytał go, jak ma dotrzeć do Krainy Elfów. Wtedy czarownik otworzył książkę o pociemniałych od starości okładkach i zaczął przewracać strony. Przez długi czas strony książki były puste, lecz dalej pokazało się wiele zapisanych, chociaż Alweryk nigdy nie widział takiego pisma. Wówczas czarownik wytłumaczył mu, że takie książki jak ta opowiadały o wszystkim; ale że on, zajmujący się wyłącznie przyszłością, nie potrzebował czytać o przeszłości. Dlatego nabył książkę opisującą tylko przyszłość, choć mógłby otrzymać coś więcej ze Szkoły Czarów, gdyby chciał badać szaleństwa, które ludzie już popełnili.

Potem jakiś czas czytał w swojej księdze. A Alweryk usłyszał stapanie szczurów wracających cicho przejściami do nor, które przygotowały dla siebie w schodach w wieży czarownika. Wreszcie czarownik znalazł to, czego szukał o przyszłości, i wyjaśnił Alwerykowi, że w magicznej księdze jest napisane, iż nigdy nie przejdzie do Krainy Elfów ze swym zaklętym mieczem.

Kiedy Alweryk to usłyszał, zapłacił należność czarownikowi i odszedł przejęty ogromnym żalem. Znał bowiem niebezpieczeństwa grożące w Krainie Elfów, których nigdy nie odeprze zwykły miecz wykuty przez człowieka kowala. Nie miał pojęcia,

że magia ukryta w jego mieczu pozostawiła po sobie w powietrzu podobny do tropu błyskawicy rodzaj zapachu lub smaku, który przeniknął przez zaporę zmierzchu i rozprzestrzenił się w Krainie Czarów. Nie wiedział również, że władca Elfów w ten właśnie sposób dowiedział się o jego przybyciu i cofnął granicę między światami tak, aby Alweryk nigdy więcej nie niepokoił zaklętej krainy. Uwierzył wszakże w to, co czarownik wyczytał dlań z magicznej księgi, i dlatego odszedł zasmucony. Pozostawiwszy dębowe schody czasowi i szczerom, przeszedł przez mirtowy zagajnik oraz ziemskie pola i wrócił do tego ponurego miejsca, gdzie jego szary namiot majaczył smętnie na pustkowiu, matowy i cichy jak Niv i Zend, którzy siedzieli obok niego. Później zawrócili i skierowali się na południe, gdyż wszystkie podróże wydawały się teraz jednakowo beznadziejne Alwerykowi, który nie chciał wyrzec się miecza i stawić czoła magicznym niebezpieczeństwom bez pomocy czarów. Zaś Niv i Zand słuchali księcia Erlu w milczeniu, już nie prowadząc go obłąkańczymi przepowiedniami lub przekazami księżycy w pełni, bo zorientowali się, iż ich pan zasięgnął rady kogoś innego.

Wędrując męczącymi drogami, samotnie, dotarli daleko na południe i nigdy granica Krainy Elfów z grubych warstw zmierzchu nie pojawiła się przed nimi. Mimo to Alweryk nie chciał wyrzec się swojego miecza, albowiem domyślał się, że władca ojczyzny magii obawiał się jego czarów. Miał tylko cień nadziei, że mógłby odzyskać Lirazel z pomocą broni, która była groźna jedynie dla ludzi. I po jakimś czasie Niv znowu zaczął wieszczyc, a Zend przychodził późno w nocy, gdy księżyc był w pełni, by obudzić Alweryka swymi opowieściami. Ale pomimo tajemniczej miny Zenda, gdy mówił, i mimo radości Niva, kiedy prorokował, Alweryk wiedział już, że wszystkie te historie i przepowiednie są puste i nic niewarte, i że żadna z nich nigdy nie zaprowadzi go do ojczyzny magii. Mimo tej ponurej wiedzy, nadal zwijał obóz o brzasku w bezludnej krainie, wciąż maszerował, ciągle szukał granicy krainy magii i tak mijały miesiące.

Aż pewnego dnia tam, gdzie skraj Ziemi był dzikim, nieuprawnym wrzosowiskiem, biegnącym ku skalistemu pustkowiu, na którym rozbili obóz, Alweryk zobaczył wieczorem jakąś kobietę w kapeluszu i opończy czarownicy, która zamiatała miotłą wrzosy. I kiedy tak sprzątała wrzosowisko, każdy jej ruch oddalał ją od naszego świata, od bezludnej krainy, zbliżając ku wschodowi, w stronę Krainy Elfów. Z każdym silnym ruchem nieznamym coraz większe kłęby czarnej, suchej ziemi i piasku docierały do

Alweryka. Książę podszedł do niej ze swego żalnego obozowiska, stanął blisko i patrzył, jak zamiata. Mimo to kobieta nadal nie przerywała energicznej pracy, wielkimi krokami oddalając się od naszych pól, zamiatając po drodze. Po jakimś czasie, nie przestając pracować, podniosła twarz, spojrzała na Alweryka, który rozpoznał w niej czarownicę Ziroonderel. Po wszystkich tych latach znowu ujrzał znajomą władczynię magii, ona zaś zauważyła pod trzepoczącymi strzępami tuniki Alweryka miecz, który niegdyś dla niego wyczarowała na swoim wzgórzu. Skórzana pochwa nie mogła ukryć przed czarownicą, że był to ten sam oręż, albowiem rozpoznała zapach magii, który emanował od niego słabo i rozchodził się wokoło w wieczornym powietrzu.

— Matko Czarownico! — zawołał Alweryk.

Ona zaś ukloniła mu się nisko. Widać było, że chociaż władała magią, znacznie się postarzała, gdyż przyszła na świat przed panowaniem ojca Alweryka. Wprawdzie wielu Erlan zdążyło już zapomnieć o swoim władcy, ale nie ona, Ziroonderel.

Zapytał ją, co tutaj robi, na wrzosowisku, z miotłą w wieczornym mroku.

— Zamiatam świat — odparła.

Wtedy Alweryk zastanowił się, jakie odrzucone rzeczy zamiata z naszego świata, gdy szary kurz kłębi się smętnie, płynąc w powietrzu nad naszymi polami, zagłębiając się powoli w mroku, który gęstniał poza skrajem naszego świata.

— Dlaczego zamiatasz świat, Matko Czarownico? — pytał dalej.

— Na świecie są rzeczy, których tam nie powinno być — powiedziała wymijająco.

Wtedy spojrzał tęsknie na szare tumany kurzu od jej miotły, które to wszystkie płynęły w stronę Krainy Elfów.

— Matko Czarownico — rzekł — czy ja też mogę tam się udać? Przez dwanaście lat szukałem ojczyzny magii i nie dostrzegłem nawet przelotnie Elfowych Gór.

Stara czarownica spojrzała na niego życzliwie, a potem zerknęła na jego miecz.

— On się boi mojej magii — powiedziała zagadkowo i błysk jakiejś myśli lub tajemnicy pojawił się w jej oczach, gdy to mówiła.

— Kto? — spytał Alweryk.

— Król Elfów — wyjaśniła.

Później opowiedziała mu, że władca Elfów cofał się przed każdym, kto go raz pokonał, a wraz z nim podążało wszystko, co mijał, gdyż nigdy nie mógł znieść obecności magii dorównującej jego własnej.

Na co Alweryk nie mógł uwierzyć, że ten potężny monarcha tak bardzo obawiał się

zaczarowanego miecza, który on, książę Erlu, nosił w starej, czarnej pochwie.

— Taki ma zwyczaj — dodała Ziroonderel.

Na co on jednak nie chciał uwierzyć, że król ojczyzny magii ruchem ręki wycofał Krainę Elfów.

— On ma taką moc — stwierdziła z powagą czarownica.

Na co Alweryk dalej zamierzał stawić czoło temu przerażającemu monarsze i wszystkim jego mocom. Pamiętał jednak, że zarówno czarownik-jasnowidz jak i czarownica Ziroonderel ostrzegli go, iż nie może pójść ze swoim mieczem do Krainy Czarów. Ale jak ma przejść bez tego daru czarownicy przez zaczarowany las do zakłętego, cudownego pałacu? Przecież jeśli pójdzie z mieczem wykutym przez ludzi, będzie to znaczyło, że zrobi to całkowicie bez broni.

— Matko Czarownico! — zawołał. — Czy ja mogę już nigdy nie dotrzeć do Krainy Elfów?

Tęsknota i żal w jego głosie sprawiły, że serce czarownicy zmiękło, tak że naprawdę się wzruszyła.

— Dotrzesz tam — oświadczyła.

Stał tam na poły pogrążony w rozpacz, na poły w marzeniach o Lirazel. Tymczasem czarownica wyciągnęła spod opończy mały, fałszywy odważnik, który niegdyś zabrała pewnemu sprzedawcy chleba.

— Przeciągnij tym wzdłuż brzeszczotu twego miecza — poleciała — od rękojeści aż po sam czubek i w ten sposób go odczarujesz, a Król Elfów nigdy się nie dowie, jaki miecz masz ze sobą.

— Ale czy wtedy on nadal będzie dla mnie walczył? — zapytał Alweryk.

— Nie — odparła czarownica. — Ale kiedy już znajdziesz się za granicą zmierzchu, weź to pismo i wytrzyj nim każde miejsce, którego dotknął fałszywy odważnik. — Znowu poszukała po omacku pod opończą i wyjęła jakiś wiersz napisany na pergaminie. — Ono znowu go zaczaruje — dodała.

Alweryk wziął od niej odważnik i kawałek pergaminu.

— Nie pozwól tylko, żeby one się dotknęły — ostrzegła go Ziroonderel.

Wtedy Alweryk je rozdzielił.

— Kiedy przejdziesz przez granicę, on może przemieścić Krainę Elfów dokąd tylko zechce, ale ty i twój miecz pozostaniecie na jej terytorium.

— Matko Czarownico — pytał dalej Alweryk — czy on jednak nie rozgniewa się

na ciebie, jeśli ja to zrobię?

— Rozgniewa! — prychnęła Ziroonderel. — Rozgniewa? Będzie szalał z niepohamowanej wściekłości, gorzej niż jakikolwiek tygrys.

— Nie chciałbym ściągnąć tego na ciebie, Matko Czarownico — odparł Alweryk.

— Ha! — mruknęła czarownica. — A co mi tam!

Noc już nadchodziła, a wrzosowisko i powietrze ciemniały jak opończa Ziroonderel.

Czarownica śmiała się teraz i zlewała z ciemnością. A wkrótce noc była ciemnością i śmiechem; i nijak już Alweryk nie mógł dojrzeć dawnej niańki Oriona.

Potem księżę Erlu wrócił do swojego obozu, kierując się blaskiem jego samotnego ogniska.

I kiedy tylko ranek pojawił się na pustkowiu i wszystkie bezużyteczne skały zaczęły się różowić, wziął fałszywy odważnik i cicho potarł nim oba boki miecza, aż jego cały magiczny skraj został odczarowany. A zrobił to wszystko w namiocie, podczas gdy jego podwładni spali, nie chciał bowiem, by wiedzieli, że szukał pomocy, która nie przyszła od bredzenia Niva, ani od wypowiedzi, które Zend usłyszał od księżycy.

A przecież niespokojny sen szaleńca nie jest tak głęboki jak u zdrowego na umyśle człowieka. Dlatego Niv zaraz też śledził Alweryka przebiegle kątem oka, gdy tylko usłyszał cichy zgrzyt fałszywego odważnika o brzeszczot miecza.

Po potajemnym dokonaniu tego z ukradka obserwowanego czynu, Alweryk zawołał na swoich dwóch towarzyszy, a ci powstali, a potem zwinęli jego podarty namiot, zawiesili go na długim drągu wraz z ich żalonym dobytkiem. Księżę Erlu niecierpliwie wtedy ruszył skrajem ludzkich pól, pragnąc wreszcie dotrzeć do kraju, który tak długo był dla nich nieosiągalny. Niv i Zend poszli za nim, trzymając między sobą maszt namiotu, na którym kołysały się tobołki i powiewały strzępy namiotu.

Ruszyli na niewielką odległość w głąb kraju ludzi, w stronę ich siedzib, aby zaopatrzyć się w niezbędny prowiant. Kupili go tego popołudnia od pewnego rolnika, który mieszkał w samotnej chacie, tak blisko samego skraju naszych pól, że musiało to być ostatnie ludzkie domostwo w widzialnym świecie. Nabyli tam chleb, płatki owsiane, ser oraz wędzoną szynkę oraz inne takie rzeczy, włożyli do toreb, które zawiesili na maszcie. Następnie opuścili chatę czynnego rolnika i odwrócili się od jego pól i całego świata ludzi.

Zapadał wieczór, kiedy zobaczyli tuż nad jakimś żywoplotem — rozświetlającą ten teren dziwnym, miękkim blaskiem, o którym wiedzieli, iż nie pochodzi z Ziemi — zaporę zmierzchu, która jest granicą Krainy Elfów.

— Lirazel! — krzyknął Alweryk, wyciągnął miecz i wielkimi krokami wszedł w zmierzch. Za nim ruszyli Niv i Zend. A podejrzania obu szaleńców zamieniły się w zazdrość o inspirację lub magię, które nie pochodziły od nich.

Alweryk tylko raz zawołał Lirazel; potem, nie wierząc swemu głosowi w tym wielkim, dziwnym kraju, zmęczony tak długą wędrówką, podniósł do ust róg myśliwski, który nosił u boku na pasku, i zagrał jakiś zew. Stał na skraju zapory zmierzchu; jego róg zaśnił w blasku Krainy Elfów.

Potem Niv i Zend upuścili drąg w tym niezemskim zmierzchu, gdzie leżał jak szczątki jakiegoś nieznanego morza, i nagle pochwycili swego pana.

— To kraina snów! — powiedział Niv. — A czyż nie dość mam snów?

— I tu nie ma księżycy! — zawołał Zend.

Alweryk uderzył Zenda mieczem po barku, ale miecz był odczarowany i tępy, więc tylko zranił go lekko. Potem tamci chwycili miecz i odciągnęli Alweryka z powrotem. A szaleniec odznaczał się wielką siłą, która przekraczała wszystko, w co można by uwierzyć. Odciągnęli go z powrotem na nasze pola, gdzie sami byli dziwakami, zazdrosnymi o inną dziwność, i odprowadzili daleko od widoku jasnoniebieskich gór. I tak Alweryk nie wszedł do Krainy Elfów. Lecz granie jego rogu przeszło nad skrajem granicy zmierzchu, zmaćliło powietrze zakłętej krainy, przesywając jego senny spokój jedną długą, smutną ziemską nutą: to był zew rogu, który usłyszała Lirazel podczas rozmowy z ojcem.

## **XXVII**

### **POWRÓT LURULU**

Ponad wioską i Zamkiem Erl i przez każdy ich zakątek i szczelinę przeszła wiosna, łagodne błogosławieństwo, które ogrzało samo powietrze i poszukało wszystkiego, co żyje, nie pomijając nawet roślinek gnieźdzących się w odizolowanych miejscach, pod okapami dachów, w pęknięciach starych beczek lub wzdłuż warstw zaprawy murarskiej

łączącej rzędy starożytnych kamieni. O tej porze roku Orion nie polował na jednorożce; i nie dlatego, iż wiedział, kiedy jednorożce się rozmnażają w Krainie Elfów, gdzie czas płynie inaczej niż u nas. Postępował tak z powodu odziedziczonego po swoich ziemskich przodkach odczucia, które zabraniało polowania na każdą żywą istotę o tej porze pieśni i kwiatów.

Teraz więc opiekował się tylko swoją sforą i często obserwował wzgórza, każdego dnia oczekując powrotu Lurulu.

Minęła wiosna, wyrosły letnie kwiaty, a mimo to troll nadal nie wracał, ponieważ w zalesionych dolinach Krainy Elfów czas płynie w inny sposób niż w naszym świecie. Orion wypatrywał Lurulu w ciemniejące wieczory tak długo, aż szereg wzgórz poczerniał, lecz ani razu nie zobaczył okrągłych główek trolli na łagodnie opadających zboczach.

Z lodowych krain z westchnieniem nadeszły mocne, jesienne wiatry, a młody książę ciągle wypatrywał Lurulu, zaś mgły i zmieniające barwę liście budziły w jego sercu tęsknotę za łowami. Jego ogary skomlały za otwartymi przestrzeniami i zwierzęcymi tropami, które jak tajemnicze dróżki krzyżowały się w wielkim świecie. Orion wszakże zamierzał polować wyłącznie na jednorożce i nadal czekał na swoje trolle.

Wreszcie pewnego ziemskiego dnia, gdy zapowiedź mrozu wisiała w powietrzu i słońce zachodziło krwawo, po skończonej przemowie Lurulu do zgromadzonych w lesie trolli, te ostatnie, skacząc szybciej niż króliki, szybko dotarły do granicy zmierzchu. Wówczas ci mieszkańcy naszego świata, którzy spojrzeli w stronę tajemniczej zapory, gdzie kończyła się Ziemia (a rzadko to robili), mogli zobaczyć niesamowite postacie nadchodzących zwinnych trolli, całkiem szare w wieczornym mroku. Przybyły kolejno, troll za trollem po wysokich skokach przez zaporę zmierzchu. Opadłszy w ten sposób bezceremonialnie na naszych polach, zbliżyły się, koziolkując, podskakując i biegnąc, wybuchając bezczelnym śmiechem, jakby był to odpowiedni sposób powitania nie najmniejszej z planet.

Przebiegły, szeleszcząc jak wiatr w słomie obok małych, ludzkich chat i nikt, kto usłyszał ten cichy odgłos, nie miał pojęcia, jak obce były to istoty, oprócz psów, których zadaniem jest obserwacja otoczenia i które wiedzą o wszystkim, co się wokół dzieje. Tylko one zdawały sobie sprawę z ogromnej różnicy między trollami a ludźmi. Psy szczekają na Cyganów, włóczęgów i wszystkich bezdomnych wtedy, gdy mijają ich domy. Z większym wstrętem ujadają na dzikie leśne zwierzęta, dobrze wiedząc, jak

bardzo gardzą one ludźmi. Bardziej wściekle obszczekują lisa z powodu jego tajemniczości i dalekich wędrówek: ale tamtej nocy szczekanie psów przekroczyło wszelkie granice wstrętu i wściekłości. Wielu farmerów pomyślało wówczas, że ich pies się dusi.

Mijając nasze pola, nie zatrzymując się, żeby pośmiać się z niezdarnego biegu uciekających owiec, gdyż zachowali śmiech dla ludzi, trolle niebawem przybyły na wzgórze ponad Erlem. Zobaczyły w dole półmrok, dym z ludzkich siedzib, a wszystko było szare. Nie mając pojęcia, skąd się bierze dym — tutaj z wody, którą gotowała w kotle jakaś kobieta, tam zaś z suszącej się dziecinnej sukienki, ówdzie z ogniska, przy którym kilku starców grzało ręce wieczorem — trolle powstrzymały się od śmiechu, choć zamierzały to zrobić, skoro tylko zetkną się z ludźmi. Możliwe, że nawet te istoty, u których najpoważniejsze myśli kryły się tuż pod powierzchnią śmiechu, nieco zdziwiła

obcość, a zarazem bliskość ludzi śpiących w położonej w dole wiosce, okolonych dymem. Lecz zdziwienie to nie trwało w ich lekkomyślnych umysłach dłużej niż pobyt jaskółki na cienkich, najwyższych gałązkach drzewa.

Po jakimś czasie trolle oderwały wzrok od doliny i podniosły go na niebo, które nadal jaśniało nad ostatnim świecącym, niewielkim pasemkiem barwy i gasnącego blasku słońca. Niebo było tak piękne, że uwierzyły, iż inna zaklęta kraina leżała po drugiej stronie Erlu, dwa niewyraźne, półprzezroczyste magiczne elfowe włości otaczające z obu stron tę dolinę i nieliczne ludzkie pola. Siedząc tak na zboczu wzgórza, patrząc na zachód, następną rzeczą, jaką ujrzały, była jakaś gwiazda, a raczej planeta Wenus, która świecąc nisko nad horyzontem, napelniała się błękitem. Wszystkie wiele razy pochyliły głowy z szacunkiem przed tą jasnoniebieską cudzoziemką. Albowiem choć rzadko zachowywały się uprzejmie, zauważyły, że gwiazda wieczorna nie ma nic wspólnego z Ziemią i ze sprawami ludzi i uwierzyły, iż przybyła z nieznannej im elfowej krainy po zachodniej stronie świata. Na niebie pojawiała się coraz więcej i więcej gwiazd, aż trolle się przestraszyły, gdyż nic nie wiedziały o tych połyskliwych wędrowcach, którzy to umieli wychynąć z mroku i świecić: zaraz też powiedziały sobie: — Trolli jest więcej niż gwiazd.

Dodało to im otuchy, ponieważ bardzo ufały w liczebność. Lecz wkrótce potem było więcej gwiazd niż trolli. Trolle źle się czuły, siedząc w mroku pod mnóstwem mrugających gwiazd. Teraz jednak zapomniały o wybryku wyobraźni, który je

zaniepokoił. Zamiast tego zwróciły uwagę na żółte światła, które paliły się to tu, to tam z tej strony szarości, gdzie stały nieliczne ludzkie chaty, ciepłe i przytulne, niedaleko od przybyszów z zakłętej krainy. Jakiś żuk przeleciał obok nich, więc ściszyły głosy, aby usłyszeć, co im powie; lecz on tylko brzęczał, lecąc do domu, a one nie znały jego języka. Gdzieś daleko jakiś pies szczekał bez przerwy, napełniając powietrze ostrzegawczym dźwiękiem. Trolle rozgniewał jego głos, ponieważ wyczuły, iż wtrącił się między nie a ludzi. Potem coś miękkiego i białego wyleciało z mroku, usiadło na gałęzi drzewa, zwróciło głowę w lewo i popatrzyło na trolle. Następnie przechyliło ją w prawo i znowu obrzuciło trolle spojrzeniem, potem znów w lewo, gdyż nie było jeszcze pewne, kim są.

— To sowa — wyjaśnił Lurulu.

Zresztą wiele trolli oprócz Lurulu widziało takiego ptaka, gdyż wielokrotnie latają one wzdłuż granicy Krainy Elfów. Niezadługo sowa odleciała i trolle usłyszały, jak poluje na wzgórzach i w dolinach. A potem wszystkie dźwięki ucichły; oprócz głosów dorosłych ludzi i przenikliwych okrzyków dzieci oraz ujadania psa, który ostrzegał ich przed trollami.

— To rozsądny ptak — powiedziały trolle o sowie, bo spodobało się im jej pohukiwanie; lecz głosy ludzi, zarówno dorosłych, jak i dzieci, wprawiały słuchaczy w zakłopotanie i męczyły.

Od czasu do czasu trolle widziały światełka latarni spóźnionych wędrowców idących przez wzgórza w stronę Erlu lub słyszały głosy ludzkich mężczyzn, którzy starali się siebie rozweselić, śpiewając w nocnym mroku. I przez cały ten czas gwiazda wieczorna rosła, a wielkie drzewa stawały się coraz czarniejsze,

Potem spod warstwy dymu i mgły snującej się znad strumienia nieoczekiwanie rozległ się donośny dźwięk kościelnego dzwonu z głębokiego mroku panującego w dolinie. Noc, zbocza doliny Erlu i ciemnych wzgórz odpowiedziały echem; echo to dotarło do trolli, zdając się rzucać im wyzwanie, wraz z innymi przekłętymi stworami, zbląkanymi duchami i ciałami, których nie pobłogosławił erlański kapłan.

Ale poważny dźwięk tych ech, samotnie odbijających się w nocnej ciszy wraz z każdym ciężkim ruchem poświęconego dzwonu, pocieszył grupę trolli zagubionych wśród wszystkich dziwacznych rzeczy na Ziemi, gdyż to, co poważne, zawsze budzi wesołość w tych mieszkańcach Krainy Elfów. Poweselały teraz i zachichotały między sobą.

I kiedy tak obserwowały gwiazdne zastępy, zastanawiając się, czy są do nich przyjaźnie nastawione, niebo nabrało barwy niebieskostatowej, gwiazdy na wschodzie przygasły, mgła i dym z ludzkich siedzib stały się białe i jakaś poświata dotknęła najdalszego krańca doliny: to księżyc wypłynął na niebo nad wzgórzami spoza trolli. Następnie ludzkie głosy z wiejskiego kościółka zaśpiewały księżycową jutrznię. Albowiem Erlanie mieli zwyczaj śpiewać w noc pełni księżyca, gdy ten jeszcze wisiał nisko na niebie. Obrzęd ten nazwali księżycowym porankiem. Dzwon umilkł, nie słychać już było przypadkowych rozmów, uciszono też psa, choć usiłował ostrzec swoich panów. I głośna pieśń ludzi popłynęła znad świec w małym, kwadratowym świętym miejscu, zbudowanym z szarego kamienia przez ich przodków przed wieloma wiekami. Ta uroczysta, poważna pieśń rozbrzmiała podczas wschodu księżyca, poważna jak noc, tajemnicza jak miesiąc w pełni i pełna znaczenia, którego nie byłby w stanie pojąć najinteligentniejszy z trolli. A później już trolle jednocześnie podskoczyły w górę z oszronionej trawy na zboczach wzgórz i ruszyły w dół jak potok, aby śmiać się z ludzkich zwyczajów, kpić z ich świętości i zakłócić ich śpiew wesołością.

Wiele królików uciekło przed tą żywą lawiną, a trolle wybuchnęły śmiechem na widok ich przerażenia. Jakiś meteor błysnął na zachodzie, ścigając słońce; albo jako znak mający ostrzec wioskę Erl, że mieszkańcy innego świata zbliżali się teraz do nich, albo też zgodnie z jakimś prawem natury. Trollom zaś wydało się, że to spadła jedna z dumnych gwiazd, i ucieszyły się beztrósko.

Tak oto trolle przybyły, chichocząc, w nocy do wioski i pobiegły jej główną ulicą, niewidoczne jak każde dzikie stworzenie, które wędruje w ciemnościach; Lurulu zaprowadził współplemieńców do gołębnika i wszystkie wdrapały się tam po ścianie. We wsi poszły słuchy, że lis wskoczył do gołębnika, ale ucichły niemal natychmiast, kiedy tylko gołębie wróciły do swoich domków. Dlatego Erlanie nie wiedzieli aż do rana, że coś weszło do ich wioski spoza granic Ziemi.

Stłoczone w brązową masę, ciaśniej niż prosięta przy korycie, trolle zwały się na podłogę gołębnika. I czas przeszedł nad nimi jak nad wszystkimi ziemskimi stworzeniami. A trolle dobrze wiedziały, choć nie grzeszyły inteligencją, że przechodząc przez granicę zmierzchu, narażają się na wpływ czasu. Albowiem wszystko, co przebywa w pobliżu niebezpieczeństwa, żyje, dobrze znając zagrożenie. Podobnie jak króliki wśród wysokich skał doskonale orientują się, jak groźne jest

pionowe urwisko, tak trolle, które przebywają w pobliżu granicy Ziemi, świetnie wiedzą o zdradliwej naturze czasu. A mimo to przybyły. Cuda i dziwy Ziemi były dla nich zbyt pociągające. Czyż jednak wielu młodzieńców nie trwoni młodości, tak jak one trwały nieśmiertelność?

Wtedy Lurulu pokazał im, jak powstrzymać na krótko czas, który w przeciwnym wypadku postarzałby ich z każdą chwilą i który też na całą noc przykręcał tę ziemską nerwowość. Podkulił kolana, zamknął oczy i leżał nieruchomo. To, wyjaśnił im, był sen. Następnie kazał im nadal oddychać, choć oprócz tego miały pozostać nieruchome. Wkrótce potem zasnął mocno: i po kilku daremnych próbach, trolle zrobiły to samo.

Kiedy słońce wstało, budząc wszystkie ziemskie stworzenia, długie promienie słoneczne wpadły przez trzydzieści okienek i obudziły zarówno ptaki, jak i trolle. A potem trolle gromadnie podeszły do okienek, aby spojrzeć na Ziemię, zaś gołębie pofrunęły na krokwie i spoglądały z ukosa na trolle. I trolle na pewno by tam pozostały, stojąc jedne na ramionach drugich, zasłaniając okienka, kiedy przyglądały się różnorodności i niecierpliwości Ziemi, uznając je za równe najdziwniejszym bajkom, które podróżnicy przynieśli do nich z naszych pól. I chociaż Lurulu często im przypominał, całkiem zapomniały o wyniosłych białych jednoroźcach, na które miały polować z psami.

Ale po jakimś czasie Lurulu sprowadził je z gołębnika i przywiódł do psiarni. Tam trolle wspięły się na wysoki płot i spojrzały z wysoka na psy gończe.

Kiedy psy ujrzały dziwaczne głowy trolli wychylające się ponad płotem, narobiły okropnego hałasu. I wkrótce potem ludzie przyszli zobaczyć, co zaniepokoiło psy. Kiedy ujrzeli gromadę trolli na szczycie płotu, powiedzieli do siebie tak głośno, że wszyscy to usłyszeli:

— Teraz w Erlu jest magia.

## ***XXVIII***

### **O POLOWANIU NA JEDNOROŻCE**

Nikt w Erlu nie był aż tak zajęty, żeby nie zobaczyć tego ranka magicznych istot, które dopiero co przyszły z Krainy Elfów, i porównać trolli z tym wszystkim, co jego

sąsiedzi o nich opowiedzieli. Mieszkańcy Erlu długo przypatrywali się trollom, a trolle Erlanom i żywa wesołość ogarnęła wszystkich; albowiem, jak to często zdarza się z umysłami o nierównym poziomie, jedni śmiali się z drugich. A wieśniacy uznali bezczelne zachowanie gołych, brązowych trolli za równie zabawne i zasługujące na drwiny, jak trolle wysokie kapelusze, niezwykłą odzież i poważne miny Erlan.

Orion również tam przybył. Wtedy mieszkańcy wioski uchyliłi długich, wąskich kapeluszy na znak szacunku. Trolle chciały śmiać się również z młodego księcia. Ale Lurulu znalazł swój bat i z jego pomocą zmusił tłum swych zuchwałych współplemieńców do powitania Oriona w taki sposób, jaki w Krainie Elfów należy się członkom królewskiego rodu.

A kiedy nadeszło południe, pora obiadu, wieśniacy powrócili do domów, wszyscy wychwalając magię, która wreszcie przybyła do Erlu.

W następnych dniach psy Oriona przekonały się, że nie warto gonić jakiegokolwiek trolla i że nierozsądnie jest warczeć na niego. Albowiem oprócz szybkich jak u Elfów ruchów, trolle umiały wyskoczyć wysoko w powietrze ponad głowami psów, a gdy każdy z nich otrzymał bicz, mógł odplącić warczącemu psu tak zręcznym ciosem, jakiemu nikt na Ziemi by nie dorównał — oprócz tych, którzy nadzorowali psy od pokoleń.

Jednego ranka Orion przyszedł do gołębnika i wywołał wcześniej Lurulu. Ten zaś wyprowadził trolle. Poszli razem do psiarni, Orion otworzył drzwi i poprowadził wszystkich na wschód między wzgórz. Psy biegły gromadnie, a trolle z biczami mknęły obok nich, jak owczarki pilnujące stada owiec. Wyruszyli ku granicy Krainy Elfów, aby czekać na jednorożce, aż przejdą przez granicę zmierzchu, by wieczorem pożywić się ziemską trawą.

Kiedy zaś zapadający zmierzch stonował zarysy naszych pól, dotarli do zapory o barwie opalu, która oddzielała je od Krainy Elfów. I tam zaczęli się, podczas gdy mrok na Ziemi gęstniał z każdą chwilą, i czekali na wielkie jednorożce. Obok każdego psa stał jeden troll, który opierał prawą rękę na jego karku, uspokajając go i unieruchamiając. W lewej trzymał bicz. Ta dziwna grupa trwała tam bez ruchu, a sylwetki trolli i psów ciemniały wraz z nadejściem nocy. A kiedy Ziemia stała się tak ciemna i spokojna, jak pragnęły tego jednorożce, te wielkie stworzenia przeszły cicho granicę zmierzchu i znalazły się daleko poza nią na Ziemi, zanim jakikolwiek troll pozwolił swemu psu działać. Dlatego kiedy Orion dał sygnał, psy z łatwością

odcięły odwrót jednemu z nich od elfowej ojczyzny i pognały parskającego jednorożca po należących do ludzi polach. Noc nadeszła wraz z galopem magicznego zwierzęcia, biegiem upojonych jego cudownym chuchem psów oraz wysokimi skokami trolli.

A kiedy kawki na najwyższych wieżach Zamku Erl ujrzały cały czerwony skraj tarczy słonecznej nad oszronionymi polami, Orion wrócił ze wzgórz z psami i z trollami, niosąc tak piękne trofeum — głowę jednorożca — jak łowca tych magicznych zwierząt mógłby zapragnąć. Psy, zmęczone, ale zadowolone, niebawem skuliły się w swych budach, a Orion w swoim łożu. Natomiast trolle w gołębniku zaczęły odczuwać, jak tylko Lurulu odczuwał kiedykolwiek przedtem, brzemień czasu i zmęczenie jego wpływem.

Orion wraz z psami spał przez cały dzień, daleki od dociekania, jak śpi czy dlaczego. Natomiast trolle spały niespokojnie, zapadły w sen tak szybko, jak tylko mogły, w nadziei, że uciekną przed wściekłością czasu, który jak się obawiały, zaczynał ich atakować. I tego wieczoru, kiedy wszyscy łowcy spali kamiennym snem, psy, trolle i Orion, erlańska rada ponownie zebrała się w kuźni Narla.

Z kuźni do wewnętrznego pomieszczenia przyszło dwunastu starców, zacierając ręce i uśmiechając się szeroko, z rumieńcami, których źródłem było zdrowie, ostry, północny wiatr i wesołe przewidywania. Nareszcie bowiem byli zadowoleni, że ich pan na pewno władał mocą czarodziejską, i przewidywali wielkie wydarzenia w Erlu.

— Czcigodni — powiedział Narl do wszystkich, używając staroświeckiej formuły — czy wreszcie nie dzieje się dobrze z nami i z naszą doliną? Stało się tak, jak to dawno temu zaplanowaliśmy. Nasz pan włada magią, jak wszyscy tego pragnęliśmy, i magiczne istoty przybyły stamtąd, odszukały go i wszystkie słuchają jego rozkazów.

— Tak właśnie jest — odpowiedzieli zgodnie oprócz Gazica, sprzedawcy wołów.

Erl był niewielki, stary i odizolowany od reszty świata, zamknięty w swojej głębokiej dolinie, nieznany w historii, ale dwunastu radnych kochało swoją małą ojczyznę i pragnęło, by stała się sławna. A teraz ucieszyli się, gdy usłyszeli słowa Narla:

— Jaka inna wioska ma kontakty z tym tam? — zapytał.

Lecz Gazic, chociaż cieszył się z pozostałymi, wstał, gdy na chwilę ucichli, i rzekł:

— Wiele dziwnych stworzeń, przychodzących stamtąd, weszło do naszej wioski. Ale może jest tak, że to ludzie są najlepsi, tak jak zwyczajnie z naszego świata...

Oth i Threl spojrzeli na niego z pogardą.

— Magia jest najlepsza — powiedzieli wszyscy.

Gazic znowu zamilkł i już nie sprzeciwiał się większości. Butla z miodem pitnym krążyła wokół i wszyscy mówili o chwale Erlu. Z czasem Gazie zapomniał o swoich lękach i obawach.

Radowali się do późna w nocy, pijąc miód wielkimi łykami i z jego skromną pomocą patrząc w przyszłość tak daleko, na ile mogą to uczynić ludzkie oczy. Choć jednak radowali się cicho i mówili przytłumionymi głosami, aby miejscowy ksiądz ich nie usłyszał. Chodziło o to, że ich zadowolenie wiązało się z krainami, które znajdują się poza zasięgiem zbawienia, i że zaufali magii, choć dobrze wiedzieli, iż zwalczała ją każde uderzenie kościelnego dzwonu, którym co wieczór dzwonił erlański kapłan. Rozstali się późno, wychwalając czary cichym głosem, i potajemnie wrócili do domów. Albowiem obawiali się klątwy, którą kapłan rzucił na jednorożce, i nie wiedzieli, czy ten wróg czarów nie włączy ich własnych imion do kolejnego obrzędu przeciw magicznym istotom.

Cały następny dzień Orion pozwolił też odpoczywać swoim psom, a trolle i Erlanie patrzyli na siebie. Lecz na drugi dzień po udanych łowach Orion wziął miecz, zgromadził trolle i psy i ponownie wyruszył na wzgórze, by znowu zacząć się przy granicy o barwie zamglonego opalu na jednorożce przechodzące przez nią wieczorem.

Dotarli do części granicy oddalonej od miejsca, którego spokój zakłócili zaledwie trzy dni wcześniej. Oriona prowadziły rozgadane trolle, które dobrze znały żerowiska samotnych jednorożców. Nastął ziemski wieczór, głęboki i cichy, aż zrobiło się ciemno, a mimo to nie usłyszeli stukotu kopyt jednorożców ani nie ujrzeli przelotnie ich białych sylwetek. Lecz trolle zaprowadziły Oriona w dobre miejsce, bo kiedy ten gotów był już pożegnać się z nadzieją na polowanie tej nocy, właśnie wtedy, gdy wieczór wydawał się nieskończenie długi i całkowicie pusty, jakiś jednorożec stanął na ziemskiej stronie granicy zmierzchu, gdzie jeszcze przed chwilą niczego nie było. I wkrótce potem ruszył powoli po ziemskiej trawie na odległość kilku metrów na nasze pola.

Za nim poszedł następny i jak jego poprzednik również oddalił się od granicy światów o kilka metrów. Potem stały nieruchomo przez nasz ziemski kwadrans, strzygąc tylko uszami. I przez cały ten czas trolle trzymały psy, zastygłe, ukryte pod jednym z naszych żywopłotów. Nocny mrok niemal całkowicie je skrył, gdy jednorożce w końcu ruszyły do przodu. Kiedy tylko największy z nich dostatecznie oddalił się od

zapory zmierzchu, trolle wypuściły wszystkie psy i razem z nimi pognały za jednorożcem, wydając głośnie, szydercze okrzyki, pewne, że Orion niebawem odrąbie jego dumną głowę.

Lecz choć trolle o bystrych, lecz małych mózdkach dowiedziały się wielu rzeczy o Ziemi, nie rozumiały jeszcze osobliwości ruchów księżyca. Ciemność była dla nich nowością i rychło zgubiły psy.

Orion, powodowany chęcią zdobycia kolejnego trofeum, nie wybrał odpowiedniej nocy: ta była bezksiężycowa i nocny towarzysz Ziemi miał się pojawić tuż przed świtem. Niezadługo więc młody książę pozostał w tyle.

Łatwo potem pozbierał trolle, gdyż noc była pełna ich niepoważnych okrzyków. Wróciły, kiedy zadał w róg, ale żaden pies za nic nie chciał opuścić ostrego, magicznego zapachu jednorożca. Przywlokły się dopiero następnego dnia, gdy zgubiły trop zdobyczy.

I kiedy każdy troll oczyścił i nakarmił swojego psa wieczorem po polowaniu, położył dla siebie wiązkę słomy, przygładził włosy, wyjął ciernie ze stóp i rzepy z uszu, Lurulu siedział samotnie, skupiwszy swój mały, lecz bystry umysł, jak białe światełko w lampie, nad jedną sprawą. I rozmyślał tak godzinami, do późna w nocy. A zastanawiał się, jak polować na jednorożce w mroku. I do północy ułożył pewien plan.

## XXIX

### WYWABIENIE LUDU BAGIEN

Kiedy następny wieczór zaczął gasnąć, można było zauważyć jakiegoś wędrowca zbliżającego się do groźnych bagien, które leżały na południowy wschód od Erlu wzdłuż skraju ludzkich zagród z zabudowaniami i rozciągały się aż po skraj horyzontu i nawet poza granicę zmierzchu na teren Krainy Elfów. Migotały teraz, gdy światło dzienne opuszczało Ziemię.

Uroczysty strój i wysoki kapelusz wędrowca miały tak czarną barwę, że można go było dostrzec z daleka na tle zamglonej zieleni pól, idącego o zmierzchu na skraj bagien. Nikt też nie przebywał obok tego pustkowia, gdyż ciemność już zbliżała się do pól i wszystkie krowy były w oborach, a wieśniacy w swych ciepłych domach, tak że

wędrowiec szedł sam. Niebawem dotarł do niepewnej dróżki wijącej się wśród trzciny i sitowia, którym wiatr szeptał opowieści niemające żadnego sensu dla człowieka, długie historie o ponurych wichurach i pradawne legendy o deszczu. Tymczasem na wysokich, ciemniejących w oddali wzgórzach nieznajomy zobaczył światełka mrugające tam, gdzie stały domy. Kroczył powoli, z poważną miną kogoś, kto ma ważną sprawę do załatwienia z ludźmi; mimo to był odwrócony plecami do ich domów i szedł tam, dokąd nie zapuszczał się żaden człowiek. Nie udawał się do wioski czy do samotnej ludzkiej zagrody, lecz w stronę, gdzie bagno biegło prosto do Krainy Elfów. Między nim a mglistą granicą, która dzieli Ziemię od Krainy Elfów, nie mieszkał żaden człowiek, lecz wędrowiec szedł dalej, jak ktoś, kto ma ważną sprawę do załatwienia. Z każdym uroczystym krokiem podróżnego jaskrawozielone mchy trzęsły się niebezpiecznie i wydawało się, iż bagno zaraz go pochłonie, bo jego laska zanurzała się głęboko w szlamie, nie dając mu oparcia. Mimo to wędrowiec zdawał się troszczyć tylko o powagę swojej postawy. I tak oto wędrował po śmiertelnie niebezpiecznym bagnie, poruszając się niczym uczestnik powolnej procesji, kiedy rada miejska otwiera jarmark w pewne dni, zaś najważniejszy z radnych uroczyście błogosławi handel, a wszyscy rolnicy podchodzą do kramów i zaczynają transakcje wymienne.

Do góry i w dół, w górę i w dół, ptaki śpiewające chwiejnym lotem wracały do swych gniazd, okrążając skraj bagna w drodze do żywopłotów, które zamieszkiwały. Gołębie udały się w głąb łądy, aby przenocować w wysokich, ciemnych drzewach; ostatni z mnóstwa gawronów też odleciał i powietrze było puste.

A teraz ogromne bagno podnieciły nowiny o nadejściu jakiegoś obcego; albowiem, skoro tylko podróżny postawił stopę na jednej z kęp połyskujących mchów, które rosną w bajorach, dreszcz przebiegł pod ich korzeniami, poniżej łądy sitowia i przemknął pod powierzchnią wody niczym światło lub jak dźwięk jakiejś pieśni i dotarł, drżąc, do granicy czarodziejskiego zmierzchu, która dzieli Krainę Elfów od Ziemi. Nie pozostał tam jednak, lecz poruszył samą granicę, przebył ją i dał się odczuć w ojczyźnie magii: albowiem tam, gdzie wielkie moczary docierają do skraju Ziemi, zaporę zmierzchu jest cieńsza i mniej pewna niż gdzie indziej.

I gdy tylko błędne ogniki wyczuły to drżenie w głębi bagna, uniosły się w górę ze swoich niezgłębionych siedzib i zamachały światełkami, zachęcając wędrowca do dalszej drogi po drżących mchach w porze przelotu kaczek. Wraz z furkotem i trzepotem skrzydeł nadlatujących ptaków wędrowiec ruszył w ślad za chwiejnymi

światelkami, coraz dalej i dalej w głąb moczarów. A przecież czasami odwracał się od nich, tak że przez jakiś czas to one za nim podążały, zamiast go prowadzić, do czego były przyzwyczajone, aż wreszcie zdołały go okrążyć i znowu wskazywać mu drogę. Postronny obserwator, gdyby był ktoś taki w tym tak niebezpiecznym miejscu i mógł widzieć w bardzo słabym świetle, po jakimś czasie zauważyłby w ruchach czcigodnego podróżnika dziwne podobieństwo do zachowania siewki, gdy na wiosnę odciąga ona intruza z dala od porośłego mchem brzegu, gdzie złożyła jaja. A może takie podobieństwo to tylko gra wyobraźni i obserwator niczego takiego by nie zauważył. W każdym razie owej nocy na tym odludziu nie było żadnego obserwatora.

Tymczasem nieznajomy kontynuował tę dziwną wędrówkę, czasami w stronę niebezpiecznych mchów, kiedy indziej ku bezpiecznym, zielonym wysepkom, zawsze z powagą i w pełnej szacunku postawie; zaś wielkie mnóstwo błędnych ogników zgromadziło się wokół niego. Natomiast głęboki dreszcz, który ostrzegł bagno o przybyciu wędrowca, nadal pulsował w szlamie pod korzeniami sitowia. Nie zamarł, jak powinien, gubiąc na śmierć przybysza, lecz nawiedzał moczary niczym echo jakiejś muzyki, którą czary uczyniły wieczną, i niepokoił błędne ogniki nawet poza granicą Krainy Elfów.

Nie zamierzam bynajmniej napisać niczego obraźliwego o błędnych ognikach lub czegoś, co mogłyby uznać za zniewagę: nie należy przypisywać moim słowom takich intencji. Ale wszyscy dobrze wiedzą, że mieszkańcy bagien wabią wędrowców na ich zgubę i że rozkoszują się tym zajęciem od wieków; mogę więc sobie pozwolić na wzmiankę o tym bez cienia dezaprobaty.

Potem otaczające dziwnego wędrowca błędne ogniki zdwoiły z wściekłością swoje wysiłki, a on nadal unikał ich ostatnich przynęt na samym skraju najgroźniejszych bajerek i nadal żył i szedł. Kiedy całe bagno się o tym dowiedziało, wtedy największe błędne ogniki, mieszkające w Krainie Elfów, wstały z czarodziejskiego grzędzawiska i pomknęły przez granicę zmierzchu. Całe bagno było poruszone.

Niemal jak maleńkie księżycy, które szybko stały się bezczelne, Lud Bagien świecił przed poważnym wędrowcem, kierując jego pełne czci kroki na skraj śmierci tylko po to, aby cofnąć się po swoich śladach i ponownie go wabić. Potem zaś, mimo wysokości jego kapelusza i ciemnej, długiej opończy, ten beztroski ludek zauważył, że mchy wytrzymują jego ciężar, choć nigdy nie utrzymały żadnego człowieka. Wtedy błędne

ogniki ogarnęła jeszcze większa wściekłość i wszystkie skokami skierowały się w stronę intruza; podchodziły tłumnie coraz bliżej i bliżej, dokądkolwiek się skierował. Dzika furia sprawiła, że ich pokusy stały się mniej podstępne.

Teraz zaś obserwator na bagnach, gdyby ktoś taki tam był, dostrzegłby coś więcej niż podróznego otoczonego przez błędne ogniki. Zauważyłby bowiem, że to przybysz prawie je prowadzi, a nie odwrotnie. Zniecierpliwieni zwłoką mieszkańcy bagien nigdy nie pomyśleli, że coraz bardziej zbliżają się do suchego łądu.

A kiedy wszystko pociemniało z wyjątkiem wody, bagniki nagle znalazły się na trawiastej łące, drapiąc stopami o nierówne pastwisko, podczas gdy wędrowiec siedział z kolanami podciągniętymi do brody i przyglądał się im spod wysokiego, czarnego kapelusza. Nigdy dotąd żaden z nich nie został wywabiony na suchy łąd przez podróżnika, a owej nocy były wśród nich największe i najstarsze, z podobnymi do księżycy światełkami. To one przybyły przez granicę zmierzchu prosto z Krainy Elfów. Popatrzyły po sobie z niepokojem i zdziwieniem, gdy w pewnej chwili opadły bezwładnie na trawę, gdyż twardość i ciężar ziemi bardzo im dokuczały po życiu na moczarach. Potem zauważyły, że ten czcigodny wędrowiec, którego błyszczące oczy obserwowały ich tak uważnie z czarnego kłębowiska ubrań, niewiele przewyższał ich wzrostem pomimo poważnej postawy. I rzeczywiście, chociaż bardziej otyły i okrągły, wcale nie był taki wysoki. Kto to taki, zaczęły mówić półgłosem między sobą, kto zwabił błędne ogniki? Kilku starszych bagniaków podeszło do przybysza, aby zapytać go, skąd miał w sobie tyle zuchwalstwa, że ośmielił się zwabić takich jak oni. Wtedy wędrowiec przerwał milczenie. Nie podnosząc się ani nie odwracając głowy, zapytał z miejsca, w którym siedział:

— Ludu Bagien, czy lubisz jednorożce? — powiedział.

Na dźwięk słowa "Jednorożce" drwina i śmiech napęliły każde małe serce w całej tej beztroskiej gromadzie, wypierając wszystkie inne uczucia. Tak więc bagniki zapomniały o gniewie na przybysza za to, że wywabił je z moczarów. A przecież takie postępowanie błędne ogniki uważają za największą obrazę i nigdy by mu tego nie wybaczyły, gdyby miały lepszą pamięć. Słyszając pytanie o jednorożcach, wszystkie zachichotały cichutko. Zrobiły to, migocąc w górę i w dół, jak odbicie światła w małym lusterku, którym machnęła czyjaś zuchwała ręka. Jednorożce! Nie lubiły tych wyniosłych stworzeń.

Niech się nauczą rozmawiać z Ludem Bagien, kiedy przychodzą się napić do ich

jezierek. Niech nauczą się okazywać należy szacunek wielkim światłom Krainy Elfów i mniejszym, które oświecały ziemskie moczary!

— Nie — odparł pewien członek starszyny błędnych ogników — nikt nie kocha dumnych jednoroźców.

— Więc chodźcie ze mną i zapojujmy na nie — zaproponował wędrowiec. — Oświećcie nam drogę w nocy waszymi światłami, kiedy będziemy na nie polować z psami w świetle ludzi.

— Czcigodny wędrowcze — zaczął ten sam starszy błędny ognek, ale na te słowa przybysz podrzucił do góry kapelusz, wyskoczył z długiej, czarnej opończy i stanął zupełnie nagi przed błędnymi ognikami. I bagniki zobaczyły, że to jakiś troll, który ich oszukał.

Mieszkańcy bagien niezbyt się jednak rozgniewali, bo już zdarzyło się, że oszukali trolle, a trolle ich; każdy z ich ludów zrobił to tyle razy od niepamiętnych czasów, że tylko najmądrzejsi spośród nich mogą powiedzieć, kto nad kim ma przewagę i o ile sztuczek. Teraz pocieszyli się myślą o czasach, gdy to oni ośmieszyli trolle, i zgodzili się przyjść ze swoimi światłami, by pomóc w polowaniu na jednoroźce. Stało się tak dlatego, że ich wola słabła, gdy stali na twardej ziemi, a wtedy łatwo wyrażali zgodę na każdą sugestię lub spełniali czyjś kaprys.

To Lurulu wykołował w ten sposób błędne ogniki, dobrze wiedząc, iż uwielbiają one wabić podróżnych. Kiedy zdołał ukraść największy kapelusz i najobszerniejszą opończę, wystawił się na wabika, wiedząc, że tak zmusi Lud Bagien do przebycia wielkich odległości. I gdy zgromadził ich wszystkich na suchym gruncie, otrzymując obietnicę o świetle i pomocy przeciwko jednoroźcom, których to bagniki nie znosiły z powodu dumy i wyniosłości, zaczął ich prowadzić w stronę wioski Erl. Najpierw szedł powoli, aby ich stopy przyzwyczyły się do twardej ziemi, i poprzez pola sprowadził kulejących bagników do tej ludzkiej osady.

A gdy na wielkich moczarach nie było niczego, co w czymkolwiek przypominałoby ludzi, gęsi sfrunęły na dół z głośnym trzepotem skrzydeł. Mała, szybka cyraneczka poderwała się z gniazda i całe powietrze aż zadźwięczało od furkotu innych kaczek.

## XXX

### DO ERLU PRZYBYŁO ZA DUŻO MAGII

W wiosce Erl, która dawno temu wzdychała za magią, teraz naprawdę była magia. Gołębnik i stare szopy na drewno były pełne trolli, drogi — ich błazeńskich sztuczek, a błędne ogniki podskakiwały w dół i w górę na ulicy do późnej nocy po odejściu ludzi do domów.

Albowiem bagniki tańczyły wzdłuż rynsztoków i zagnieździły się wokół miękkich zakątków kaczyc stawów oraz w zielono-czarnych płatach mchów, które rosły na najstarszych strzechach. I nic już nie wydawało się takie same w starej wiosce.

Wśród tych wszystkich magicznych istot elfowa połowa krwi Oriona, która spała przez czas, gdy przebywał wśród ludzi, otwarty na codziennie ziemskie rozmowy, ocknęła się ze snu i obudziła długo śpiące myśli w jego mózgu. Teraz granie elfowych rogów, które często słyszał wieczorem, nabrało dla niego znaczenia i brzmiało głośniejsz, jak gdyby znajdowały się one bliżej niż poprzednio.

Mieszkańcy wioski, obserwując swego pana za dnia, zauważyli, że zwracał oczy w stronę Krainy Elfów, że lekceważył zdrowe, ziemskie sprawy i że nocą pojawiały się niesamowite światła i słychać było bełkot trolli. Strach ogarnął wtedy Erl.

Dlatego erlańska rada znowu się zebrała, dwunastu siwobrodych drżących mężczyzn, którzy przyszedli do chaty Narla wieczorem po skończonej pracy. I cały ten wieczór był niesamowity dzięki nowej magii z Krainy Elfów. Każdy z członków rady, kiedy biegł ze swojego ciepłego domu po drodze do kuźni Narla, widział skaczące światła lub słyszał bełkoczące głosy, które nie pochodziły z żadnego chrześcijańskiego kraju. Niektórzy dostrzegli jakieś nieziemskie postacie grasujące po okolicy i zlekli się, że najróżniejsze stwory prześlizgnęły się przez granicę Krainy Czarów, aby odwiedzićtrolle.

Rozmawiali cicho na sesji rady: wszyscy opowiedzieli tę samą historię — o przerażonych dzieciach, o kobietach żądających powrotu dawnych zwyczajów. Mówiąc to, przyglądali się oknu i szczelinom w ścianach, bo żaden z nich nie wiedział, co może przez nie wejść.

Wtedy Oth oświadczył: — Chodźmy do pana Oriona, tak jak poszliśmy do jego dziadka do podłużnej, czerwonej komnaty. Opowiedzmy, jak pragnęliśmy magii i oto

mamy dość magii. Niech nie szuka więcej czarów ani rzeczy ukrytych przed oczami ludzi.

Nasłuchiwał przy tym uważnie, stojąc wśród swoich milczących sąsiadów-radnych. Czy to drwiły z niego głosy trolli, czy też było to tylko echo? Któż mógł to wiedzieć? I prawie zaraz wszystko wokół znowu ucichło w nocnym mroku.

I wtedy Threl odpowiedział:

— Nie. Już za późno na to. — Bo pewnego wieczoru Threl zobaczył młodego księcia na wzgórzach: Orion stał sam, nieruchomo, z oczami zwróconymi na wschód i słuchał czegoś dochodzącego z Krainy Czarów. Nic nie było słyhać, żadnego odgłosu, a przecież wydawało się, że syna Alweryka wzywały dźwięki niesłyszalne dla śmiertelników. — Teraz jest już za późno — powtórzył.

I to najbardziej ich przerażało.

Potem Guhic wstał powoli i stanął przy stole. W oddali trolle popiskiwały jak nietoperze w gołębniku, a blade błędne ogniki migotały i jakieś niewyraźne postacie krążyły w ciemnościach: tupot ich stóp od czasu do czasu docierał do uszu dwunastu członków rady, którzy przebywali w pomieszczeniu za kuźnią. A Guhic wtedy powiedział: — Pragnęliśmy tylko trochę magii.

Na co wybuch bełkotu dotarł od strony trolli. A potem radni dyskutowali przez jakiś czas, jak wiele magii pragnęli dawniej, kiedy dziadek Oriona był księciem Erlu. I gdy w końcu ustalili jakiś plan, był to plan Guhica.

— Jeżeli nie możemy się zwrócić do naszego pana Oriona — odezwał się — gdyż oczy ma zwrócone na Krainę Elfów, niech cała nasza rada uda się na wzgórze do czarownicy Ziroonderel, przedstawi jej nasz dylemat i poprosi o jakiś czar, który można użyć przeciw zbyt wielkiej magii.

Na dźwięk imienia Ziroonderel dwunastu starców znów nabrało otuchy; wiedzieli bowiem, że jej czary są potężniejsze od magii błyskających światła i że wszystkie trolle czy nocne stwory obawiają się jej miotły. Otucha ponownie napełniła ich serca, napili się mocnego miodu pitnego Narla, ponownie napełnili nim kufle i pochwalili Guhica.

Późno w nocy wstali wszyscy razem, by wrócić do swoich domów. A idąc, trzymali się blisko siebie, śpiewając stare, poważne pieśni, aby wystraszyć stwory, których się obawiali; chociaż ani trolli, ani błędnych ogników, skoro już o tym mowa, niewiele obchodzą sprawy, które ludzie uważają za poważne. I kiedy pozostał tylko jeden, co sił w nogach pobiegł do swojej chaty, a błędne ogniki goniły go dla zabawy.

Następnego dnia wszyscy wcześniej skończyli pracę, gdyż nie chcieli pozostać na wzgórzu czarownicy po zapadnięciu zmroku, a nawet zmierzchu. Jedenastu członków rady spotkało się przed kuźnią Narla wczesnym popołudniem i wezwało kowala. Wszyscy mieli na sobie ubrania, w których chodzili do kościoła wraz z resztą Erlan, chociaż każdą duszę, którą wyklął miejscowy ksiądz, błogosławiła stara czarownica. Potem ruszyli w stronę wzgórza czarownicy ze starymi, mocnymi kijami w dłoniach.

I najszybciej jak mogli, przyszli do chaty Ziroonderel. Zastali ją siedzącą przed drzwiami; patrzyła gdzieś w dal, poza dolinę Erlu. Czarownica nie wyglądała ani starszej, ani młodziej i zdawała się w żaden sposób nie przejmować upływem lat.

— Jesteśmy erlańską radą — powiedzieli, stając przed nią w odświętnych strojach.

— Wiem — odparła. — I pragnęliście magii. Czy już do was przyszła?

— Tak — odrzekli. — I to w nadmiarze.

— I będzie jej jeszcze więcej — wyjaśniła.

— Matko Czarownico — powiedział Narl — spotkaliśmy się tutaj, żeby cię prosić o danie nam mocnego czaru, który będzie amuletem przeciw magii, aby nie było jej więcej w naszej dolinie, gdyż nadmiar nas przytłacza.

— Za dużo? — spytała. — Za dużo magii! Jak gdyby magia nie była urozmaiceniem i esencją życia, jego ozdobą i splendorem. Na moją miotłę, nie dam wam żadnego czaru przeciw magii!

A radni pomyśleli o wędrujących światłach i o ledwie widocznych bełkocących stworach, o wszystkim, co dziwne i złe, co przybyło do ich doliny, i znowu ją poprosili, przemawiając do niej uprzejmie:

— Och, Matko Czarownico — powiedział Guhic — tam naprawdę jest za dużo magii i wszystkie istoty, które powinny przebywać w Krainie Elfów, przeszły przez granicę z Ziemią.

— Rzeczywiście tak się stało — dodał Narl. — Granica została przerwana i nie będzie temu końca. Błędne ogniki powinny zostać na bagnach, a trolle i gobliny w Krainie Elfów, zaś my, ludzie — trzymać się z naszymi pobratymcami. Wszyscy tak myślimy. Bo ta magia, jeśli nawet pragnęliśmy jej w jakiś sposób, przed laty, gdy byliśmy młodzi, dotyczy spraw, które nie są przeznaczone dla ludzi...

Przyjrzała mu się w milczeniu, a podobny do kociego blask coraz jaśniej świecił w jej oczach. Kiedy ani nie odpowiedziała, ani się nie poruszyła, Narl znowu ją poprosił.

— O Matko Czarownico — rzekł — więc nie dasz nam żadnego czaru do ochrony

naszych domów przed magią?

— Nie dam żadnego czaru! — syknęła. — Żadnego! Na moją miotłę, na gwiazdy i nocne loty! Chcielibyście ograbić Ziemię z jej dziedzictwa, które przybyło z dawniejszej epoki?! Chcielibyście odebrać jej skarb i zostawić ją naga, narazić na szyderstwa jej siostrzanych planet?! Rzeczywiście byliśmy biedni bez magii, w którą teraz jesteśmy dobrze zaopatrzeni ku zazdrości mroku i przestrzeni. — Siedząc, pochyliła się do przodu i stuknęła laską, po czym wbiła w twarz Narla dziki, nieubłagany wzrok. — Prędzej dałabym wam czar przeciw wodzie, żeby cały świat paliło pragnienie — oświadczyła — niż podarowała wam zaklęcie przeciwko pieśni strumieni, którą wieczorem słychać słabo ponad szczytami wzgórz, zbyt przygłuszonej dla czujnych uszu, pieśni wplecionej w sny, od której dowiadujemy się o dawnych wojnach i zaginionych kochankach duchów rzek. Prędzej dałabym wam czar przeciwko chlebowi, żeby cały świat głodował, niż podarowała wam zaklęcie przeciwko magii pszenicy, która nawiedza złociste kotlinki w księżycowej poświacie w lipcu, dzięki której w te ciepłe, krótkie noce wędruje wiele istot, o jakich ludzie nic nie wiedzą. Dałabym wam czary przeciw wygodzie i ubiorom, jadłu, schronieniu i ciepłu, tak, i zrobię to prędzej niż wydrę biednym ziemskim polom magię, która jest dla nich ciepłą opończą chroniącą przed chłodem przestrzeni kosmicznej i barwnym strojem przeciw szyderstwom nicości... Wynoście się. Do waszej wioski. I wiedźcie, wy, którzy pragnęliście magii za młodu, ale nie chcecie jej w starości, wiedźcie, że istnieje coś takiego jak ślepotą duszy, która przychodzi z wiekiem, czarniejsza niż ślepotą oczu, która was przenika, choć nie można jej zobaczyć, poczuć ani pojąć w jakikolwiek sposób. I żaden głos z tej ciemności nie zmusi mnie do dania wam zaklęcia przeciw magii. Precz!

I kiedy powiedziała „precz!”, całym ciężarem wsparła się na lasce i najwidoczniej zamierzała wstać. A wtedy wielkie przerażenie ogarnęło erlańską radę. W tej samej chwili starcy zauważyli, że zbliża się wieczór i że robi się ciemno w całej dolinie. Na tym położonym wysoko polu, gdzie rosła kapusta czarownicy, pozostało jeszcze trochę światła, i radni, słuchając jej ostrych słów, nie pomyśleli o czasie. Teraz jednak wyraźnie zrobiło się późno i wiatr wiał w najlepsze, ten wiatr, który zdawał się przybywać spoza niedalekich szczytów wzgórz, z głębi nocy. Zmroził ich i wydało się im, że samo powietrze przenikało to, przeciw czemu szukali jakiegoś czaru.

I teraz, o tej porze, stali przed rozgniewaną czarownicą, która najwidoczniej

zamierzała wstać. Nie odrywała od nich oczu. Już częściowo uniosła się z krzesła. Nie mieli wątpliwości, że za parę chwil pokuśtyka ku nim, wpatrując się roziskrzonymi oczami w twarz każdego z nich. Odwrócili się więc i pobiegli w dół zbocza.

## XXXI

### KLĄTWA RZUCONA NA PRZYBYSZÓW Z KRAINY ELFÓW

Kiedy cała rada Erlu zbiegła ze wzgórza czarownicy, wpadła w wieczorny zmierzch. Rozciągał się on szarą warstwą w dolinie nad mgłą unoszącą się ze strumienia. Ale powietrze w Erlu było ciężkie nie tylko od tajemnicy zmierzchu. Wcześniej mrugające w chatach światełka wskazywały, że wszyscy Erlanie byli u siebie, a ulicę opuściły wszelkie ludzkie istoty; oprócz ich pana Oriona idącego w milczeniu, niemal ukradkiem, gdy mijał ich niczym wysoki cień, a za nim podążały błędne ogniki. Księżę Erlu kierował się do siedziby trolli, nie myśląc o niczym, co ludzkie i ziemskie. Ta rosnąca z każdym dniem obcość sprawiła, że cała wioska sprawiała niesamowite wrażenie. Dlatego dysząc ciężko, dwunastu starców, przestraszonych i zaniepokojonych, pośpiesznie szło dalej.

I tak dotarli do kościółka miejscowego księdza, który znajdował się w części wsi zwróconej ku wzgórzu czarownicy. Właśnie o tej porze kapłan miał zwyczaj celebrować „pieśń po ptakach”, jak Erlanie nazywali śpiewy w świętym miejscu w porze, gdy wszystkie ptaki wróciły do swoich gniazd. Ale księdza nie było w kościele; stał w zimnym nocnym powietrzu na najwyższym stopniu schodów, zwróciwszy twarz w stronę Krainy Elfów. Miał na sobie świętą szatę z purpurowym obrzeżem, a na szyi złoty symbol swojej religii. A przy tym zamknął drzwi kościoła i odwrócił się do nich plecami. Radnych zdziwiła jego postawa.

I kiedy się nad tym zastanawiali, kapłan zaczął przemowę, a jego słowa brzmiały głośno i wyraźnie w wieczornym powietrzu. Oczy skierował na wschód, gdzie już pokazało się kilka najwcześniejszych gwiazd. Unosząc wysoko głowę, mówił tak, jak gdyby jego głos mógł przebyć granicę zmierzchu i jakby mieszkańcy Krainy Elfów byli

w stanie go usłyszeć.

— Niech będą przeklęte wszystkie wędrujące stwory, dla których nie ma miejsca na Ziemi — mówił. — Niechaj będą przeklęte wszystkie światła, które przebywają na moczarach i na bagnistych miejscach. Ich domem są głębiny moczarów. Niechaj nigdy nie ruszą się stamtąd aż do Dnia Sądu Ostatecznego. Niech przebywają w swoich siedzibach i tam czekają na potępienie.

Niech będą przeklęte gnomy, trolle, elfy i gobliny na ziemi i wszystkie duchy wód.

I fauny też niech będą przeklęte, i te, które towarzyszą bożkowi imieniem Pan. I wszystko, co przebywa na wrzosowisku, co nie jest ani zwierzętami, ani ludźmi. Niech będą przeklęte wróżki i wszystkie opowieści o nich, i ten, kto rzuca czary na łąki przed wschodem słońca, i wszystkie baśnie o wątpliwej wartości, i legendy, które ludzie przekazują sobie od czasów pogańskich.

Niech będą przeklęte miotły, które opuszczają swoje miejsce przy ognisku.

Przeklęte niech będą czarownice i wszelkie rodzaje czarów.

Niech będą przeklęte kręgi muchomorów i to, co w nich tańczy. I wszystkie dziwne światła, dziwne pieśni, dziwne cienie lub pogłoski, które o nich mówią, i wszystkie wątpliwe twory mroku i monstra, których lękają się niedouczzone dzieci, i opowieści starych kobiet, i czyny popełnione w nocie letniego przesilenia; wszystko to niech będzie przeklęte wraz ze wszystkim, co skłania się ku Krainie Elfów, i wszystkim, co stamtąd przybywa...

Błądny ognik nigdy nie tańczył zwinnie na wiejskiej drodze lub w stodole, ale zawsze nad nią. Noc aż złociła się od nich. Ale kiedy erlański kapłan przemówił, cofnęły się przed jego przekleństwami i zawisły w powietrzu nieco dalej, jak gdyby uniósł je lekki wiaterek, i znowu tańczyły w niewielkiej odległości od poprzedniego miejsca. Zrobiły to przed nim, za nim i z obu jego stron, kiedy stał na schodach prowadzących do kościoła. Tak więc zewsząd otaczał go krąg mroku, a poza tym kręgiem świeciły ogniki z bagien i z Krainy Elfów.

A wewnątrz ciemnego kręgu, w którym stał ksiądz, rzucając przekleństwa, nie było pogańskich stworów, dziwości, jaka nadchodziła wraz z nocą, ani szeptów nieznanymi głosów, ani dźwięków muzyki docierających z ulubionych miejsc ludzi; wszystko tam było uporządkowane, przyzwoite i żadne tajemnice nie niepokoiły tego spokoju oprócz takich, jakie słusznie zostały przyznane ludziom.

Natomiast poza tym kręgiem, skąd tak wiele zostało wypędzone poprzez

gwałtowne, gniewne przekleństwa kapłana, szalały błędne ogniki, podobnie jak wiele dziwnych istot, które napłynęły tej nocy z Krainy Elfów, zaś trolle urządziły sobie święto. Albowiem w ojczyźnie czarów rozeszła się wieść, że miłe istoty miały teraz siedzibę w Erlu. Dlatego wiele bajkowych stworzeń, wiele mitycznych potworów, przekradło się przez granicę zmierzchu i przybyło do Erlu, żeby to zobaczyć. A światełka oraz fałszywe, ale przyjazne, błędne ogniki tańczyły w przesyconym magią powietrzu i powitały ich radośnie.

I nie tylko trolle i błędne ogniki wywabiły te istoty z ich baśniowej ojczyzny przez rzadko przekraczaną granicę między światami, ale wzywały je teraz tęsknota i myśli Oriona, który w połowie był spokrewniony z mitycznymi istotami i należał do tej samej rasy co potwory z Krainy Elfów. Już od tego dnia, kiedy wahał się między Ziemią i Krainą Czarów, coraz bardziej i bardziej tęsknił za swoją matką. Obecnie, bez względu na to, czy pragnął tego, czy też nie, jego myśli wołały do elfowych krewnych, którzy kryli się w leśnych zakątkach. I w godzinie, kiedy granie elfowych rogów przeniknęło przez granicę zmierzchu, krewni ci podążyli tłumnie za nimi. Albowiem elfowe myśli są tak blisko spokrewnione z istotami zamieszkującymi Krainę Czarów, jak gobliny z trollami.

We wnętrzu ciemnego, spokojnego kręgu, który stworzyły przekleństwa chrześcijańskiego księdza, dwunastu starców stało w milczeniu, wsłuchując się w każde słowo. I te słowa wydały się im dobre, uspokajające i słuszne, gdyż byli oni zbyt zmęczeni magią.

Ale poza tym kręgiem ciemności, wśród jaskrawego blasku błędnych ogników, które migotały przez całą noc, wśród śmiechu goblinów i niepohamowanej wesołości trolli, gdzie stare legendy wydawały się żywe, a najbardziej przerażające opowieści prawdziwe, Orion przeszedł ze swymi psami wśród wszelkiego rodzaju tajemnic, dziwacznych dźwięków, kształtów i niesamowitych cieni, kierując się na wschód, w stronę Krainy Elfów.

## XXXVII

### LIRAZEL TĘSKNI ZA ZIEMIĄ

W sali zbudowanej z poświęty księżycowej, snów, muzyki i miraży, Lirazel uklękała na roziskrzonej podłodze przed tronem jej ojca. I blask czarodziejskiego tronu odbił się błękitem w oczach elfowej księżniczki, a jej oczy w odpowiedzi rozbłysły światłem, które pogłębił ich czar. I klęcząc tam, poprosiła swego ojca o pewien czar.

Dawne dni nie chciały jej uwolnić, słodkie wspomnienia tłoczyły się wokół niej: kochała trawniki Krainy Elfów, trawniki, na których się bawiła obok starych, cudownych kwiatów, zanim ludzie zapisali jakąkolwiek opowieść; uwielbiała słodkie, miękkie w dotyku mityczne stworzenia, które wyłaniały się z zakłętego lasu i kroczyły po zaczarowanej trawie; kochała każdą baśń, pieśń i czar, które stworzyły jej elfową ojczyznę; a przecież dzwony Ziemi, których dźwięk nie mógł przebyć granicy milczenia i zmierzchu, uderzały raz po raz w jej mózgu i jej serce wyczuwało wzrost małych, ziemskich kwiatków, kiedy kwitły, więdły lub spały podczas pór roku, które nie przybywają do Krainy Elfów. I podczas tych pór roku, które ginęły, przemijając, wiedziała, że Alweryk wędrował po skalnej pustyni, że Orion żył, rósł i zmieniał się i że obaj, jeżeli ziemska legenda jest prawdziwa, wkrótce będą dla niej straceni na zawsze, kiedy złote bramy Nieba zatrzasną się za nimi z hukiem. Albowiem między Krainą Elfów a Niebem nie ma żadnej drogi, żadnej ścieżki i żadne nie posyła ambasadorów do drugiego. Tęskniła za ziemskimi dzwonami i angielskimi kaczeńcami, ale nie chciała się ponownie wyrzec swego potężnego ojca ani świata, który stworzył jego umysł. Zresztą Alweryk nie przybył, ani jej syn Orion; tylko dźwięk rogu ziemskiego małżonka dotarł do niej jeden raz i często dziwne tęsknoty zdawały się unosić w powietrzu, miotając się daremnie tam i z powrotem między nią a Orionem. I świecące kolumny, które podtrzymywały kopulasty dach czy też go unosiły, zadrzały lekko od jej smutku; cienie jej smutku zamrugały i zgasły w kryształowej głębi ścian pałacu, na moment przyćmiewając wiele kolorów nieznanych na Ziemi, ale nie pomniejszając ich piękna. Co mogła zrobić? Nie chciała odrzucić magii i opuścić ojczyzny, której wieczny dzień zdobył jej sympatię, podczas gdy stulecia więdły niczym liście na ziemskich wybrzeżach, lecz małe, ziemskie pnącza jeszcze wiązały jej serce. Czy są

dostatecznie silne?

Niektórzy ludzie, przekładając jej gorzkie uczucia na bezlitosne ziemskie słowa, mogliby powiedzieć, że pragnęła być w obu miejscach jednocześnie. I tak rzeczywiście rzeczy się miały, a to, co niemożliwe, znajduje się na granicy śmiechu, a ona — ona mogła tylko i jedynie płakać. Niemożliwe? Czy to było niemożliwe? Mamy tu przecież do czynienia z magią...

Poprosiła zatem ojca o pewien czar, klękając na magicznej posadzce w samym środku Krainy Elfów, a wokół niej wznosiły się mgliste kolumny, które może opisać tylko pieśń, kolumny, które przyprawiał o drżenie i niepokoił smutek Lirazel. Poprosiła, a raczej błagała o czar, który przywróciłby jej Alweryka i Oriona, bez względu na to, gdzie wędrowali na Ziemi, przeprowadził ich przez granicę zmierzchu do ojczyzny czarów, aby żyli w tym beczasowym wieku, który jest jednym niekończącym się dniem w Krainie Elfów. Prosiła też, aby z jej bliskimi mogło przybyć (gdyż potężne czary jej ojca miały nawet taką władzę) kilka ziemskich ogrodów lub brzeg rzeki, gdzie kwitną fiołki, lub kotliny, gdzie kołysały się kaczeńce, aby na zawsze jaśniały w zaklętej krainie.

Ojciec odpowiedział jej głosem, który brzmiał jak muzyka nigdy nie słyszana w żadnym z ludzkich miast czy wyśniona na ziemskich wzgórzach. A wypowiedziane przezeń dźwięczne słowa miały moc zmieniania kształtów wzgórz ze snów lub wyczarowania nowych kwiatów, by rozkwitły na elfowych łąkach.

— Nie mam żadnego czaru — odrzekł — który mógłby przebyć granicę lub zwabić cokolwiek z ziemskich pól, czy to będą fiołki, kaczeńce czy ludzie, aby przeszli przez nasz bastion zmierzchu, który wzniosłem, aby chronił nas przed istotami z materii. Mam tylko jeden czar, a jest to ostatnia z mocy naszego królestwa...

Mimo to, nadal klęcząc na błyszczącej posadzce, o której głębokiej przezroczystości może opowiedzieć tylko pieśń, błagała go o ten czar, ostatnią moc ze straszliwych cudów Krainy Elfów.

On zaś nie chciał zmarnować tego czaru, który spoczywał zamknięty w jego skarbcu, najbardziej magiczny z jego mocy i ostatni z trzech. Trzymał go bowiem w rezerwie przeciw niebezpieczeństwu, które zagrozi pewnego dalekiego i nieznanego dnia. Blask owego dnia świecił tuż poza krzywą wieków, zbyt daleko, aby dosięgła go potęga wiedzy nawet władcy Elfów.

Lirazel wiedziała, że jej ojciec przesunął swoje królestwo na wielką odległość i

osadził znów na poprzednim miejscu, tak jak księżyc władający pływami, aż ponownie lizało sam skraj świata ludzi, zaś jego połyskliwa granica dotykała koniuszków ziemskich żywopłotów. A gdyby, tak jak księżyc, wykorzystać ten rzadko spotykany mechanizm, po prostu przenosząc się gdzie indziej z pomocą magicznego gestu... Czy nie mógłby, pomyślała Lirazel, jeszcze bardziej zbliżyć do siebie Krainę Elfów i Ziemię, wykorzystując to, co robi właśnie księżyc podczas pływu kwadraturowego? I dlatego poprosiła go jeszcze raz, przypominając mu cuda, których dokonał, choć użył do tego nie jakiegoś rzadkiego czaru, lecz machnął ręką w pewien sposób. Opowiedziała o magicznych storczykach, które niegdyś spadły na klify niczym różowa piana rozbijająca się nad Elfowymi Górami. Wspomniała o pokrytych puszkami skupiskach dziwacznych kwiatów koloru malwy, które kwitły w trawie górskich dolinek, i o wspinałości kwiatów, które na zawsze strzegły trawników przed pałacem. Albowiem to on uczynił te wszystkie cuda: zarówno pieśń ptaków, jak i kwitnienie kwiatów były jego natchnieniem. Jeśli takich cudów, jak pieśń i kwiaty, dokonał ruchem ręki, na pewno może skinieniem sprowadzić z niewielkiej przecież odległości od Ziemi kilka pól, które leżały tak blisko granicy między światami. Albo na pewno potrafi ponownie przesunąć nieco Krainę Elfów w stronę Ziemi, którą niedawno odsunął tak daleko aż do szlaków najdalszych komet, i znów sprowadził na skraj ziemskich pól.

— Nigdy — odparł — żaden czar oprócz jednego, żadne zaklęcie czy cud ani żadna magiczna istota nie może przemieścić naszego królestwa na szerokość ptasiego skrzydła ponad ziemską granicę, ani sprowadzić czegokolwiek stamtąd tutaj. Przecież nawet najmniejsi mieszkańcy tego świata wiedzą, że może to sprawić tylko to jedno zaklęcie.

Lecz Lirazel dalej nie mogła uwierzyć, że jej ojciec z pomocą swych czarodziejskich mocy nie jest w stanie łatwo połączyć ziemskich pól i cudów Krainy Elfów.

— Wszystkie moje czary nie mają tam żadnej mocy, moje zaklęcia milkną, a prawe ramię jest bezsilne.

Dopiero usłyszawszy, co powiedział o tym przerażającym prawym ramieniu, w końcu siłą rzeczy Lirazel mu uwierzyła. Wtedy jeszcze raz poprosiła go o tamten najpotężniejszy czar, ten tak dawno przechowywany skarb Krainy Elfów, potęgę zdolną pokonać ogromny ciężar Ziemi.

Wówczas wybiegł myślą naprzód, w przyszłość, zupełnie sam, wpatrując się w odległe lata. Zapewne samotny wędrowiec w nocy na pustej drodze prędzej by oddał

swoją latarnię niż ten władca Elfów użyłby teraz swego ostatniego potężnego czaru i pozbył się go w ten sposób, i wyruszył bez niego w te niepewne lata, których niejasne zarysy zobaczył, wraz z wieloma przyszłymi wydarzeniami, lecz nie do końca. Tak łatwo poprosiła o ten straszny czar, aby zaspokoić jedyne pragnienie. Bez trudu mógłby spełnić jej życzenie, gdyby był tylko człowiekiem; lecz w swojej mądrości zobaczył tak wiele lat, które miały nadejść, że bał się stawić im czoło bez swojego ostatniego potężnego czaru.

— Za naszą granicą żywiły są dzikie, silne i liczne. Mogą zniknąć w ciemnościach albo się mnożyć, gdyż one również mają cudowne właściwości — wyjaśnił. — Gdybyśmy użyli tego ostatniego potężnego czaru i stracili go, w całym naszym królestwie nie ma żadnego zaklęcia, którego mogłyby się obawiać. Wtedy materialne przedmioty i istoty będą się mnożyć i ujarzmią nasze moce. A my — bez żadnego czaru, którego się obawiają — staniemy się tylko baśnią. Dlatego musimy zachować tę broń.

W ten sposób raczej starał się przemówić córce do rozsądku niż jej rozkazywał, chociaż był założycielem i królem całej tej krainy i wszystkiego, co w niej wędrowało, a także światła, które od wszystkiego biło. A rozsądek w Krainie Elfów nie był czymś powszednim, lecz egzotycznym cudem. Z jego pomocą próbował uspokoić jej skierowane ku Ziemi zachcianki.

Ale Lirazel nie odpowiedziała, tylko płakała, lejąc łzy z zaczarowanej rosy. I cały rząd Elfowych Gór zadrżał, jak wędrujące wiatry drżą w takt dźwięków skrzypiec, tak wysokich, że stały się niesłyszalne. I wszystkie baśniowe istoty, które przebywały w Krainie Elfów, poczuły w sercach dziwne uczucie, jak wtedy, gdy milknie ostatnia nuta jakiejś przepięknej pieśni.

— Czyż nie będzie lepiej dla Krainy Elfów, jeśli tak postąpię? — zapytał władca magii.

Lecz jego córka nadal płakała.

Wówczas król Elfów westchnął i ponownie zastanowił się nad dobrem swego królestwa. Albowiem Kraina Elfów czerpała szczęście ze spokoju tego pałacu, który był jej centrum, a który można opiewać tylko w pieśniach. Teraz pałacowe wieżyczki drżały lekko, światło ścian przygasło i obłok smutku wypływał przez jego zwieńczone łukiem wejście, rozpościerając się ponad elfowymi łąkami i kotlinami ze snu. Jeżeli Lirazel znów dostąpi szczęścia, Kraina Elfów będzie mogła pławić się w tym niezmaconym świetle i wiecznym spokoju, którego promieniowanie błogosławi

wszystko oprócz materii. Jakie znaczenie będzie wówczas miał jego szeroko otwarty i pusty skarbiec i utrata najpotężniejszego czaru, jeśli Lirazel nie będzie niczego więcej pragnąć?

Wydał więc rozkaz, bo skarbcza nie otwierała żaden klucz. A potem wzięwszy stamtąd pradawny zwój pergaminu z tekstem zaklęcia wstał i czytał zeń, podczas gdy jego córka wciąż roniła łzy. A przeczytane przez władcę Elfów słowa czaru dźwięczały jak orkiestra złożona z samych skrzypków, wybranych spośród mistrzów z wielu wieków i ukrytych w jakimś lesie w noc letniego przesilenia. Mistrzów grających w poświęconie dziwnego księżyca, gdy powietrze pełne jest szaleństwa i tajemnic oraz czających się w pobliżu, lecz niewidocznych ludzkim okiem, stworzeń przekraczających granice pojmowania synów i córek Ziemi.

W ten sposób król Elfów przeczytał to zaklęcie, a nieznanne moce usłyszały go i posłuchały, nie tylko w Krainie Czarów, lecz także poza granicą Ziemi.

## **XXXIII**

### **BŁYSZCZĄCA LINIA**

Alweryk wędrował dalej, samotny w trzyosobowej grupce bez nadziei, która by go prowadziła. Albowiem Niv i Zend, których ostatnio upajała nadzieja na odnalezienie fantastycznego celu ich poszukiwań, już nie tęsknili za Krainą Elfów, lecz działali według innego planu: powstrzymania przed nią Alweryka. Wahali się wolniej niż ludzie zdrowi na umyśle, ale ze znacznie większym niż u tych drugich zapalem trzymali się każdej zmiany nastawienia. A Zend, który tak wiele lat wędrował, wypatrując z nadzieją Krainy Elfów, teraz, gdy zobaczył jej granicę, uważał ją za głównego rywala księżyca. Zaś Niv, który wytrzymał tyle samo podczas poszukiwań Alweryka, zobaczył w tym zaczarowanym kraju coś znacznie bardziej baśniowego niż wszystkie swoje marzenia. Dlatego teraz, kiedy Alweryk próbował niezdarnych pochlebstw pod adresem tych szalonych i zaciętych umysłów, nie otrzymał od Zenda żadnych odpowiedzi oprócz lakonicznego stwierdzenia: „Księżyc sobie tego nie życzy”. Natomiast Niv tylko wielokrotnie powtarzał: „Czy ja nie mam dostatecznie dużo marzeń?”

Wędrowali z powrotem, mijając farmy, które poznali przed laty. Pojawiali się w

półmroku ze swoim szarym, jeszcze bardziej podartym namiotem, dodając melancholii wieczorowi, na polach, gdzie oni sami i ich namiot stali się legendą. I zawsze któryś z nich obserwował Alweryka, żeby nie wymknął się z obozu i nie przybył do Krainy Elfów, gdzie marzenia były dziwniejsze niż u Niva i we władzy mocy bardziej czarodziejskiej niż księżyc.

Często próbował ucieczki, czołgając się cicho ze swego miejsca w środku nocy. Pewnej księżycowej nocy spróbował uciec po raz pierwszy, czekając, aż wydawało się, że cały świat zasnął. Wiedział, że granica zmierzchu jest niedaleko, gdy wypełził z namiotu i ujrzał jasną księżycową poświatę i czarne cienie. Minał wtedy mocno śpiącego Niva. Ale uszedł niewiele dalej, kiedy natknął się na Zenda siedzącego nieruchomo na skale, wpatrującego się w tarczę księżyca. Zend odwrócił głowę i, niedawno zainspirowany przez księżyc, skoczył z krzykiem na Alweryka. Wcześniej już zabrali mu magiczny miecz. Wtedy hałas obudził Niva, który ruszył ku nim ze ślepą wściekłością, złączony z Zendem tą samą zazdrością: każdy z nich dobrze wiedział, że cuda Krainy Elfów są wspanialsze niż mrzonki, jakie ich umysły kiedykolwiek stworzą.

Spróbował ponownie pewnej bezksiężycowej nocy. Lecz owej nocy to Niv siedział poza obozem, rozkoszując się dziwnym i pozbawionym radości poczuciem koleżeństwa, które istniało między jego bredzeniem i międzygwiazdną ciemnością. Nagle ujrzał w mroku Alweryka wymykającego się w stronę krainy, której cuda znacznie przekraczały nędzne marzenia Niva. I z całą furją, jaką biedak może żywić do kogoś znacznie odeń bogatszego, podkraść się do Alweryka z tyłu, bez pomocy Zenda, uderzył go i powalił nieprzytomnego na ziemię.

Potem już Alweryk ani razu nie planował ucieczki, ale podejrzliwe umysły szaleńców oczekiwały tego.

I tak wędrowali, obserwatorzy i ich ofiara, po świecie ludzi. Alweryk szukał pomocy u wieśniaków z napotkanych farm, lecz przebiegły Niv doskonale umiał udawać zdrowego na umyśle. Dlatego kiedy ludzie przybiegali ze swych pól do dziwnego szarego namiotu, z którego usłyszeli krzyki Alweryka, znajdowali Niva i Zenda czekających w spokoju — a bardzo często ćwiczili tę postawę — podczas gdy Alweryk opowiadał o poszukiwaniach Krainy Elfów, którym poświęcił życie, a które uniemożliwili mu jego towarzysze. Obecnie wielu ludzi uważało za szalone wszelkie takie podróże, o czym chytry Niv dobrze wiedział. I Alweryk nie znalazł tam pomocy.

Kiedy wracali drogą, po której maszerowali przed laty, Niv ich prowadził, stąpając

przed Alwerykiem i Zendem, unosząc wysoko chudą twarz, która wydawała się jeszcze węższa dzięki długim, wąskim ostrzom, do jakich zredukował brodę i wąsy. Niósł miecz Alweryka, którego brzeszczot wystawał na sporą odległość poza nim, zaś rękojeść sterczała wysoko z przodu. Stapał zaś i unosił głowę w taki sposób, że rzadko spotykani przez nich podróżni orientowali się, iż ten wychudły i obdarty osobnik uważał się za przywódcę znacznie większej grupy niż ta, którą widzieli. I rzeczywiście, gdyby ktoś tylko zobaczył go pod koniec wieczoru, na tle mroku i mgieł unoszących się z moczarów, mógłby uwierzyć, że kryła się tam prawdziwa armia, która szła w ślad za tym zmęczonym, lecz pewnym siebie mężczyzną. Gdyby taka armia tam była, można by uznać Niva za zdrowego na umyśle. I byłoby to prawdziwe, gdyby świat zaakceptował przypuszczenie, iż jakaś armia istotnie tam jest, chociaż tylko Alweryk i Zend szli za nim. Lecz ten wybryk chorej wyobraźni nie znajdował oparcia w rzeczywistości i stąd Niv nie mógł z nikim tego dzielić i dlatego jego samotność była szaleństwem.

Kiedy tak szli za Nivem, Zend przez cały ten czas obserwował Alweryka, gdyż ich wzajemna zazdrość o cuda Krainy Elfów zmusiła Niva i Zenda do współdziałania jak pod wpływem jednego szalonego kaprysu.

Aż pewnego ranka Niv wyciągnął się jak tylko mógł, by wydawać się wyższy niż w rzeczywistości, podniósł do góry prawą rękę i zwrócił się do swojej armii:

— Znowu znaleźliśmy się bliżej Erlu — oświadczył. — Przyniesiemy tam nowe marzenia na miejsce znoszonych mrzonek i tych, które skostniały. Od tej pory przejmie on księżycowe zwyczaje.

Prawdę mówiąc, Niva nic nie obchodził księżyc. Lecz choć szalony, był bardzo przebiegły i wiedział, że Zend pomoże mu w realizacji jego nowego planu przeciwko Erlowi, chociażby ze względu na księżyc. I rzeczywiście, Zend wiwatował, aż echo odbiło się o jakieś samotne wzgórze i powróciło. Wtedy Niv uśmiechnął się do niego niczym przywódca dumny ze swoich zastępów. Wtedy też Alweryk po raz ostatni zbuntował się przeciwko nim; walcząc z Nivem i Zendem, przekonał się, że wiek, wędrówka lub utrata nadziei sprawiły, iż nie mógł przeciwstawić się ogromnej sile tych szaleńców. I dalej szedł już z nimi bardziej potulnie, z rezygnacją, nie przejmując się tym, co go spotka, żyjąc tylko pamięcią i jedynie dla minionych dni. I w listopadowe wieczory w tym ledwie widocznym obozie, w zimnym powietrzu, zobaczył znów, patrząc wstecz, wiosenne poranki lśniąca na wieżach Zamku Erl. W blasku tych poranków ponownie ujrzał Oriona, bawiącego się starymi zabawkami, które

wyczarowała dlań niańka-czarownica; znowu odnalazł wzrokiem Lirazel spacerującą w pięknych zamkowych ogrodach. Lecz żadne światło, które pamięć więźnia mogła zapalić, nie było dostatecznie mocne, by jasno oświetlić obóz w tamte ciemne wieczory, kiedy wilgoć unosiła się z ziemi, dojmujący chłód dawał się we znaki, zaś Niv i Zend, wraz z nadejściem nocy, zaczęli zniżonymi głosami omawiać plany zainspirowane przez takie kaprysy, jakie mogły powstać w mroku na pustkowiu. Dopiero gdy zgasły ostatnie blaski smutnego dnia, Alweryk zasnął przy trzepocie strzępów koca, które spływały z namiotu. Wtedy to wspomnienia — kiedy już nie przeszkadzała im dzienna krzątanina i zmiany — przywracały mu Erl, jasny, szczęśliwy i wiosenny. I tak na jakiś czas, gdy jego ciało leżało nieruchomo daleko na pustkowiu, w mroku i na mrozie, wszystko, co w nieszczęsnym księciu żyło i trwało, wracało do Erlu, poprzez lata, do wiosen spędzonych z Lirazel i z Orionem.

Alweryk nie wiedział, jaka odległość — liczona w kilometrach — dzieliła go od domu, do którego każdej nocy przenosił się myślami, do szczęśliwych chwil. Minęło wiele lat, odkąd ich szary namiot stał pewnego wieczoru w tym miejscu, w którym teraz wiatr szarpał jego strzępami. Lecz Niv wiedział, że ostatnio zbliżyli się do Erlu, bo ostatnio sny nawiedzały go wcześniej, zaraz po zaśnięciu, a przedtem zdarzało się to znacznie później, po północy lub nawet nad ranem; i z tego wyciągnął wniosek, że musiały przebyć większą odległość, a teraz — znacznie mniejszą. Kiedy pewnego wieczoru powiedział o tym w tajemnicy Zendowi, ten wysłuchał go uważnie, ale nie skomentował, lecz powiedział tylko: „Księzyc o tym wie”. Mimo to poszedł za Nivem, który prowadził tę niezwykłą karawanę zawsze w kierunku, z którego jego sny o dolinie Erlu przybywały najwcześniej. I pod tym dziwnym przewodem naprawdę znaleźli się bliżej Erlu, jak często zdarza się, gdy ludzie słuchają przywódców, którzy są szaleni, ślepi lub oszukani: docierają oni w końcu do tego czy innego portu, chociaż błakają się latami. Co by się z nimi stało, gdyby było inaczej?

Aż pewnego dnia ujrzeli z oddali górne partie wież Zamku Erlu: jaśniały w porannym słońcu na tle błękitu nieba, ponad łukiem wzgórz. Niv natychmiast zawrócił ku nim i poprowadził prosto — ponieważ nie wędrowali w linii prostej do Erlu — i maszerował jak zdobywca, który widzi bramy jakiegoś nowego miasta. Alweryk nie wiedział, jakie Niv ma plany, ale nadal zachowywał się apatycznie. Zend również nie miał o tym pojęcia, ponieważ Niv oświadczył, że musi zachować w tajemnicy swoje plany. Zresztą sam Niv tego nie wiedział, gdyż tysiące szalonych myśli nawiedzały jego

mózg i opuszczały go równie szybko. Jak więc mógł przedstawić dzisiaj plany, które ułożył wczoraj, gdy był w innym nastroju?

Niebawem dotarli do jakiegoś pasterza, który stał wśród pasących się owiec, oparty o zagiętą laskę pasterską. Pasterz ten obserwował otoczenie i zdawał się nie troszczyć o nic więcej niż patrzeć na wszystko, co się wokół dzieje, albo gdy nic się nie działo, wpatrywać i wpatrywać we wzgórza, jak gdyby chciał, żeby ich wielkie, trawiaste kontury wryły mu się w pamięć. Ten brodaty mężczyzna stał i patrzył bez słowa, gdy go mijali. Lecz w tym momencie szalony Niv nagle go rozpoznał, zawołał po imieniu, a pasterz odpowiedział. I był to nie kto inny jak Vand!

Potem zaczęli rozmawiać, a Niv przemawiał z uprzedzającą grzecznością, jak zawsze ze zdrowymi na umyśle ludźmi, umiejętnie naśladowując ich zachowanie i hipokryzję, aby Alweryk nie poprosił o pomoc przeciw nim. Ale księżę nie szukał pomocy. Stał w milczeniu i słyszał, jak tamci rozmawiają, choć myślami był daleko, w krainie wspomnień, i ich głosy były dlań tylko dźwiękami bez znaczenia. Vand zapytał ich, czy znaleźli Krainę Elfów. Lecz zapytał tak, jakby pytał dzieci, czy ich łódkizabawki dotarły do Wysp Szczęśliwych. Od wielu lat pasł owce, poznał ich potrzeby i cenę i wiedział, jak niezbędne są ludziom. Wszystkie te proste, zwyczajne sprawy niepostrzeżenie zawładnęły jego wyobraźnią i w końcu ją zasłoniły niczym mur, poza którym niczego nie widział. Kiedy był młody, tak, niegdyś szukał Krainy Elfów, ale teraz, no cóż, teraz przybyło mu lat; takie rzeczy są dla młodych.

— Ale widzieliśmy jej granicę — odparł Zend — granicę zmierzchu.

— To była wieczorna mgła — zaoponował Vand.

— Nie, ja stałem na skraju Krainy Elfów — oświadczył Zend.

Lecz Vand uśmiechnął się i pokręcił głową, wsparłszy się mocniej na lasce pasterskiej.

A każdy ruch jego brody, gdy powoli nią potrząsał, zaprzeczał opowieściom Zenda o tamtej granicy, jego wyrozumiały uśmiech — wyśmiewał je, a pobłażliwe oczy kryły całą wiedzę naszego świata.

— Nie, to nie była Kraina Elfów — odparł na koniec Vand.

Niv zgodził się z Vandem, gdyż obserwował jego nastrój, badając zachowanie człowieka o zdrowych zmysłach. Jeśli rozmawiać o Krainie Elfów lekkim tonem, jak ktoś opowiada o śnie, który przyśnił mu się o świcie i zniknął, nim śniący się obudził. Alweryk słuchał ich z rozpaczą, gdyż Lirazel nie tylko przebywała poza granicą zmierzchu, lecz nawet, jak się teraz przekonał, poza ludzkimi wierzeniami. Dlatego

natychmiast wydała mu się bardziej daleka niż kiedykolwiek i poczuł się jeszcze bardziej samotny.

— Szukałem jej kiedyś — powiedział Vand — ale nie, Kraina Elfów nie istnieje.

— Nie istnieje — potwierdził Niv i tylko Zend się zastanowił.

— Nie istnieje — powtórzył Vand, potrząsnął przecząco głową i podniósł oczy na swoje owce.

Wtedy tuż za owcami zobaczył zbliżającą się ku nim jakąś świecąca linię. Tak długo się w nią wpatrywał, że pozostali zwrócili tam wzrok.

Oni również ją zobaczyli, migotliwą linię ze srebra, a raczej lekko niebieskawą, jak ze stali, migocącą i mieniającą się dziwnymi, wędrującymi po niej kolorami. A przed nią, bardzo ciche niczym wiaterek wiejący przed burzą, unosiły się miękkie dźwięki bardzo starych pieśni. Kiedy ludzie stali nieruchomo, linia dotarła do jednej z najdalej pasących się owiec Vanda; i natychmiast jej wełna stała się złota jak runo, o którym opowiada pewna stara ballada. A błyszcząca linia parła do przodu i owce całkiem zniknęły. Czterech mężczyzn ujrzało teraz, że ta linia była wysoka jak mgła kłębiąca się nad małym strumykiem. Vand stał, nie odrywając od niej wzroku, nie ruszając się ani nie myśląc. Jednak Niv odwrócił się bardzo szybko, ruchem ręki wezwał Zenda, chwycił Alweryka za ramię i pośpieszył w stronę Erlu. Błyszcząca linia, która zdawała się uderzać i potykać o każdą nierówność terenu, nie przemieszczała się tak szybko, jak idący śpiesznie ludzie. Lecz nigdy się nie zatrzymała, podczas gdy oni odpoczywali, nigdy się nie męczyła, kiedy im zabrakło sił, lecz nasuwała się na wszystkie wzgórza i żywopłoty Ziemi. A zachodzące słońce nie zmieniło swego wyglądu ani się nie przemieściło.

## **XXXIV**

### **OSTATNI WIELKI CZAR KRÓLA ELFÓW**

Kiedy Alweryk, prowadzony przez dwóch szaleńców, wracał do tych ziem, którymi dawno temu rządził, rogi Krainy Elfów grały w Erlu cały dzień. I chociaż tylko Orion je słyszał, one tym niemniej rozsiewały w powietrzu dreszcz podniecenia, przesycając je głęboko niezwykłą, złocistą muzyką i napełniając ów dzień poczuciem czegoś niezwykłego, co inni mieszkańcy wioski również odczuwali. Dlatego wiele młodych

dziewcząt wyjrzało przez okno, aby zobaczyć, co czyni ten ranek czarującym. Ale w miarę upływu czasu, oczarowanie niesłyszalną muzyką zmalowało, ustępując miejsca uczuciu, które ciążyło na sercach wszystkich Erlan i zdawało się zapowiadać nieuchronne nadejście jakiegoś nieznanego rodzaju cudu. Orion przez całe życie słyszał elfowe rogi grające wieczorami — oprócz dni, kiedy zrobił coś złego: jeżeli ich dźwięk dotarł do niego, wiedział, że dobrze się zachował. Teraz jednak grały rankiem, a potem przez resztę dnia, jak fanfary przed maszerującym wojskiem. Orion wyjrzał przez okno, lecz nic nie dostrzegł, chociaż rogi nadal dźwięczały z mocą, obwieszczając coś, o czym młody książę nie wiedział. Rogi te wzywały jego myśli, odciągały od wszystkiego, co ziemskie, od wszystkiego, co rzuca cień. Tego dnia Orion nie odezwał się do żadnego człowieka, ale poszedł do swoich trolli i innych mieszkańców ojczyzny magii, które przeszły za nimi granicę zmierzchu. A wszyscy ludzie, którzy go zobaczyli, dostrzegli w jego oczach spojrzenie wskazujące, iż jego myśli błądziły daleko, w zaklętych królestwach, jakich się obawiali. I rzeczywiście myślami znów był z matką. A jej myśli obsypywały go czułością, którą uniemożliwił jej czas, szybko mijający w świecie ludzi, czas, którego nigdy nie zrozumiała. A on w jakiś sposób przeczuwał, że Lirazel jest bliżej niego.

I przez cały ten dziwny poranek błędne ogniki były niespokojne, a trolle skakały dziko po swoich gołębnikach, gdyż rogi Krainy Elfów przesycaly powietrze magią, sprawiając, że ich krew płynęła szybciej, mimo że nie mogły ich słyszeć. Lecz pod wieczór magiczne istoty wyczuły, iż nieuchronnie zbliża się jakaś wielka zmiana, i wszystkie umilkły i sposepniały. I coś obudziło w nich tęsknotę za czarodziejską ojczyzną, jak gdyby poczuły na twarzach podmuch wiatorku prosto z górskich stawów Krainy Elfów. Biegały więc tam i z powrotem główną ulicą Erlu, wypatrując czegoś magicznego, aby zagłuszyć poczucie osamotnienia w ziemskim otoczeniu. Nie znalazły jednak niczego podobnego do wyczarowanych, przepięknych lilii, które rosły wokół każdego górskiego stawu w ojczyźnie magii. A mieszkańcy wioski widzieli je wszędzie i zatęsknili za całkowicie ziemskimi dniami, jakie istniały przed przybyciem magii do Erlu. Niektórzy z nich pośpieszyli do domku księdza i schronili się wraz z nim wśród świętych przedmiotów przed wszystkimi pogańskimi stworami, które biegały po ich ulicach, i całą magią, która wprawiała w drzenie i zagęszczała powietrze. On zaś strzegł ich swymi przekleństwami, które odpędziły magiczne światło i błakające się niemal bez celu błędne ogniki, i nawet, na krótki czas, przestraszyły trolle; te jednak odbiegły i

hasały w niewielkiej odległości. I podczas gdy ta grupka skupiła się u księdza, szukając u niego pociechy przed nadciągającym nieznanym niebezpieczeństwem, od którego napięcie rosło w powietrzu i ponury nastrój wraz z przemijaniem krótkiego jesiennego dnia, inni poszli do Narla i zapracowanych erlańskich radnych, aby powiedzieć:

— Patrzcie, do czego doprowadziły wasze plany. Popatrzcie, co ściągnęliście na naszą wioskę.

I żaden z radnych nie udzielił natychmiastowej odpowiedzi. Oświadczyli tylko, że muszą się naradzić, gdyż bardzo ufali słowom wypowiedzianym podczas sesji rady. W tym celu ponownie zgromadzili się w kuźni Narla. Nadszedł już wieczór, ale słońce jeszcze nie zaszło ani Narl też nie wrócił z pracy, ale ogień w jego kuźni zaczął nabierać ciemniejszej barwy wśród cieni, które do niej się wsunęły. Radni przyszli tam powoli, z poważnymi minami, częściowo dlatego, że chcieli ukryć strach przed mieszkańcami wioski, a częściowo z innego powodu: powietrze w wiosce tak zgęstniało od magii, iż bali się nieuchronności czegoś złowieszczonego. Zasiedli na naradę w tamtym wewnętrznym pomieszczeniu, podczas gdy słońce chyliło się ku zachodowi, a elfowe rogi — których dźwięki nie docierały do ich uszu — grały wyraźnie i tryumfalnie. Siedzieli tam w milczeniu, bo cóż mogliby powiedzieć? Pragnęli magii, a teraz oto magia przybyła. Trolle przebywały na wszystkich ulicach, gobliny weszły do ludzkich domów, po nocach szalały błędne ogniki, zaś powietrze zgęstniało od nieznanymi czarów. Co mogliby rzec? Po jakimś czasie Narl oświadczył, że muszą ułożyć nowy plan. Kiedyś bowiem byli zwykłymi, przestrzegającymi dawnych zwyczajów ludźmi, lecz teraz magiczne istoty rozprzestrzeniły się w całym Erlu i każdej nocy coraz więcej ich przychodziło z Krainy Elfów. Więc co się stanie ze starymi ziemskimi zwyczajami, jeśli oni, radni, nie ułożą jakiegoś planu?

Słowa Narla dodały wszystkim odwagi, chociaż wyczuwali złowieszczą groźbę w graniu elfowych rogów, których nie mogli usłyszeć. Rozmowa o jakimś nowym planie ośmieliła ich, uznali bowiem, że mogą coś zaplanować przeciw inwazji magii. I jeden za drugim wstawali, by powiedzieć o swojej wizji planu.

Ale o zachodzie słońca zamilkli. A ich strach, że zbliża się coś nieuchronnego, zamienił się w pewność. Oth i Threl zrozumieli to pierwsi, gdyż byli obeznani z leśnymi tajemnicami. Wszyscy czuli, że coś się zbliża. Lecz nikt nie wiedział co. I wszyscy siedzieli nieruchomo, rozmyślając o zmierzchu.

Lurulu zauważył to pierwszy. Przez cały dzień marzył o zielonych od wodnych

roślin górskich stawach Krainy Elfów i coraz bardziej zmęczony światem ludzi, zupełnie sam wyszedł na szczyt jednej z wież Zamku Erl. Przycupnął na blankach i patrzył smutno w stronę ojczyzny. Zauważył nadchodzącą od strony naszych pól błyszczącą linię, która zbliżała się do Erlu. Usłyszał, gdy falowała na zaoranych polach, dochodzący od niej szmer wielu starych pieśni. Wraz z nimi nadchodziły wspomnienia wszelkiego rodzaju, dźwięki dawnej muzyki i zaginionych głosów, zwracających naszemu światu to, co czas wygnał z Ziemi. Sunęła ku nim jasna jak gwiazda wieczorna, nieoczekiwanie połyskując wieloma barwami, z których jedne występowały na Ziemi, a innych nie znały nasze tęcze. Dlatego Lurulu od razu rozpoznał w niej granicę Krainy Elfów. Na widok baśniowej ojczyzny odzyskał całą swoją bezczelność i, nie ruszając się z miejsca, wybuchnął kaskadami śmiechu, które zadźwięczały nad dachami niczym paplanina ptaków szykujących się do odlotu. Wtedy małe, stęsknione za domem trolle w gołębnikach poweselały, słysząc jego wesoły śmiech, mimo że nie wiedziały, skąd dobiega. I teraz Orion usłyszał granie elfowych rogów tak głośne i bliskie, a w ich brzmieniu była taka uroczysta, tryumfalna i przy tym tak rzewna nuta, że zrozumiał, iż ogłaszają przybycie jakiejś elfowej księżniczki z królewskiego rodu, pojął, że matka wróciła do niego.

Wysoko na swoim wzgórzu Ziroonderel również o tym wiedziała, gdyż ostrzegła ją jej magia, i patrząc na dół, ujrzała w półmroku tę podobną gwiazdom linię połączonych zmierzchów z dawnych, zaginionych wiosennych wieczorów, pełną po polach w stronę Erlu. Omal się nie zdziwiła na widok tej połyskliwej zatory płynącej po ziemskich pastwiskach, chociaż dzięki swojej mądrości przewidywała, że tak się musi stać. Z jednej strony zobaczyła znane nam pola, pełne znajomych roślin i stworzeń, a z drugiej, spoglądając w dół ze szczytu wzgórza, zobaczyła poza wielobarwną zaporą, ciemnozielone listowie i magiczne kwiaty Krainy Elfów oraz hasające tamtejsze bajeczne istoty. Po naszych polach kroczyła również jej dawna pani, księżniczka Lirazel. Córka króla Elfów wracała do Erlu, prowadząc ze sobą swoją ojczyznę, ze zmierzchem spływającym z obu jej rąk, które nieco wysunęła do przodu. Widząc zarówno matkę Oriona, jak i całą zaklętą krainę sunącą przez ziemskie pola, a może z powodu dawnych wspomnień, które wracały wraz z granicą zmierzchu, lub zapomnianych pieśni, które w niej dźwięczały, dziwny dreszcz radości wstrząsnął Ziroonderel i jeśli czarownice płaczą, to zapłakała.

Teraz zaś z górnych okien chat Erlanie dostrzegli tę błyszczącą linię, która nie była

ziemskim zmierzchem: zobaczyli, jak zabłysła gwiazdną poświatą, a potem popłynęła ku nim. Nadciągała powoli, jak gdyby falowała z trudem nad nierówną powierzchnią Ziemi, chociaż kiedy ostatnio wędrowała po należących do króla Elfów terenach, mknęła tak szybko, że wyprzedziła kometę. I ledwie zdziwił ich ten widok, gdy znaleźli się w znajomym z dawien dawna otoczeniu, bo stare wspomnienia, unoszące się przed granicą zmierzchu, jak podmuch wiatru przed piorunem, uderzyły w ich serca i w ich domy — patrzcież! znów żyli w zapomnianej i w zaginionej przed łąty rzeczywistości. A gdy ta linia z niezemskiego światła zbliżyła się jeszcze bardziej, dobiegł ich szelest jakby deszczu na liściach, powtarzając odgłosy dawnych westchnień, szepty kochanków sprzed lat. Wtedy wszystkich tych ludzi, którzy wychylili się z okien, ogarnął dziwny nastrój, który skłonił ich łagodnie, aby tęsknie spojrzeli w przeszłość. Taki nastrój może się kryć obok wielkich liści szczawiu w starych ogrodach, po śmierci wszystkich tych, którzy pielęgowali tam róże lub kochali tamtejsze altanki.

Ta linia z gwiazdnej poświaty i minionych miłości jeszcze nie lizała murów Erlu ani nie pienila się na jego domach, lecz była teraz tak blisko, że wypłoszyła codzienne troski, które łączyły ludzi z terażniejszością, i poczuli oni balsam minionych dni i błogosławieństwo dawno zmarłych krewnych. Teraz dorośli pobiegli po dzieci, które bawiły się ze skakanką na ulicy, aby zabrać je do domów, nie mówiąc im dlaczego, z obawy, iż przerażą swoje pociechy. I strach na twarzach matek na chwilę zaskoczył dzieci, ale potem niektóre z nich spojrzały na wschód i dostrzegły zbliżającą się świetlistą linię.

— To nadchodzi Kraina Elfów — powiedziały i wróciły do zabawy.

Psy gończe Oriona również zrozumiały, chociaż nie mogą powiedzieć co. W każdym razie jakiś wpływ Krainy Elfów dotarł do nich niczym promień księżycy i zaczęły ujadać jak wtedy, gdy księżycowa poświata zalewa wszystko wokół. A wiejskie psy na ulicach, które zawsze pilnowały, żeby nic obcego nie przybyło do Erlu, pojęły teraz, że jakaś wielka obcość się do nich zbliża, i ogłosiły to całej dolinie.

Stary garbarz w chacie po drugiej stronie pól wyrzał przez okno, by sprawdzić, czy jego studnia nie zamarzła, i zobaczył pewien majowy poranek sprzed pięćdziesięciu lat i swoją żonę zbierającą lilie, gdyż Kraina Elfów wygnała czas z jego ogródka.

Teraz też kawki opuściły wieże Zamku Erl i odleciały na zachód; ujadanie ogarów i szczekanie zwykłych psów napełniło powietrze. Potem nieoczekiwanie ustało i wielka cisza zapanowała w wiosce, jakby nagle spadł tam śnieg na głębokość kilkunastu

centymetrów. W tej ciszy rozległy się dźwięki dziwnej, dawnej muzyki; i nikt się nie odezwał.

Później Ziroonderel, która siedziała przed drzwiami swojej chaty, z podbródkiem wspartym na dłoni, ujrzała, że świetlna linia dotknęła domów Erlu i zatrzymała się, przepływając obok nich z obu stron, lecz powstrzymywana przez nie, jak gdyby zetknęła się z czymś zbyt potężnym dla jej magii. Domy jednak tylko na moment powstrzymały ten cudowny przypływ, gdyż wybuchł nad nimi, rozbryzgując nieziemską pianę, jak meteor z nieznanego metalu płonący na niebie, i ruszył dalej. A po jego przejściu chaty Erlan przybrały dziwny, cudaczny, fantastyczny wygląd domostw z dawno minionej epoki, kiedy wspomnienia budzą się w zetknięciu z historią.

Następnie czarownica ujrzała, jak chłopiec, którego niańczyła, wszedł w magiczny zmierzch, przyciągany przez moc nie mniejszą od tej, która poruszała Krainą Elfów: zobaczyła jego spotkanie z matką w całym tym świetle, które zalewało dolinę Erlu niezemskim splendorem. I Alweryk był tam z nią, oboje stali nieco z boku od towarzyszących księżniczce baśniowych istot, które eskortowały ją przez całą drogę z dolin Elfowych Gór.

Z Alweryka spadło ciężkie brzemie lat i smutek wędrówki: on również znalazł się w dawno minionych dniach, z dawnymi pieśniami i zagubionymi głosami. Ziroonderel nie mogła dostrzec łez Lirazel, gdy ta znowu spotkała Oriona po rozstaniu w czasie i w przestrzeni, chociaż błyszcząły jak gwiazdy. Stało się tak dlatego, że księżniczkę otaczała gwiazdna poświata, która oświetlała ją jak Słońce jedną z planet. Ale choć czarownica tego nie zauważyła, wyraźnie usłyszała dźwięki pieśni wracających do naszego świata z górskich dolin Krainy Elfów, gdzie spoczywały tak długo, a wszystkie były utraconymi piosenkami, które wymyślono dla dzieci. Opiewały teraz łagodnie to spotkanie Lirazel i Oriona.

Zaś Niv i Zend wreszcie uwolnili się od swoich dzikich fantazji, gdyż utonęły one w spokoju Krainy Elfów i zasnęły, jak sokoły śpią na swoich drzewach, kiedy wieczór ukołysał świat do snu. Ziroonderel zobaczyła, że stali razem tam, gdzie przedtem był skraj wzgórz, w niewielkiej odległości od Alweryka. Zauważyła też Vanda wśród owiec o złotym runie, które chrupały cudowne kwiaty o niezwykłym, słodkim smaku.

Lirazel przyszła po syna wraz z tymi wszystkimi cudami i przywiodła ze sobą Krainę Elfów, która nigdy przedtem nie przesunęła się nawet na szerokość dzwonka szerokolistnego ponad ziemską granicę. A spotkali się w starym różanym ogrodzie pod

wieżami Zamku Erl, gdzie kiedyś spacerowała i od tej pory nikt się o te róże nie zatroszczył. Ogrodowe alejki zarosły wysokim zielskiem, choć nawet ono zwiędło i zmarzło w listopadowych przymrozkach. Wysokie, suche łodygi trzaskały i syczały pod stopami Oriona, gdy przez nie szedł, i zamykały się za nim nad zaniedbanymi ścieżkami. Lecz przed nim kwitły w całej letniej urodzie i splendorze wielkie, upojne róże. Lirazel i Orion spotkali się między listopadem, który elfowa księżniczka gnała przed sobą, i dawną porą kwitnienia róż, sprowadzoną przez nią do pięknego niegdyś ogrodu. Przez chwilę zwiędły, brązowy ogród rozciągał się za Orionem, a potem cały zakwitł, zaś ptaki z setek altanek radosną, dawną pieśnią powitały powrót róż. W ten sposób syn Lirazel z powrotem znalazł się w pięknych, jasnych dniach, których przyćmione, szczęsne cienie przechowała jego pamięć, gdyż takie są najważniejsze ze wszystkich ludzkich skarbów; lecz skarbiec, w którym się znajdują, jest zamknięty, a my nie mamy do niego klucza. Potem też Kraina Elfów zalała Erl.

Tylko kościółek chrześcijańskiego księdza i otaczający go ogród pozostały na naszej Ziemi, mała wysepka otoczona cudami, jak skalisty górski szczyt, kiedy mgła unosi się z górskich dolin, zasłania zbocza góry i pozostawia na widoku tylko sam jej wierzchołek, czarny na tle gwiazd. Albowiem dźwięk jego dzwonu zatrzymał czar i granicę zmięzchu na niewielką odległość wokół tego świętego miejsca. Ksiądz żył tam szczęśliwy, zadowolony, wśród swoich świętych przedmiotów. Nie był też sam, gdyż kilku wieśniaków, odciętych od wioski przez magiczny przypływ, zamieszkało na tej świętej wyspie i służyło swemu duszpasterzowi. Kapłan żył znacznie dłużej niż zwykli ludzie, ale nie były to lata Krainy Elfów.

Nikt nigdy nie przekroczył też granicy zmięzchu oprócz czarownicy Ziroonderel, która ze swego wzgórza — a znalazło się ono dokładnie na samym krańcu Ziemi — w gwiazdne noce latała na miotle, by znowu odwiedzić swoją panią. Bo Lirazel przebywała w Krainie Elfów wraz z Alwerykiem i Orionem, niezmienną przez upływ czasu. Czarownica wraca czasami stamtąd, wysoko pod nocnym niebem na swojej miotle, niewidoczna na żadnym ziemskim wzgórzu, chyba że przypadkiem zauważycie, jak jedna gwiazda po drugiej gaśnie na chwilę, gdy Ziroonderel je mija. Później ląduje przed drzwiami swojej chaty i opowiada dziwaczne historie tym, którzy chcą usłyszeć nowiny z Krainy Elfów. Obym znów mógł ją usłyszeć!

Wysławszy ostatni ze swych zmieniających świat czarów, gdy jego córka znów była szczęśliwa, elfowy władca, siedząc na swym fantastycznym tronie, odetchnął i

wciągnął do płuc spokój, którym rozkoszuje się Kraina Czarów. Wtedy wszystkie jego ziemie zasnęły w tym odwiecznym spokoju, choć tylko głębokie, zielone jeziora w lecie pozwalają go poznać zaledwie w niewielkiej części nam, ludziom. Erl spał wraz z resztą Krainy Elfów i tak zniknął z ludzkiej pamięci. Albowiem kiedy dwunastu radnych, którzy tworzyli erlańską radę, wyjrzało przez okno pomieszczenia przy kuźni Narla, gdzie układali swoje plany, to patrząc na znajomą okolicę, zauważyło, iż nie znajdowali się już w świecie ludzi.

---